ROK XIX.
Ogólnego zbioru Tom LXXIV.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

TOM II. — ZESZYT II.

Maj.

WARSZAWA.
1894.

Druk Jana Cotty,
29. Senatorska 29.

SPIS RZECZY.

Zeszyt zawiera arkuszy 12 i pół.

Druk ukończono d. 5 Maja 1894 r.

ANARCHIZM I LOGIKA.

Jak historya zapamięta, ludzie nigdy i nigdzie nie żyli bez jakiéjś zwierzchności, chociażby tylko ojcowskiéj, patryarchalnéj. Nigdzie też nie widziano ich żyjących w odosobnieniu, lecz większemi lub mniejszemi gromadami; stąd już starożytni nazywali człowieka istotą towarzyską. Gdzie zaś jest towarzystwo, gromada, tam musi być jakiś chociażby zaczątek zwierzchności, władzy. Trudno sobie wyobrazić, ażeby człowiek mógł się utrzymać na świecie przy zupełnéj niezależności. Jest on do tego za słaby osobliwie w dzieciństwie, a i w starszym wieku ciągle musi się oglądać na pomoc innych — stąd zależność jego od innych. Gdy się zatém słyszy, że są ludzie, którzyby pragnęli zniszczyć wszelką zwierzchność, trudno się odjąć przypuszczeniu, że się nie zastanawiali ani nad dawnemi czasy, ani nad tém, co koło siebie widzą. Chwilowa anarchia bywała na świecie; ale żeby ją podnosić do znaczenia zasady i systematu, to na to dopiéro nasz wiek się zdobył. Bywały w dawnych czasach sekty religijne, powstające przeciw władzy duchownéj lub świeckiéj, naucząjąc, że tylko wówczas należy słuchać zwierzchnika, gdy ten jest bez grzechu (Wiklefici); ale nie dowodzono, że się bez władzy obejść można. Dopiéro w naszym wieku indywidualizm tak się rozwielmożnił, że człowiek uroił sobie, jakoby wszelka zwierzchność, z powodu, że krępuje wolę jednostki, była niepotrzebna, a nawet, że ona to jest źródłem wszelkich niedomagań społecznych. Człowiek chce żyć jak koń w stepie; dopiéro wówczas czułby się zadowolonym. Na szczęście sekta anarchistów w porównaniu z resztą ludzi jest tak nieliczna, że mimo jéj zuchwalstwa, pogróżek i czynów zbrodniczych, społeczeństwa potrafią

dać sobie radę. Nie mniéj społeczeństwo powinno wiedzićć i rozumiéć, czego chcą szaleńcy, by tém skuteczniéj stawić im opór.

Nim się szczegółowiéj zastanowimy nad doktryną anarchistów, dobrze zaraz z początku zauważyć, iż są oni reformatorami swojego rodzaju, albowiem reforma ich polega na zniszczeniu wszelkiego porządku, jaki wytworzyła cywilizacya między ludźmi. Zapewne, nie wszystkie instytucye społeczne są doskonałe, ani doskonałemi być mogą, ponieważ stanowili je ludzie dla ludzi. Dlatego też mogą być poprawiane, i te ulepszenia właśnie nazywają się reformami. Instytucye ludzkie rosły wiekami razem z ludźmi, i w ciągu wieków ulegają zmianom czasem na lepsze, czasem na gorsze. Ale gdyby je odrazu z korzeniem, jako złe, wyrwano, pytanie, coby niszczyciele na ich miejsce postawili? Nieby nic postawili. Ich zadaniem zniszczenie. Budowniczowie znajdą się sami. Niemniéj mają niszczyciele, chociaż nie całkowity plan, jednak oddzielne swoje pomysły co się tyczy przyszłéj budowy społeczeństwa, mianowicie pragnęliby z serc ludzkich wygładzić pojęcie Boga, stosunki ekonomiczne oprzéć na komunizmie, obalić państwo, a na jego miejsce potworzyć gminy samorządne. Już te pomysły próbowano urzeczywistnić w r. 1870/1 we Francyi; takie same dążenia ożywiają i teraźniejszych anarchistów. Zatém jako hasła służą im: ateizm, komunizm i bezrząd.

Zaprzeczanie istności Boga, nienawiść do religii, są dla anarchistów rzeczą konieczną, albowiem uznawanie Boga, opatrzności, musiałoby ich powstrzymać od dzikich czynów. Podług ich mniemania, które już Proudhon głosił, idea Boga sprzeciwia się wolności i szczęśliwości człowieka. A to jakim sposobem? Ponieważ uznawanie Boga równa się uznawaniu zależności naszéj od kogoś stojącego wyżéj; tymczasem człowiek nie chce od nikogo zależéć. Daléj, religia pociesza człowieka nadzieją szczęścia w życiu przyszłém; gdy zaś tę wiarę stracono, ludzie chcą szczęścia na ziemi, w doczesném życiu. Szczęście to powinno być bardzo realne, złożone z obfitości środków materyalnych i jednakowe dla wszystkich. Tymczasem religia uczy poprzestawać na małém, uznaje istnienie bogatych i ubogich jako nieuniknione, przez Opatrzność przewidziane, jak wynika z tych słów Chrystusa: „ubogich zawsze mieć będziecie”. Religia każe urazy darować, miłować nieprzyjaciół, być cichym i pokornego serca, nie zazdrościć powodzenia bliźniemu i t. p. Otóż te rady brzmią wstrętnie w uszach ludzi, którzy wprost przeciwnemi się rządzą. Można więc rozumiéć, dlaczego reformatorowie najnowszéj doby nienawidzą religii i głoszą ateizm.

Nietylko religia, ale i te instytucye, które pod jéj osłoną i sankcyą wyrosły, jak np. małżeństwo, dla nowatorów nienawistne. Małżeństwo krępuje człowieka, nakłada obowiązki, zawściąga żądze, a tu człowiek chce być wolny, iść za tak zwaną „wolną miłością.” Ponieważ religia potępia takie luźne, zwierzęce stosunki, zatém spada na nią nienawiść, oprócz powyższych i z tego jeszcze względu. Rodzina wyrosła pod węzłem małżeńskim i opieką religijną, jest gniazdem, w którém się poczęły pierwsze pojęcia władzy, zwierzchności; a więc i rodzina powinna ustąpić innéj (ale jakiéj?) formie społecznéj, w któréjby się dziecko wychowywało do wolności, nie zaś do niewoli. Po ustaniu małżeństwa i rodziny takich, jakie dzisiaj w krajach chrześciańskich istnieją, musiałaby ustać władza rodzicielska w domu, a stosunek płci uledz zmianie tak radykalnéj, że niepodobna sobie tego nowego raju wyobrazić. Nowatorowie sami to rozumieją, ale się nie wzdrygają. Jeden z nich jeszcze w 1869 r. perorował w Paryżu na sejmiku „że konkubinat jest jedyném małżeństwem uczciwego człowieka.”

Innym kamieniem obrazy dla anarchistów jest własność indywidualna i spadkobranie. Trzeba więc własność zreformować. A jak? przez zaprowadzenie komunizmu; komunizm zaś może być rozmaitéj formy: albo państwowy, albo kolektywistyczny. Że jednak reformatorowie są ludźmi o krwi gorącéj i nie lubią długo czekać, zatém byli i tacy, co uważali, że byłoby najlepiéj odrazu podzielić między niemających to, co inni mają.

Własność jest fundamentem dzisiejszych stosunków ekonomicznych i politycznych; przytém jest przedmiotem tego rodzaju, który klasy robocze i wogóle ludzie odrazu rozumieją; własności metafizyką niemożna przesłonić. Jest to zatém instytucya, na któréj inne, jak na podwalinie leżą: nowatorowie rozumieją to i głównie na nią biją. Ale jak własność urządzić? Deklamować przeciw bankierom rzecz łatwa; tylko wynaleźć lepszą formę własności trudno. — Owszem nie trudno. Państwo może się stać jedynym właścicielem i producentem, a masa ludzi pod jego nadzorem będzie pracowała. Albo państwo może dać pożyczkę spółkom produkcyjnym i tym sposobem ułatwić przejście własności indywidualnéj w zbiorową. Albo nareszcie własność może się stać kolektywną, to jest należącą do gmin, które co pewien czas, peryodycznie będą ją dzieliły między swoich członków. Jak widzimy, pomysłów do nowego urządzenia własności nie brak; na ludziach gotowych do wejścia na tę drogę również nie schodzi: tylko pomysły są tak zużyte, albo właściwe niższym stopniom rozwoju społecznego,

że zbijać ich już nie trzeba. Niepraktyczność ich uderzy każdego, kto się nad niemi zastanowi.

„Gdybyśmy przypuścili, powiada p. Leroy-Beaulieu, że własność prywatna jest niesłuszną, ponieważ człowiek nie mógł sobie przywłaszczyć na zawsze rzeczy z gruntu wspólnéj, jaką jest ziemia; to zasada podobna powinna być zastosowana do gromady ludzi, do gminy, do narodu, wreszcie do ludzi mieszkających w całéj części świata. Jak ów człowiek nie ma prawa do zatrzymania kawałka ziemi, tak gmina, prowincya, naród nie mają prawad o zachowania swojego terytoryum. Prawo jego do kawałka ziemi i prawo ich do całego terytoryum mają jednakowy początek, t. j. prawo pierwiastkowego zawładnięcia *(primi occupantis)*." *(Le Collectivisme*, 1884, str. 79). Tak też anarchiści dowodzą. Kiedy bowiem kolektywiści mówią o „unarodowieniu" ziemi, tamci o jéj „zuniwersalizowaniu." Więc Kuba z Psiej Wólki miałby prawo do żyznego kawałka gruntu dajmy na to w Chinach, a znów jakiś Fo-hu do ogrodu pod Warszawą. Ziemia dla wszystkich i wszędzie, gdzie się komu podoba. Daléj pójść nie można, chyba na księżyc, jeżeli tam są grunta do zajęcia. Z indywidualną własnością w bezpośrednim związku jest spadkobranie. Jak dzielną sprężyną w rozwoju i gromadzeniu dóbr ekonomicznych jest prawna możność przekazywania owoców swojéj pracy potomstwu, ten tylko nie widzi, kto widzieć nie chce. Zabronić prawem téj możności, byłoby to samo, co podciąć korzenie produkcyi, zniszczyć połowę ludzkiéj energii. Nawet ograniczenie możności spadkowania powyżéj pewnego *maximum*, np. powyżéj 20 tysięcy franków, pociągnęłoby za sobą ograniczenie produkcyi i zniechęcenie do pracy. Gwoli czemu ma być zniesione prawo spadkobrania? Dla umoralnienia próżnujących spadkobierców, dla zrównania fortun. Otóż, spadkobiercy nie zawsze są próżniakami oczekującymi na śmierć bogatych rodziców lub krewnych — więc dla jednego lub kilku próżniaków niepodobna niszczyć tak potężnéj dźwigni produkcyi; a co do zrównania fortun — jest to wierutna bajka, bo ludzie z natury nie są sobie równi co do sił fizycznych i moralnych; więc też udział ich w dobrach ekonomicznych równy być nie może. Mimochodem przypominamy, że już Saint-Simoniści w r. 1830 doradzali zniesienie spadkobrania na początek w linii bocznéj.

Nie mniejszą z pewnością, jeżeli nie większą, niż do religii nienawiść, żywi anarchizm do państwa. Kiedy bowiem religia ma na swoję obronę jedynie broń duchowną; państwo czyli rząd broni siebie i społeczeństwa środkami bardzo dotkliwemi, które na ogół biorąc, powściągają szalone głowy. Państwo zatém stanowi nieprzepartą za-

porę anarchizmowi i musiało przeciw sobie obudzić jego nienawiść. Że tak jest, dość przytoczyć wyjątek z odezwy przypisywanéj Emilowi Gautier (z r. 1882): „To, co nowych anarchistów charakteryzuje, stanowi właśnie ta okoliczność, że żadnego rządu jakiegokolwiek rodzaju nie uznają. Dlatego wypowiadają wojnę wszelkiéj władzy, wszelkim urzędom; chodzi im nie o formy lecz o samą zasadę władzy (*autorité* = powagi). Nie chcą oni nadal być rządzeni. Celem ich jest, ażeby w produkcyi, pracy, spożyciu, przymus zastąpić swobodą." Ta właśnie okoliczność, że państwo może człowieka lub grupę ludzi przymusić do czynienia czegoś lub nieczynienia, sprawia ten antagonizm między żywiołami bezrządnemi a rządzącemi.

Co do instytucyi zwanéj państwem, niemniéj pozostanie prawdą, że jest ono najwyższą formą bytu społecznego; stanowi ono wał obronny strzegący społeczeństwa od rozbicia. Gdzie anarchia wał ten zburzyła, samo społeczeństwo musiało skutki odczuć. Być może, iż państwo dzisiejsze za wiele rzeczy, zadań, bierze na siebie; wszakże i to jest następstwem lenistwa obywateli, a w części ich niesumienności w sprawach publicznych. Widząc straszny wyzysk dokonywany przez prywatnych przedsiębiorców w rozmaitych gałęziach służby publicznéj ze szkodą i państwa i klas pracujących, niektórzy teoretycy radzili i radzą państwu, żeby wszystko niemal upaństwowić. Rady te, pochodzące z dobrych intencyi, zwalają na barki rządu zawiele czynności, przypuszczając, że lepiéj je zrobi od prywatnych. Było i jest może ze strony teoretyków zadużo optymizmu pod względem korzyści mających wynikać z interwencyi państwa a usunięcia inicyatywy prywatnéj; ale to wcale nie przeczy wielkiemu znaczeniu państwa jako wyobraziciela społeczeństwa i narodu. Nie wdając się w bliższy rozbiór i określenie stosunku państwa do społeczeństwa, możemy czytelnikowi wskazać bardzo dobre dzieło traktujące o tym przedmiocie, a mianowicie pracę cytowanego wyżéj p. Leroy-Beaulieu pod tytułem: *L'État moderne et ses Fonctions* (Paryż, 1890).

Mogą między teoretykami zachodzić różnice w określeniu sfery działania państwa; ale przeczyć jego potrzeby, zawracać ludzi do czasów przedhistorycznych, do urządzeń gminnych, lub klasowych mogą tylko nieświadomi rozwoju historycznego.

Skoro wynaleziono receptę na chorobę, czyli reformy dla uzdrowotnienia stosunków społecznych, trzeba myśléć o ich zastosowaniu. Metody stosowania reform jak i same te reformy są rozmaite. Posybiliści i ewolucyoniści są przekonani, że wszystkie reformy same przez się, mocą rozwoju spraw ludzkich, przyjść muszą. Koledzy ich innéj

nazwy, nie cofnęliby się przed siłą i gwałtem w celu przyspieszenia rajskiego stanu. Próby teroryzmu na większą skalę widziano ostatniemi laty w Belgii, Francyi, Hiszpanii, a tego roku we Włoszech, szczególniéj na Sycylii. Był to, jak pisano, ruch agrarny. Do téj saméj kategoryi trzeba zaliczyć zagęszczone osobliwie na początku bieżącego roku rzucanie wybuchowych pocisków po kościołach, w izbie sejmowéj (Francya), pod gmachami parlamentów (Włochy), pod gmachami rządowemi, po kawiarniach i t. p. Co komu winni ludzie modlący się w kościołach, albo pijący kawę w cukierni, żeby ich zabijać lub kaleczyć? Jest to niszczenie dla niszczenia, jest to walka jak nazywają stanu czwartego ze społeczeństwem mieszczańskiém (burżoazyą), a wszystko to dla steroryzowania ludzi. Gdybyż przynajmniéj umiano sformułować program reform i w skończonym ile tyle obrazie przedstawić ludziom, jak będzie wyglądał ten przybytek szczęścia! Nic z tego; jedno narzekania, złorzeczenia, groźby, szyderstwa. Ciągnie się to już pół wieku w tym samym tonie zgryźliwym, zjadliwym; odgrzewają się pomysły i frazeologia co pokolenie; nie zdobyto się na coś nowszego, chociażby i niedorzecznego. Nawet grunt teoryi zjałowiał.

Jak te fakta anarchizmu oceniać? Potępić. Samo potępienie jakiejś doktryny nigdy jéj nie zabijało; nawet sobory kościelne dawnych wieków nie zdołały wygładzić rozmaitych sekt mimo ich potępienia. A bywały sekty nie ustępujące w namiętnościach dzisiejszym anarchistom. Póki anarchiczne zamysły leżą w teoryi, w książkach, broszurach, świstkach, jeszcze one mniéj szkodliwe; a gdy się w czyny zamieniają, społeczeństwo, a właściwie rządy muszą przeciw nim używać argumentów nie rozumowych, lecz z innego materyału. Sprawa ta nie należy już do artykułów dziennikarskich.

Jest jednak pewien pogląd na czyny anarchiczne, nad którym chwilę zabawić się należy. Oto niektórzy publicyści nazywają je epidemią, chorobą społeczną. Gdy użyli porównania, zapominają o porównaniu i rozprawiają o dyagnozie i terapii jak się czyni w medycynie. Zatém czyny owe kwalifikują jako anormalne, chorobowe; wskazują lekarstwa, poczém składają pióra sądząc, że dokonali znamienitego dzieła. Porównania brane z fizyologii lub medycyny i stosowane do zjawisk społecznych mogą być ilustracyą ale nigdy dowodem. I tak: choroba w organizmie, nie jest czemś przypadkowém, lecz koniecznem. W mowie popularnéj zwykle ją uosabiają, mówiąc, że napadła człowieka niejako zewnątrz. Tymczasem ona siedzi w nim samym, czyli jest chorym organizmem. Tak samo i w społeczeństwach; zdarzające się wśród nich fakta zarówno dodatnie jak

i ujemne nie są przypadkowe, mogące być lub nie być; ale konieczne. Nie tylko w abstrakcyjnéj logice, lecz i w sprawach ludzkich, z pewnych, danych premis, muszą wyniknąć takie a nie inne objawy. Kto nie chce wyniku, nie powinien kłaść premis; a ponieważ w historyi premisy położono, więc wynik przyjemny lub wstrętny nastąpić musi. Anarchizm i jego potomstwo są wynikiem licznych faktów, praw, urządzeń ludzkich, które jako premisy dawno położono. Nie uniewinnia to jego doktryn, ani wymaga bezczynnego przyglądania się wyuzdaniu; tylko prostuje pogląd, jakoby to była choroba społeczna. Społeczeństwo nie choruje nigdy; tylko jednostki chorują.

Jeżeliśmy zaś weszli na grunt obcy, medyczny, to pytanie, coby przenośnie można nazwać chorobą w dzisiejszych stosunkach społecznych, z któréj inne choroby wynikają i komplikują położenie? Nie redukując zjawisk, uważanych za skutki, do jednéj przyczyny, możnaby przecież z dużem podobieństwem do prawdy utrzymywać, że i w anarchicznych zjawiskach społecznych głównie zawinił rozwielmożniony indywidualizm. Piękna to rzecz mieć swoje zdanie, zwłaszcza rozumne; piękna również, umieć go bronić; ale zawsze trzeba pamiętać, że wszyscy ludzie mogą mieć więcéj rozumu, niż Voltaire. Zabijać w ludziach samodzielności myślenia, inicyatywy działania nie godzi się; jednak i owo myślenie winno się liczyć z innymi ludźmi. Tymczasem gołowąse reformatory jak to najczęściéj bywa, przebudowywują świat wedle swoich konceptów, jak gdyby przed nimi nie było ludzi. Zresztą do reform gotowi są i wąsaci reformatorowie jak to bywało w niejednêm społeczeństwie. Gdzie zaś wśród gromad ludzkich zapanuje ciągłe n i e p o z w a l a m, upadek jest niechybny; wolność bierze górę nad jednością. Nie pozwalam, nie jedyną ale główną jest cechą anarchizmu. Nałamanie człowieka do poszanowania obyczaju, prawa, urządzeń publicznych, stanowiło po wszystkie czasy najtrudniejsze zadanie dla tych, co nim rządzili. Dziś słyszy on, że właśnie nikogo słuchać i niczego szanować nie powinien, krom swego ja, widzimisię.

Wiadomo, że jeżeli nie od początku świata, to przynajmniéj od Platona datują się projekty reformowania społeczeństwa. Romansów takich liczy historya przynajmniéj tuzin, prócz tych, które się urodziły w naszym wieku. Co tedy różni reformy zamierzane przez anarchistów od owych dawnych? To mówią oni sami, że dawni reformatorowie myśleli głównie o zmianach w formie rządu, czyli o zmianach politycznych; gdy tymczasem dzisiejsi dążą do zmian ekonomicznych, albo ogólniéj mówiąc, socyalnych. Gdy te zostaną przeprowadzone, tamte (polityczne) same z siebie, jako wynik konieczny nastąpią. Ro-

zumowanie wcale zasadne: prawdą bowiem zdaje się być postrzeżenie, iż formy rządu zależą głównie od stosunków ekonomicznych. Ale téż ci, którzy z anarchizmem walczą, rozumieją ten związek polityki ze sprawami ekonomicznemi i bronią własności indywidualnéj, małżeństwa, rodziny, dziedziczenia, spadkobrania i władzy.

Społeczeństwo ludzkie nie jest ani masą ciasta, które każdy piekarz mógłby ugniatać w rozmaite kształty, ani materyą, którąby krawiec mógł wedle mody krajać; więc coraz nowsi reformatorowie napróżno się kuszą o przykrawanie go według swojego smaku. Zapewne, zmiany w urządzeniach ludzkich przeprowadzają ludzie, tak jak nie kto inny, lecz ludzie, owe urządzenia zaprowadzili: dzieje się to jednak powoli i nieznacznie. Wprzód same stosunki ekonomiczne układają się przez wieki, wprzód dojrzéwają jak owoc na drzewie; potém dopiéro przychodzi rozumny i szczęśliwy, który owoc zrywa. Może mu się zdawać, że jest reformatorem, że z głowy swojéj wysnuł projekt reformy—tymczasem za niego i przed nim pracowały dzieje. Udział nawet genialnych jednostek w zaprowadzaniu i ustalaniu reform jest stosunkowo drobny, lubo nie można powiedzieć, że żaden.

Jacykolwiek zresztą są reformatorami, mądrzy lub mniéj mądrzy, sam ten fakt, że ich nigdy na świecie nie brakło, zasługuje na uwagę i poszukanie przyczyn tego zjawiska społecznego.

Zacznijmy od pewnika, czy od przysłowia: Jeszcze się ten nie urodził, coby wszystkim dogodził. Przyczyna do układania planów reformy leży najprzód w ludziach. Różnią się oni między sobą uczuciami i pojęciami: bywają tępsi i bystrzejsi, bywają mniéj lub więcéj zainteresowani w pewnych zmianach i reformach. Wszyscy zaś pragną udogodnienia sobie życia, a przypisując niedomagania społeczne nie sobie, lecz instytucyom, dążą do ich zmiany. Inicyatywa do reform zawsze brała początek od jednostek, chcących poprawić, ulepszyć istniejący stan rzeczy. Tego pragnienia udoskonaleń potępiać nie można; w braku jego, z gromady ludzkiéj utworzyłoby się bagno. Ale i ciągłe reformowanie musiałoby sprowadzić chaos, zachwiać ufność ludzi i wytworzyć bagno innego rodzaju. Miara, jak wszędzie tak i tu, konieczna.

Nietylko w zmienności ludzkich uczuć i pojęć leży źródło reformatorskich projektów, lecz i w samych instytucyach. Jeżeli je przyrównać do odzieży, to wiadomo, że odzież dziecka nie przypada do kształtów dorosłego: trzeba ją albo przerobić, albo sprawić nowe. Teorya rozwoju, znajdująca sprawdzenie w świecie roślinnym i zwierzęcym, niemniéj objaśnia nam urządzenia ludzkie. Nic na tym świecie nie trwa bez zmiany; instytucye starzeją się, jeżeli nie tak prędko jak

ludzie, jednakże po dwóch, trzech pokoleniach, już czwartemu nie przypadają do smaku, krępują jego ruchy, muszą uledz pewnéj modyfikacyi. Ściśle biorąc i reformy są tylko modyfikacyami istniejących urządzeń. Gdyby jeszcze raz użyć porównania instytucyi z suknią, powiedzielibyśmy, że najradykalniejsze reformy w dziedzinach życia nietyle są nowemi sukniami, ile łataniną starych, podartych. Nie tak to łatwe, jeżeli wogóle możliwe, wymyśléć coś nowego w urządzeniach społecznych, bo społeczeństwo nie jest machiną. W mechanice ciągle dzieją się wynalazki. Między ludźmi i to ma wartość, gdy się suknia dobrze połata. Im społeczeństwo starsze, gruntowniéj oświecone i życiem wyrobione, tém mniéj jest skwapliwe do reform, zwłaszcza radykalnych: równocześnie mniéj się w niém wychowa anarchistów. Dziki lub półdziki ciągle się przenosi z miejsca na miejsce, przestawia, przesuwa sprzęty, myśląc, że gdy je postawi przy innéj ścianie, dokona reformy.

K.



FRANK I FRANKIŚCI POLSCY

(1726—1816).

Wstęp do większéj całości.

W roku 1845 czasopismo „Biblioteka Warszawska” rozpoczęło było druk przekładu opowiadania historycznego z drugiéj połowy XVIII-go wieku, pod tytułem: „Józef Frank”.

Nazwisko autora owéj powieści było zmyślone, przekład zaś, po wydrukowaniu paru zaledwie jego rozdziałów początkowych, przerwanym został.

Postronne względy dla nazwisk rodzin, w powieści téj wzmiankowanych, których potomkowie korzystają dotychczas z zasłużonéj w obywatelstwie krajowém popularności, zniewoliły ówczesną redakcyę „Biblioteki” do powzięcia niefortunnego postanowienia, które wywołało wprost przeciwny zamierzonemu skutek, otoczywszy i autora i bohatérów jego opowiadania jakąś obsłoną tajemniczości; samą zaś powieść—urokiem owocu zakazanego.

Jakoż, oryginał amputowanéj powieści usunął się z widowni literackiéj na długo; rękopis zaś przekładu polskiego po wielu wędrówkach dostał się do jednego z bogatszych księgozbiorów warszawskich, szerszym kołom czytelników niedostępnego i prawdopodobnie, bez szkody zresztą dla literatury, nigdy ogłoszonym nie zostanie.

Autorem powieści, o jakiéj mowa, był Juliusz baron Brinken, Niemiec, od roku 1818 główny zarządzca leśnictwa w Królestwie Polskiém (zmarły w r. 1846), sprowadzony z Westfalii przez księcia ministra Lubeckiego, wielce zasłużony w sprawie urządzenia zwierzyńca skierniewickiego i lasów na trakcie radomskim pod Sękocinami.

Pozorna źródłowość powieści Brinkena, dyletanta, który o warunkach twórczości literackiéj, a tém mniéj o krytycznem spożytkowaniu źródeł, najlżejszego nie miał wyobrażenia, stała się powodem, że wszyscy dotychczasowi biografowie Franka z owego mętnego źródła zaczęli czerpać informacye o osobie głośnego agitatora.

Po Adryanie Krzyżanowskim i ks. Hieronimie Kajsiewiczu, z których pierwszy, w broszurce: „Dziejowość antitalmudystów polskich" (1849 r.), a drugi, w dodatku do przekładu „Żywotów pseudo-Mesyaszów żydowskich" d-ra Seppe'a („Przegl. Pozn." 1852) podali niedokładne o Franku i jego działalności szczegóły, zamieścił był Julian Bartoszewicz w roku 1862 w „Encyklopedyi Orgelbranda" (t. IX) obszerniejszy artykuł o Franku, prostujący niektóre wersye Brinkena i zasilony wiarogodniejszemi już danemi o działalności reformatora, wziętemi z gazet krajowych zeszłowiecznych.

Zebrane przez Bartoszewicza szczegóły wcielił następnie Hipolit Skimborowicz do artykułu o Franku w „Tygodniku Ilustrowanym" z r. 1866 [1]) i do broszury swéj, w tymże roku wydanéj, p. t.: „Żywot, skon i nauka Jakóba Józefa Franka", do któréj dołączył wyrywki ze źródła rękopiśmiennego, dziwacznym tytułem „Biblii bałamutnéj" dowolnie opatrzonego. Jakkolwiek Skimborowicz na ostatnich stronicach swéj broszury podał liczny spis źródeł drukowanych do dziejów Frankizmu, z opracowania jego wszakże widoczna, że autor, źródeł owych albo nie czytał, lub téż należytego z nich nie chciał zrobić użytku. Dowodem tego jest zupełnie błędne zrozumienie ważnego źródła, a mianowicie części III-éj wydanego w r. 1758 we Lwowie dzieła p. t.: *De decisoriis processus inter infid. Judaeos diocesis Camenecensis etc.*, obejmującego przebieg sprawy Franka z rabinami podolskimi, osnowę dysput w Kamieńcu Podolskim z nimi przeprowadzonych, treść motywów i dekretu sądu biskupiego, podówczas przeciw talmudystom ferowanego, oraz inne dokumenty, niepośledniego w téj sprawie znaczenia.

Nie skorzystawszy należycie z innych, podanych przez siebie źródeł, chociaż drugorzędnych, jak np. z relacyj drukowanych, księży: Awedyka i Pikulskiego, opisujących przebieg drugiéj, lwowskiéj, dysputy z żydami, z r. 1759, pominął Skimborowicz źródło ważne, które

1) Numery: 338 i 339.

już wówczas, gdy broszurę swą opracowywał, istniało i wyczerpującego wymagało spożytkowania.

W roku 1863 ukazał się był tom IV pomnikowego wydawnictwa o. Augustyna Theinera: *Vetera monumenta Pol. et Lith.*, obejmujący relacye nuncyusza ks. Serra, biskupa Mityleńskiego, w latach 1759 i 1760 do Rzymu przesyłane, które do dziejów ówczesnych frankizmu ważny stanowią przyczynek, a z których dopiéro historyk niemiecki, Grätz, w rozprawie: *Frank und die Frankisten* (r. 1868) mniéj przedmiotowy, a więcéj tendencyjny zrobił użytek.

O źródle tém nie ma w broszurze Skimborowicza wzmianki, natomiast powołane są niezdarne powieści: Osieckiego „Kossakowska" i Brinkena „Józef Frank", najwierutniejsze bajdy o Franku rozpowiadające.

Najgorszy wszakże użytek zrobił Skimborowicz z rękopiśmiennego materyału, który się wypadkowo do rąk jego był dostał. Była to księga zawieruszona u jednéj z rodzin, któréj przodkowie, za przewodem Franka, porzucili judaizm, a w niéj, według relacyi Skimborowicza, sami jakoby frankiści „mówią o swych zasadach i o Franku; mówią nie dla świata, bo nie drukują téj nauki, ale—dla samych siebie..."

Wyrywki przez Skimborowicza z owéj księgi podane, zamiast pożądanego światła, najbałamutniejsze rozpowszechniły o Franku i o jego zasadach pojęcia. Dowolny tytuł, nadany przezeń owemu szacownemu rękopisowi, stał się tajemniczą bramą, do któréj odtąd wszyscy następni biografowie Franka zaczęli się dobijać, w nadziei, że zdobędą klucz do rozwiązania zagadki, jaką przedstawiała osobistość i dążności słynnego agitatora. Nie znalazłszy wszakże środka do wytłómaczenia sobie w racyonalny sposób zasad Frankizmu, monografiści ci poprzestali na—nietyle wprawdzie zawiłéj, lecz praktyczniejszéj metodzie: przepisywania dosłownego wersetów, przez Skimborowicza przytoczonych, lub téż parafrazowania ich, z bardzo wątpliwą dla nauki korzyścią.

Broszurka Skimborowicza stała się w literalném tego wyrazu znaczeniu, z r ó d ł e m, z ktorego zaczęto czerpać, jakby z jakiéjś krynicy, powtarzając z namaszczeniem powierzchowne glosy wydawcy i wyciągając z nich najbezzasadniejsze wnioski.

Począwszy od rozprawy niemieckiego historyka Grätza, aż do wydanéj w roku zeszłym książki Z. L. Sulimy: „Historya Franka i frankistów", możnaby wyliczyć szereg pisarzy, dla których wyciągi Skimborowicza z tak zwanéj „Biblii bałamutnéj" stanowiły dotychczas wyłączny fundament, na którym budowali gmach niewiarogodnych przypuszczeń o istocie frankizmu. Bez przesady rzec można, że mało

która z książek polskich dostąpiła tak zaszczytnego wyróżnienia i rozgłosu międzynarodowego, jak właśnie powierzchowna robota Skimborowicza...

Dziwić się temu nie można, gdyż Skimborowicz, opowiedziawszy w ogólnikowych wyrażeniach, jaką drogą cenny swój rękopis od „jednego z nestorów literackich" otrzymał, i o tém, że ów rękopis blisko lat sto przechowywał się w pewnéj rodzinie, „któréj następcy, zostawszy prawdziwymi i szczerymi chrześcianami, w kąt cisnęli dawną, bałamutną, jak zwali, biblię", ani jednêm słówkiem nie objaśnił, co się z owym tajemniczym rękopisem stało?

Tym sposobem, dla badaczy frankizmu, źródło powyższe usunęło się z pod kontroli i każdy, bez krytyki, przyjmować musiał, na wiarę słów Skimborowicza, to, co w jego broszurze znalazł. Że tak niewłaściwe ukrywanie światła pod korcem nie wyszło na dobre i literaturze w ogóle i dziejom Franka w szczególności, dowodem tego jest ubóstwo materyału, jakim wszyscy dotychczasowi monografiści frankizmu rozporządzali.

Najpoważniejszy z nich, Grätz, nie stanowi w téj mierze wyjątku. Tém mniéj zaś może praca tego historyka być uważaną za wyczerpującą i źródłową, ile że autor, stronniczém i fanatycznêm niemal traktowaniem zaczątków i celów ruchu frankistowskiego, gruntowną nieznajomością stosunków polskich, wśród których akcya Franka powstała i do rozwinięcia doszła, nieznajomością języka źródeł, skąd czerpał o osobach i sprawach frankizmu swoje informacye, (*Die mystische Jungfrau, soll mit einem polnischen Edelmanne* Jerzem Marcinow Lubomirski *verlobt gewesen sein...* [str. 75], Jemerdski Dębowski [str. 68] i t. d.); inwektywami, rzucanemi nieustannie pod adresem Franka, w rodzaju: *Lügner*, *Betrüger*, *Erzlügner*, *Erzschelm*, *Aufschneider*, sprowadził własnowolnie stanowisko obiektywnego dziejopisa na poziom namiętnego oskarżyciela frankizmu.

Trzeźwiejszym nierównie poglądem na osobistość Franka i jego dzieje zaleca się ładnie i po literacku napisana książka Z. L. Sulimy, lecz, niestety, za dorobek naukowy, posuwający na drobną choćby metę wiadomości o Franku i frankistach, uważać jéj nie podobna.

Jestto powtórzenie znanych i już wielokrotnie spożytkowywanych drukowanych źródeł: Awedyka, Pikulskiego, Skimborowicza, Grätza, Schenk-Rincka i artykułów o Franku w „Izraelicie" drukowanych. Wersety z tak zwanéj Biblii bałamutnéj podane tu są *in extenso*, z lekką gdzieniegdzie przymieszką parafrazy. Przebieg dysputy kamienieckiéj podał Sulima błędnie, według opowieści Skimborowicza, pomimo że łatwo było w bibliotekach warszawskich postarać się o zbiór

de decisoriis. Zamieszczona w końcu książki Sulimy w rozdziale nowa szlachta, lista neofitów uszlachconych na sejmie 1764 r. stanowi jedynie przedruk z *Volumin*'ów *legum*, nieobjaśniony na podstawie cennéj rozprawy M. Janeckiego: *Erhielten die Juden in Polen durch die Taufe den Adelstand?* (Berlin, 1888), która zasadniczo zmieniła błędny dotychczasowy pogląd historyków na znaczenie znanego paragrafu statutu litewskiego, odnośnie do neofitów.

Pomimo tych braków, odejmujących pracy Sulimy wartość pomocniczéj dla badacza frankizmu wskazówki, piszący te słowa poczuwa się osobiście do obowiązku szczeréj dla autora „Historyi Franka i frankistów" wdzięczności. Jego to przeważnie praca zniewoliła go do postawienia sobie pytania: czyli w istocie w sprawie dziejów frankizmu nie podobna się zdobyć na rozszerzenie zakresu źródeł, by można dzieje te na pewniejszych i trwalszych oprzéć podstawach? i czyli, w rzeczy saméj, dotarcie do owego tajemniczego źródła, skąd Skimborowicz czerpał wiadomości o nauce Franka, należy do marzeń urzeczywistnić się nie dających?

Odpowiedź na to pytanie daje—niniejsza praca.

Bez zamiaru niestosownéj przechwałki, a więcéj celem udowodnienia, że wytrwałość i dobra wola w pewnym kierunku doprowadzają zawsze do pożądanych rezultatów, zaznaczam, że w pracy niniejszéj mogłem się, bez żadnéj dla przedmiotu szkody, obejść bez pomocy dotychczasowych opracowań dziejów Franka, i że, dotarłszy do źródeł archiwalnych i rękopiśmiennych, a przedewszystkiém do manuskryptów, obejmujących wszystkie zasady: teozoficzne, etyczne i społeczne inicyatora ruchu religijnego między żydami polskimi drugiéj połowy XVIII-go wieku, doszedłem do rezultatów, które, przynajmniéj pod ilościowym względem, przeszły moje oczekiwania, tak, że na podstawie nowych tych zdobyczy źródłowych mogłem, i o osobistości Franka i o istocie jego dążeń, odmienne, a, śmiem sądzić, zasadniejsze od moich poprzedników, wytworzyć sobie zapatrywanie.

Obiektywne przedstawienie przebiegu agitacyi Franka na podstawie materyałów, po raz pierwszy na światło historyi wyprowadzonych, więcéj w sobie zawiéra momentów dramatycznych, podniecających fantazyę czytelnika i skłaniających go do poważniejszych nad losami owéj zagadkowéj osobistości refleksyi, aniżeli chybione dotychczasowe wysiłki nad romansowém i romantyczném jéj odtworzeniem.

Dzięki uczynności Konstantego hr. Przezdzieckiego, posiadacza jednego z zasobniejszych rękopiśmiennych zbiorów, owo tajemnicze źródło, Biblią bałamutną nazwane, stało mi się dostępném. Jestto obszerny rękopis, bez tytułu, in 4-o, nr. 384 oznaczony, stronic 681

a fragmentów 2191 zawierający, pisany na papierze szarym, w początkach bieżącego stulecia, drobnym, wyblakłym charakterem, w języku polskim, nie zawsze poprawnym, lecz stylem barwnym i kwiecistym, przypominającym fantastyczne opowieści Wschodu.

Obejmuje on w szeregu fragmentów całokształt nauki Franka, w przypowieściach, parabolach, onomatopeach, i metaforach, spisany i ułożony przez niewiadomego nazwiska przybocznego sekretarza Franka, sposobem niemal że stenograficznym.

Rozczytując się w owych dziwacznych urywkach, przypominający metodą swéj redakcyi fragmenta nowoczesnego filozofa, Nietzsche'go: „*Also sprach Zarathustra,*" możemy przez odpowiedni układ treści dojść do odtworzenia wszystkich epizodów żywota Franka, począwszy od jego dzieciństwa i lat młodzieńczych, do wędrówek jego po różnych miastach tureckich, do pierwszych zaczątków jego agitatorskich planów, obudzonych pod wpływem dwóch przybłędów z Polski: Isachara i Mardocheusza, którzy, myśli jego ku zoharyckim skierowali badaniom, możemy śledzić działalność Franka w miasteczku podolskiém I w a n i c, nad Dniestrem, gdzie się zgrupowała około niego pokaźna już liczba zwolenników: starców, niewiast, młodzieży i dzieci, gdzie sformowany został orszak czternastu mężczyzn i takiejże liczby kobiet, ślepo mistrzowi swemu oddany, któremu w fantastycznych baśniach, przypowieściach i porównaniach zasady swoje i marzenia o wszechwładzy nad tłumem wynurzał; możemy, krok w krok, dążyć za pochodem Franka przez Lwów do Warszawy, stąd zaś, przez 13-letni pobyt w częstochowskiéj twierdzy, do Berna Morawskiego i do Offenbachu, aż do o d e j ś c i a P a ń s k i e g o t. j. do jego zgonu, w dniu 10 grudnia 1791 r. zaszłego. Wędrówka po owym rękopisie obejmuje blisko trzydziestoletni okres działalności Franka.

Zasady jego, religijne, etyczne i społeczne, ujawniają się w orzeczeniach kwiecistych, częstokroć zagadkowych, lecz niepozbawionych charakterystycznych cech oddźwięku zasłyszanych z teozofii żydowskiéj i chrześciańskiéj zasad.

Jest to dziwaczna mieszanina prawdy z kłamstwem, powagi z żartobliwością, poezyi z najrealniejszą, naturalistyczną niemal prozą, etyki z niemoralnością, praktycznych celów i zachcianek, z najwznioślejszemi aspiracyami... Na tle owych zasad widnieje postać niepospolitego, bądź co bądź, człowieka, o jasno wytkniętym przed sobą celu: wyrwania, przy pomocy środków, co prawda, najbezwzględniejszych i z własnym materyalnym interesem skojarzonych, tłumów żydowskich, z ich wiekowéj niedoli, pobudzenia ich do zerwania z tra-

dycyą i wiarą przodków i do szukania nowéj prawdy w innéj wierze nowych warunków bytu—wśród społeczeństw europejskich.

Drogą do celu tego wiodącą, miał być początkowo chrzest; lecz na nim nie zatrzymały się aspiracye Franka. W dążeniu do zapewnienia sobie przedewszystkiém nieograniczonéj władzy nad prostaczkami, przekroczył on granice zakreślone dla jednostki społecznéj w oddziaływaniu na umysły ludzkie. Z nauczyciela i przewodnika chciał sam zostać najprzód Sułtanem w obec swego haremu, następnie władzcą nieograniczonym jakiegoś utopijnego państewka, a w końcu — Panem i Mesyaszem nowo przez siebie obmyślonéj wiary...

Tu jednak zapędy jego znalazły zasadny opór w duchowieństwie krajowém. Uwięziony bezterminowo i pozbawiony środków czynnéj agitacyi, postanowił się zemścić i zaczął szerzyć między rzeszą naiwnych zasady szczególniéj jakiejś teozofii, głosząc teoryę czworakości Bóstwa (Bóg życia, Bóg bogactw, Bóg śmierci i Bóg Bogów...) i obiecując im wiekuisty, na téj ziemi, żywot.

Owa objawiona jakoby prawda religijna, przez Franka mianem Daas ochrzczona, stała się odtąd sztandarem, około którego zaczęły się gromadzić łaknące bogactw i wiekuistego żywota rzesze... Gwoli urzeczywistnieniu swych zuchwałych aspiracyj, otoczył się Frank, już po swém wyzwoleniu z Częstochowy (r. 1771), nie widzianym dotąd między żydami blaskiem i ostentacyą. Pomocą ku temu były ofiary w beczkach złota, zewsząd mu przez „Prawowiernych" nadsyłane: z Polski, Moraw, Czech, Węgier i Turcyi, a bardziéj jeszcze, względy, przez cesarza Józefa II-go i przez księcia Isemburskiego mu okazywane.

W morawskiém mieście Brnie, gdzie znowu lat 13 spędził, teozoficzna jego teorya doszła do zupełnego rozwinięcia, lecz dopiéro w Offenbachu, łudząc nieustannie przybłędów z Polski i Czech, napomknieniami o tajemniczém swojém pochodzeniu, porzucił Frank rolę Mesyasza i proroka i objawił zaufanym, że jest synem potężnego króla wschodniego, że jest posiadaczem dwóch niezmiernych skarbów „jednego koło morza, a drugiego koło Dunaju" (Frag. 1948) i że królewskość swoją przekazuje córce jedynéj — Awaczy, która, jak zapewniał, nietylko z piękności, lecz i z rodu „w istocie jest królową." (Frag. 9).

Owa córka Franka, dotąd w pracach poprzedników pod nazwą jakiéjś Eminy występująca, między „prawowiernymi" jako Ewa zwana, imienia Eminy nigdy nie nosiła, a Ewą nazywać się nie powinna była...

W dniu 1 maja 1760 r. otrzymała ona, przy chrzcie z wody, w katedrze lwowskiéj, imię Zofia Gertruda (rodzicami chrzestnymi byli: Jan Dąbrowski skarbnik halicki i Justyna Tyszkowska stolnikowa żytomirska), lecz gdy następnie osadzony w twierdzy częstochowskiéj Frank, od nowo przyjętéj wiary był odstąpił, Zofia Gertruda, powtórnie, przy asystencyi głośnéj pani Kossakowskiéj, w dniu 2 lipca 1762 r. w m. Lublinie z ceremoniami ochrzczona, przyjechawszy do ojca swego do więzienia, wróciła do imienia swego, Awaczy, jakie w Nicopolis po urodzeniu swém otrzymała i stała się w pojęciu „prawowiernych” ową tajemniczą Panną, która w teozoficznych bredniach sekciarza tak zagadkową odgrywa rolę.

Owa właśnie dwulicowość stanowiska zajętego przez mistrza w obec uczniów, bez względu na fakt publicznego wyrzeczenia się przezeń wiary przodków i przyjęcia chrystyanizmu, znajduje wyjaśnienie w zasadach, jakie w otoczeniu najbliższém wygłaszał, a które przyboczny jego sekretarz ku zbudowaniu „wiernych” skrupulatnie notował.

Odnalezienie rękopismu frankistowskiego w księgozbiorze hr. Przezdzieckiego było wskazówką do dalszych poszukiwań, celem uzupełnienia pozostałości literackiéj po Franku. Nadspodziewanie pomyślny skutek uwieńczył te usiłowania. Oprócz poprawniejszéj i czytelniejszéj kopii powyższego zbioru, otrzymałem od p. J. N. miłośnika archaicznych zabytków, kilka rękopisów, uzupełniających ów bezdziedziczny po Franku spadek.

Materyał ów obejmuje:

1. „Księgę słów Pańskich,” będącą powtórzeniem fragmentów rękopisu hr. Przeździeckiego, z dodaniem seryi fragmentów nowych.

2. „Księgę widzeń i proroctw,” jako niezdarne naśladowanie Izajaszowych.

3. „Księgę snów Pańskich.”

4. „Kronikę” t. j. zbiór faktów i anegdot z życia Franka (w stu kilkunastu fragmentach).

To ostatnie źródło dla dziejopisa Franka jest najważniejsze. Jakkolwiek niektóre szczegóły, odnoszące się do zaczątków publicznej działalności Franka, różnią się nieco od danych, stwierdzonych autentycznemi źródłami, jednakże, poczynając od roku 1760 t. j. od daty uwięzienia Franka w Częstochowie, źródło to staje się zasadniczém i rzucającém jaskrawe światło na dalszy przebieg agitacyi i na stanowcze w życiu agitatora epizody. Zmienia ono i prostuje wiele błędnych faktów, dotychczas w monografiach o Franku powtarzanych i uchyla zasłonę tajemniczą, która do ostatnich czasów rodkiś,

jakiemi się posługiwał Frank w oddziaływaniu na umysły „wiernych,” okrywała. Data urodzenia Franka podana jest w Kronice na rok 1726; miejsce jego urodzenia — wieś Bereżanka, w powiecie Kamienieckim, nad rzeką Żwańczykiem, niepodal od miasta Husiatyna. Małżeństwo jego z Chaną, córką Tobiasza, z Nicopolu (nad Dunajem) przypada na dzień 11 czerwca 1752.

W téméże mieście Nicopolu, w październiku, r. 1754, przychodzi na świat córka Awacza (zmarła w d. 7 września 1816 r. w Offenbachu).

1 września 1757 r. w Giurgiewie rodzi się pierwszy syn Franka— Lejb (Emanuel).

10 września 1760 r. Emanuel umiéra we Lwowie.

Pozostałe dzieci małżonków Frank rodzą się w Częstochowie.

21 lipca 1762 syn Jakób (zmarły tamże w d. 5 grudnia 1769 r. Pochowany w jaskini Olsztyńskiéj).

10 września 1763 r. syn Roch (zmarły dnia 17 lutego 1813 r. w Offenbachu).

7 marca 1767 r. syn Józef (zmarły w Offenbachu w r. 1807).

W dniu 25 lutego 1770 r. umiéra w Częstochowie żona Franka (tak zwana: ś. p. Jejmość) — Chana. Pochowana obok zwłok syna Jakóba, w jaskini Olsztyńskiéj pod Częstochową.

Wyjaśnia nam „Kronika,” ze wszelkie baśni o pobycie panny Awaczy w Warszawie, o jéj stosunkach z dostojnikami dworu Stanisława Augusta, pozbawione są podstawy.

Panna Awacza, dziecięce lata swoje i młodość do 20-go roku życia spędza przy ojcu, w więzieniu częstochowskiém i gdy bracia jéj Roch i Józef pozostają pod opieką „kompanii,” ona bawi z ojcem w Brnie Morawskiém, gdzie dopiéro stosunek z cesarzem Józefem II-im wyprowadza ją na szerszą widownię awanturniczego życia...

Podaje nam Kronika dosyć szczegółowo tryb życia Franka w czasie trzynastoletniéj jego niewoli w Częstochowie, zadający kłam dotychczasowym baśniom o udręczeniach, jakiemi go tam jakoby nękano.

Opis ten jest tém ciekawszym, iż wyjaśnia stopniową ewolucyę pojęć i dążeń jeńca, który kierowany pobudkami zemsty, usiłuje ruch religijny między żydami zwrócić w inne łożysko, a zniechęcony doznaném w téj mierze niepowodzeniem, odstępuje od chrystyanizmu i narzuca swoim adeptom nowy, przez siebie obmyślony, dziwaczny, systemat teozoficzny.

Anegdotyczne szczegóły o tajemniczych obrządkach, wykonywanych w otoczeniu Franka, o inicyacyach wiernych, o ślepém i poniżającém godność ludzką traktowaniu przez Franka orszaku bajaderek, które pełniły rolę „jego sióstr,” o poselstwach wysyłanych z Częstochowy do różnych krajów, w celu werbowania prostaczków etc. uzu-

pełniają opisy i notatki stosunków mistrza z dostojnikami na dworze wiedeńskim i zagadkowéj roli panny Awaczy przed pierwszém bankructwem Franka w Brnie Morawskiém.

„Księgi snów, widzeń i proroctw," zdumiewające swą naiwnością, mniejszego są dla dziejopisa Frankizmu znaczenia, lecz jako materyał wysoce charakterystyczny, stanowią dowód owéj ślepéj wiary otoczenia do słów „Pana," jeżeli orzeczenia jego, usuwające się z pod wszelkiéj kontroli wiarogodności, notowano pilnie, gwoli pamięci i zbudowaniu „prawowiernych."

Z uwagi na rozmiary materyału powyższego i osnowę, przepełnioną balastem czczéj gadaniny i bredni, o zużytkowaniu go całkowitém w niniejszéj pracy, mowy być nie może. Z fragmentów rękopiśmiennych, nie odznaczających się nawet literacką formą i podniosłym nastrojem, dostateczna będzie przytoczyć to jedynie, co do wyrazistszéj charakterystyki samego mistrza i jego pomocników przydać się może; resztę zaś, bez szkody dla nauki, należy na zawsze pozostawić w spokoju.

Przechodząc do wykazu dalszych źródeł rękopiśmiennych, w pracy niniejszéj po raz pierwszy zużytkowanych, wymieniam:

Cenny rękopis, przez Wł. Korotyńskiego łaskawie mi użyczony, obejmujący protokólarne własne zeznania Franka, w sądzie duchownym warszawskim w r. 1760 po przyaresztowaniu pseudo Mesyasza złożone.

Rękopis ten, pod tytułem: *Interrogatoria et depositiones Jacobi Josephi Frenk, recens ad fidem Christianam conversi,* stanowi księgę *in folio*, z Biblioteki ongi OO. Pijarów pochodzącą i przedstawia niejako autobiografię Franka, do r. 1760 doprowadzoną, z dokładnym opisem pierwszych jego pobudek do wystąpienia w roli duchownego przewodnika i reformatora żydowskiego, jest tém samém pożądaném uzupełnieniem Kroniki Pańskiéj, która jedynie zewnętrzne objawy działalności Franka, a nie psychiczne właściwości jego charakteru zaznaczyć mogła była.

Niektóre szczegóły owego protokółu zużytkował ks. Awedyk w „Historyi dworniejszych okoliczności", etc. [1]), lecz referat tego autora, blady i bezbarwny, nie wytrzymuje porównania z całością zeznań samego Franka, przedstawionych w wyrażeniach wysoce charaktery-

---

[1]) Estreicher w tomie XII „Bibliografia w układzie abecadł." (Kraków, 1891, str. 311) podaje, że jedynie biblioteka wileńska posiada egzemplarz dziełka ks. Awedyka. Znajduje się ono i w bibliotece głównéj w Warszawie (VII 7, 4, 17).

stycznych, a stanowiących opowieść różnych epizodów jego życia, tych zwłaszcza, w których powstała pierwsza pobudka do publicznego wystąpienia przeciw religii przodków.

Stosując nawet metodę ściśle krytyczną do oceny wiarogodności i dokładności zeznań człowieka przed sądem stojącego i językiem zrozumiałym dla sądu nie władającego, usiłującego przytém ubarwić pobudkami wrzekomego apostolstwa czyny naganne ze stanowiska prawa kanonicznego i państwowego; nie można odmówić dokumentowi wzmiankowanemu wagi pierwszorzędnéj, dla bliższego poznania charakterystyki Franka.

Do owego rękopisu, jako integralna jego część, należą i *Reflexiones in negotio Contra-Talmudistarum*, przez przewodniczącego w sądzie duchownym (niewątpliwie ks. oficyała Turskiego) spisane, i wreszcie źródłowy referat tez dysputy lwowskiéj (1759 r.), prawdopodobnie przez ks. administratora, Leopolda Mikulskiego zredagowany i ks. biskupowi kujawskiemu, Sebastyanowi Dembowskiemu, współcześnie przesłany.

Do dalszych źródeł rękopiśmiennych należą udzielone mi z prywatnego zbioru rozmaite dokumenta i akta, odnoszące się do pobytu rodziny „baronowstwa von Frank" w Offenbachu (1788—1816), wraz z notatką o uroczystości pogrzebu Franka, z gazety frankfurckiéj zaczerpniętą.

* * *

Niemniéj bogaty plon do pracy niniejszéj przyniosły mi wypisy z archiwów kościelnych i publicznych różnych miast, w których się działalność Franka bezpośrednio, lub téż pośrednio, w następstwach swoich, rozwijała. Z uprzejmego zezwolenia Alfreda von Arneth, dyrektora c. k. archiwum tajnego wiedeńskiego (*K. K. Haus, Hof und Staatsarchiv*) otrzymałem odpis ciekawéj korespondencyi, w r. 1776 przeprowadzonéj między księciem-kanclerzem Kaunitzem, a rezydentem austryackim w Warszawie, baronem Revitzky'm, w sprawie nadania Frankowi godności hrabiowskiéj, o jaką się ambitny agitator podówczas ubiegał. Informacye zasięgnięte przez Revitzky'ego o osobistości Franka w kancelaryi nuncyatury papieskiéj w Warszawie, ujawniły, na podstawie relacyi nuncyusza Serra, z lat 1759 i 1760 pochodzącéj, zagadkowość dążeń i charakteru Franka i zmusiły tego ostatniego, po otrzymanéj od dworu austryackiego odprawie, do obniżenia skali wymagań i poprzestania jedynie na godności barona, jaką

też, w rzeczy saméj, od mniéj skrupulatnego w udzielaniu odznaczeń, księcia Ernesta Izemburskiego, następnie był otrzymał.

Informacye o trybie życia i o przebiegu bankructwa finansowego, któremu po śmierci Franka rodzina jego w Offenbachu uległa, czerpano dotychczas z broszury Schenk-Rincka: *Die Polen in Offenbach* (Frankfurt, 1866) i z artykułów *Gartenlaube* w latach 1865 i 1866 o Franku ogłoszonych, a właściwie z wyciągów, jakie z owych druków Grätz i czasopismo „Izraelita” zamieścili byli.

Pragnąc rozszerzyć wiadomości o owym epizodzie z dziejów frankizmu, skorzystałem z wskazówki p. Brinka, burmistrza m. Offenbachu i zwróciłem się do zarządu dominium izemburskiego w Birstein (*Fürstlich Isenburgische Rentkammer zu Birstein*), z prośbą o informacyę co do możliwie przechowywanych w archiwach księstwa dokumentów z owéj epoki. Na podanie to otrzymałem przychylną odpowiedź, iż radca archiwalny dr. Aander von Heyden podejmie w tym kierunku kwerendę. Jakoż i z tego źródła pozyskałem cenne szczegóły, dowodzące zaufania bez granic mieszkańców Offenbachu, Frankfurtu i Moguncyi, do zagadkowéj rodziny „baronowstwa v. Frank”, która, prowadząc kosztem zaślepieńców polskich i czeskich wystawny tryb życia, w otoczeniu licznego dworu i przyrzekając spłatę lichwiarskich długów z tajemniczych źródeł, zdołała w ciągu lat kilkunastu strwonić olbrzymią fortunę i dojść do bankructwa finansowego, które było równocześnie i bankructwem frankizmu, jako sekty.

Uzupełniły powyższe dane i odpisy własnoręcznych listów Ewy Frank, arcy-niegramatycznie do wierzycieli pisanych, a obejmujących ciekawe o gospodarce „Pani” szczegóły, które, w związku z aktami protestów niezapłaconych przez nią weksli i inwentarzami pozostałości po zmarłych jéj braciach: Józefie i Rochu, żadnych zgoła aktywów nie przedstawiającemi, wreszcie, w związku z relacyą o trybie życia owego rodzeństwa, pozostawioną przez barona Porgesa von Portheim z Pragi Czeskiéj, dadzą nam obraz zuchwaléj mistyfikacyi, jaka się podówczas już po śmierci Franka (obwożonego codziennie w przysłoniętéj szczelnie karecie, pod pozorem, że Pan żyje wiecznie) rozegrywała.

Do powyższych materyałów należało dołączyć i dane statystyczne o liczbie neofitów polskich z końca XVIII wieku, dotychczas zupełnie przez dziejopisów frankizmu nie uwzględniane.

Teodor Morawski w „Dziejach nar. pol.” (IV, 296) podaje cyfrę Frankistów, którzy podówczas we Lwowie chrzest przyjęli na 7,000 głów, ogół zaś ich w Polsce na 24,000 głów.

Cyfry to dowolne.

Pragnąc w téj mierze pozyskać pewniejsze dane, zwróciłem się do jedynego wiarogodnego źródła, a mianowicie do ksiąg kościelnych archikatedry lwowskiéj i dzięki zabiegliwości d-ra Franciszka Krčka, otrzymałem dokładny odpis z księgi: „*Liber baptisatorum Ecclesiae Metrop. Leopoliensis ritus latini*”, *ab anno* 1730—1765, vol. IV, który mi w téj mierze przyniósł źródłową informacyę. Takiż odpis z ksiąg kościoła katolickiego w Kamieńcu Podolskim przez ś. p. d-ra Rollego, nieodżałowanego autora „Opowiadań”, do zamierzonéj na krótko przed zgonem pracy o Frankistach podolskich przygotowany, spełniając przyrzeczenie zmarłego, który owym materyałem podzielić się ze mną był przyrzekł, nadesłał mi syn historyka, W. Michał Rolle, wraz z kilkoma cennemi notatkami autora „Zameczków podolskich”, odnoszącemi się do miejscowości działalnością Franka upamiętnionych.

Księgi parafialne kościoła Ś. Krzyża w Warszawie dostarczyły mi również wykazu kilkunastu nazwisk tych z pomiędzy neofitów, którzy, współcześnie z Frankiem, po przybyciu jego do Warszawy, chrzest św. w tymże kościele przyjęli.

W związku z owemi statystycznemi danemi pozostaje wykaz nobilitacyi sekretnych, dopełnionych w r. 1764 przez Stanisława Augusta, na podstawie konstytucyi sejmu koronacyjnego z tegoż roku, sporządzony według akt kanclerskich archiwum akt daw. w Warszawie. Z tegoż również źródła posiadam wiadomość o przebiegu sprawy lubelskiéj, wszczętéj przez orszak Franka przeciw żydom, z powodu awantur, jakie się działy podczas przejazdu agitatora ze Lwowa do Warszawy.

Oprócz powyższego materyału archiwalnego i rękopiśmiennego, zużytkowano w niniejszéj pracy rzadkie druki i książki w dotychczasowych monografiach frankizmu, bądź w zupełności, lub też należycie nieuwzględnione.

Do téj kategoryi materyałów należą:

Podanie Frankistów do Augusta III-go w r. 1759 z Lublina przesłane, z torebki do owoców przez „Gazetę Lubelską” przedrukowane, a w b. czasopiśmie Świętochowskiego „Nowiny” (rok 1881, nr. 312 i 313) powtórzone.

Odpowiedź ks. prymasa na suplikę kontratalmudystów z Łowicza w d. 23 czerwca 1759 roku udzieloną (Bibliot. ordyn. hr. Zamojskich).

Processus judiciarius in causa patrati cruenti infanticidii per infid. Judaeos seniores synog. Vojslavicensis (1761) (Bibliot. ordyn. hr. Zamojskich).

Ks. Płaczkiewicza: „Kłótnie żydowskie na Rusi w r. 1757-ym" („Czas", 1857, nr. 139).

Documenta Judaeos in Polonia concernantia (Varsaviae, 1763), broszura, opisująca między innemi starania delegowanego do Rzymu przez żydów posła Jeleka, celem uśmierzenia potwarczych wieści, szerzonych podówczas przez Frankistów, o tak zwanym „mordzie rytualnym."

De decisoriis processus. Pars III, obejmuje przebieg i następstwa dysputy kamienieckiéj z r. 1757.

„Zwierciadło polskie dla publiczności" (1790), wierszowany paszkwil przeciw Frankistom zwrócony.

„List przyjaciela Polaka do obywatela warszawskiego" (1790) obejmuje replikę Frankistów.

Podolskia Eparch. Wiedomosti, 1881, nr. 33—35.

Dr. Stein: *Über die Frankistensecte* (1868).

K. E. von Leonhard: *Aus meiner Zeit in meinem Leben* (Stutgart, 1855), *Baron Frank, der Koharite* (1790).

Dla psychologów, którzyby w fizyognomiach Franka i jego córki Ewy pragnęli znaleść materyał do ich charakteryki, pożądanemi będą wizerunki tych osobistości, sporządzone według rzadkich portretów, im współczesnych. Portret Franka, krédką zrobiony przez niewiadomego rysownika, przedstawia go w dwóch fazach życia: bezpośrednio po przyjęciu chrztu (z ogoloną brodą, w wysokiéj czapce i w płaszczu gronostajowym) i w sędziwéj starości (w czapce mniejszéj, formy rogatywki i w gronostajach). Portret Ewy zdjętym został z medalionu, wykonanego w kilku egzemplarzach dla niektórych członków „kompanii" w Bernie Morawskiém („Kronika" pod r. 1775).

* * *

Fakt przyjęcia wiary chrześciańskiéj przez gromadne rzesze, dokonany w Polsce, w drugiéj połowie XVIII wieku, pod przewodem jednego człowieka, zarejestrowała historya nietylko krajowa, lecz i powszechna, jako objaw wyjątkowéj doniosłości, nie mający sobie równego w rocznikach społeczeństw europejskich.

W téj postaci, w jakiéj się agitacya Franka, na podstawie nowowykrytych materyałów źródłowych, oczom bezstronnego badacza przedstawia, okazuje się ona objawem nie sporadycznym, lecz dalszą ewolucyą reformatorskich usiłowań marzycieli żydowskich, którzy pragnęli wyrwać judaizm z wiekowego zastoju i w mistycznych księgach Wschodu szukali klucza do poznania nierozwikłanéj zagadki bytu i religijnéj prawdy.

Mistycyzm żydowski, uprawiany na Wschodzie przez sektę Zoharystów czyli kabalistów, zogniskował się w połowie XVII-go wieku w osobie Sabbataja Cwi, a następnie wśród uczniów mędrca Berachji w Salonikach.

Uważano tę sektę za przeciwniczkę Talmudu, ponieważ krzewiła zasadę gruntowania wierzeń religijnych na Piśmie świętém, z pominięciem talmudycznych jego wykładni i głosiła niewyraźną teoryę teozoficzną o Troistości Bóstwa.

Obeznawszy się powierzchownie z zasadami kabalistycznemi, zapragnął Frank, „mądrym Jakóbem” między tureckimi żydami zwany, podzielić się wynikami swoich dociekań z nieliczną zrazu garstką zwolenników, bez zamiaru oderwania się od judaizmu, lecz fanatyczne zwrócenie się przeciw nowatorom ze strony rabinów, pobudziło go do zerwania z tradycyą przodków i popchnęło najprzód do przyjęcia islamu (w r. 1756), następnie do przedstawienia się uczniom w roli duchowego ich przewodnika w tłumném przyjęciu chrystyanizmu, w końcu zaś dopiéro nasunęło mu myśl zuchwałą—skorzystania ze ślepéj uległości licznych prostaczków i narzucenia się im w charakterze wrzekomego Mesyasza.

Zmienność środków działania szła we Franku równolegle z rażącą sprzecznością wypowiadanych zasad. Gdyby go sądzić według słów i orzeczeń, wygłoszonych „wiernym” w różnych okolicznościach i sprawach ogólniejszego znaczenia, należałoby przyznać mu zalety umysłu wyższego, etycznemi przejętego zasadami, dążącego jasno i z samowiedzą do celu wzniosłego — wytworzenia z dawnych współwyznawców, w swéj odrębności od innych społeczeństw XVIII wieku odciętych, żywiołu postępowego, zdolnego do przyjęcia cywilizacyi europejskiéj.

Człowiek ten, jak to sam zresztą — nie w pokorze ducha, lecz z pełną świadomością znaczenia wypowiedzianych słów,—wielokrotnie zeznaje, prostaczych nałogów i kultury najpierwotniejszéj, posiada wysokie poczucie swego wrzekomego posłannictwa.

„Wyście mnie widzieli prostaka, bez nauki, bez wiadomości pisania i języka... (Ks. słów., Frag. 433).

„Widzicie mnie przed sobą prostaka i stąd wnosicie, że przezemnie wszystkie prawa i nauki upadną. Gdyby potrzebowano uczonych, toby posłano takiego, co świadom wszystkiego (Frag. 103).

„Ja wam rozpowiadałem rzeczy, które w oczach waszych są prostackie i nic nie oznaczające. Wszakże wiadomo, że gdy włoskie zbierają orzechy, pierwsza łupina jest zielona, gorzka i czarna, smoli ręce, póki nie przychodzi się do jądra (Frag. 302).

„Kiedy się kopie studnię, to najprzód musi wyjść woda glinia-sta i błotnista, zanim się dojdzie do wody słodkiéj i czystéj (Frag. 641).

„Nie znałem praw żadnych, abym ich was nauczał, bo wszystkie słowa moje były w parabolach (Frag. 1943).

Poczucie konieczności zespolenia się organicznego z nowemi warunkami bytu, nasuwa nieraz Frankowi myśli i zdania, zastanawiające trafnością swą i głębokością.

Gdy pewnego razu usłyszał kozaczka ze swego orszaku, śpiewającego pieśni niemieckie, rzekł doń:

— „Słyszałem, że się uczysz grać na teorbanie i śpiewasz pieśni niemieckie. Nie jestem temu rad. Ja jestem Rusin i lubię Rusinów. Gdy mi Bóg ześle wspomożenie, pojadę tam. Nakazuję ci, byś się uczył starych pieśni ruskich!" (Frag. 1481).

Zarzucają Frankowi, iż dążył do zapewnienia swoim wiernym dygnitarstw i zaszczytów wśród społeczeństwa polskiego. Zaprzeczyć nie można, iż neofici frankistowscy, korzystając z przychylnego dla siebie usposobienia magnatów, zbyt rączo w pierwszéj epoce swego nawrócenia, dążyli do zdobycia wydatniejszego w społeczeństwie stanowiska i ruchliwością swoją, pobrzękiwaniem przypasywanych szabel, zabiegami około gromadzenia bogactw, zniechęcili ku sobie ludność autochtoniczną.

Feliks Bentkowski, określając zalety i wady tamtoczesnych frankistów („Staroż. polskie", t. I, str. 296) przyznaje im pracowitość i wielką usłużność dla sprawy ogółu, lecz též „zapamiętałe bieganie za znaczeniem osobistém, krzykliwe popisywanie się dowcipem, wynajdywanie pobocznych dróg i strojenie wszelkich kabał".

Przekonania samego Franka w téj mierze wysoce są charakterystycznemi. Inną miarę poglądów stosował do ogółu neofitów w kraju, inną zaś—do najbliższego swego otoczenia. Odnośnie do ogółu neofitów zalecał p r o s t o t ę o b y c z a j ó w, s k r o m n o ś ć i p o k o r ę i nie ubieganie się za ambitnemi zachciankami.

„Kiedy się żyd chrzci—mawiał o swoich współczesnych—ubiérają go w piękne szaty, przypasują mu do boku szablę. Wszyscy mu tego zazdroszczą i nienawidzą go. Lecz gdy go ubiorą w proste suknie, bez szabli, wszyscy mówią, że to prostak i poczciwy człowiek. Dlatego lubią go. T a k w a s p r o w a d z i ć t r z e b a." (Frag. 1130).

Dla najbliższego wszakże otoczenia swego nierównie ambitniejsze żywił zamiary.

„Rozkazywałem wam, aby dzieci wasze nie łączyły się ze sobą, ani z obcymi, póki nie nastąpi czas słów moich... Córkom dam mężów

z pośrodka Panów zacnych, godnych i lepszych od ich rodziców. Także młodym chłopcom dam córki Panów" (Frag. 1914).

Dążność do zupełnego zerwania z przeszłością żydowską ujawnia się w słowach Franka odnośnie do nazwisk prozelitów.

„Muszę wymazać imiona wasze; nawet dzieci wasze nie będą zwane waszém imieniem. Dam wam nowe nazwiska, również i dzieciom waszym" (Frag. 1486).

Powszechny zarzut, czyniony działalności Franka, iż miała na widoku pozorną jedynie zmianę warunków bytu żydowskiego drogą chrztu, znajduje zaprzeczenie w słowach:

„Gdy człowiek idzie z jednego miejsca na drugie, powinien wszystkie porządki pierwszego miejsca porzucić, a trzymać się tych, w które wchodzi" (Frag. 420).

„W każdém miejscu, do którego przyjdziemy, musimy porzucić dawne obrządki, szaty i język, a tylko trzymać się mowy każdego narodu i jego języka" (Frag. 1563).

„Gdy się idzie na nowe miejsce, trzeba się ze wszystkiém odmienić co do pierwotnych obrzędów, tak w mowie, jako w uczynku, w stroju i we wszystkich rzeczach. N i e o d w r a c a ć t w a r z y w t y ł!" (Frag. 1315).

Niechęć do żydów i wogóle do źródła swego pochodzenia, zadające kłam swoim podejrzeniom o tajoną skłonność do przeszłości, odzywa się we Franku nie tylko słowami:

„Nie masz narodu, któryby był tak jak żydzi... Oni są jak węże i krokodyle, bo żadnéj między nimi nie masz miłości, tylko zazdrość, nienawiść i powstawanie jednego przeciw drugiemu. Ja was wyciągnąłem od nich, abyście się nie uczyli ich uczynków" (Frag. 807).

Odzywa się ta niechęć i w czynach nagannych, które wywołały w r. 1761 krwawą tragedyę w Wojsławicach, jak się to z zagadkowych słów „Kroniki Pańs." (nr. 62) okazuje; a kolor czerwony szaty Franka i wszelkich emblematów jego dziwacznéj siły zbrojnéj w Bernie i Offenbachu był również widomym symbolem jego nienawiści do dawnych współwyznawców („Kron." nr. 94).

Tego rodzaju zasady i przekonania w człowieku, który głosił wiernym obowiązek miłowania każdego, choćby najbardziéj wzgardzonego bliźniego (Frag. 79), nie stanowią jedynéj sprzeczności między teoryą, jaką wygłaszał, a czynami, które spełniał.

Jeżeli z zasadami prostoty i pokory w ustach Franka zestawimy inne przezeń wygłaszane, w rodzaju:

„Zapewne, będę się starał iść z wielką mocą i siłą, lecz około téj

mocy musimy krążyć ze słodkiemi słowy i oszukaństwem, póki wszystko nie przyjdzie do rąk naszych" (Frag. 1876);

lub téż:

„W każdém miejscu trzeba używać fortelu" (Frag. 911);

albo:

„Choć będziecie widzieli, iż dziwne działam uczynki, dziecinne postępki, głupstwa i łgarstwa, macie to wszystko wytrzymać i słuchać, a nie odwracać serca swego, bo to jest cnota i stałość" (Frag. 172);

jeżeli zwrócimy uwagę na czyny mistrza niezgodne z etycznemi pojęciami o sprawiedliwości i słuszności, dążenie jego do zdobycia władzy przebojem i podstępném wmawianiem w otoczenie wiernych, iż ma przed sobą istotnego dziedzica królewskiéj korony (Frag. 1911), a w córce Awaczy—królewnę, która ich do bogactw i żywota wiecznego prowadzić będzie (Frag. 9 i 378), jeśli, zważywszy na ofiary chciwości Franka i klęski, których był sprawcą, w rodzinach, co mu w ślepém zaufaniu powierzyły swe mienie, jeśli ze szczytnemi słowy „apostoła i proroka" zestawimy czyny, nacechowane wstrętną lubieżnością i wzgardą wszelkich zasad przyzwoitości w stosunkach z najbliższém otoczeniem („Kron." nr.: 46, 64, 67, 74, 104, 105, 106, 107, 109), to, z zestawienia owych cech znamiennych, wyprowadzimy wniosek, że w oczach Franka, głosiciela wrzekomo prawd nowych, wszelkie środki były godziwemi, o ile tylko do zdobycia wszechwładzy nad naiwnymi prostaczkami prowadziły i że w dążeniu bezwzględném do tego celu mijał się z zasadami, które religia, moralność, etyka, sumienie i sprawiedliwość, jako najwyższe dobra ludzkości poczytują.

Bentkowski w cytowanym już artykule przyznaje Frankowi zdolność jakoby do wytworzenia nowéj religii.

Pogląd to stanowczo błędny, wytłómaczyć się dający jedynie nieznajomością środków, stosowanych przez Franka, gwoli osiągnięciu głównego celu, jaki miał przed oczyma.

Od głosiciela prawd religijnych ludzkość domaga się bezwzględnéj czystości myśli, świętości pobudek i zaparcia się siebie.

Tych nieodzownych warunków apostolstwa w mniemanym reformatorze żydowskim nie znajdujemy.

Dążył on przedewszystkiém do zdobycia dla siebie korzyści doczesnych, namacalnych; gromadził złoto i utrzymywał dwór wielkopański, li tylko w samozwańczych aspiracyach do wszechwładzy nad tłumem jednostek naiwnych, nie rzadko przewrotnych, wieszających się u jego klamki dla zbiérania okruszyn, które z pańskiego spadały stołu.

Mniemany majestat królewskości nie wystarczał mu.

Pragnął uchodzić za istotę wyższą, za Mesyasza i Pana i łudził prostaczków wiarą w zaziemskie swoje z „Wielkim Bratem” stosunki.

W zaczątkach swéj karyery już marzył o bezgranicznem panowaniu nad tłumem, w imię niby swego objawionego apostolstwa.

Gdy pytał raz kabalistów Isachara i Mardocheusza o powód i wytłómaczenie śmierci Sabbataja i otrzymał odpowiedź, że Sabbataj pojawił się, „by wszystkiego, co jest, zakosztować, musiał więc zakosztować i goryczy śmierci...” wyraził Frank wątpliwość swoją, w słowach znaczących: „Odpowiedź dobra, lecz kiedy Ów przyszedł wszystkiego zakosztować, czemuż nie zakosztował słodyczy panowania?” (Frag. 48).

Kiedy wreszcie i ten cel główny urzeczywistnił się nadspodziéwanie i gdy już Frank stał się dla grona swoich „prawowiernych” Panem niewolniczo słuchanym, wymierzającym nietylko łaski, lecz nawet i kary cielesne („Kron.” nr. 81), kiedy już starcy, kobiéty i dzieci ulegały ślepo jego dziwacznym kaprysom, spełniając wszystkie rozkazy Mistrza, rozzuchwalony takim wpływem Frank, ośmielił się głosić zasadę:

„Powinniście czcić Pana swego; a czém? Oto tém: „Wyzuć się ze wszech praw, religii i iść za mną, krok w krok” (Frag. 219).

* * *

Bezstronne rozpatrzenie przebiegu frankizmu i jego następstw prowadzi dziejopisa do niewątpliwego wniosku, iż frankizm, jako objaw czasowy, wysoce charakterystyczny, wytworzony na tle zamętu pojęć i zasad epoki XVIII-go wieku, należy już oddawna do dziejów ostatecznie zamkniętych i że, mówiąc o nim, nie należy sądzić, by pozostawił był nietylko tradycyę szacowną w umysłach potomków pierwszych jego adeptów, ale nawet jakiekolwiek bądź ślady w ich życiu, poglądach, obyczajach i wierzeniach.

Z chwilą ustąpienia z widowni działalności ostatniéj piastunki i spadkobierczyni zasad Franka, córki jego, Awaczy (r. 1816), rozwiały się ostatecznie złudzenia i marzenia zwolenników frankizmu.

Rozwiały się one już daleko wcześniéj.

Bankructwo finansowe rodzeństwa Franka było widomą oznaką bankructwa frankizmu, jako sekty. Sekta istniała i istniéć mogła tak długo, jak długo wierzący w nią prozelici nadsyłali beczki złota dla jéj podtrzymywania.

Z wyschnięciem tego źródła frankizm istniéć przestał na zawsze.

Potomkowie pierwszych zwolenników „Pana”, stawszy się istotnymi i wierzącymi chrześcianami, obywatelami swego kraju, zerwali

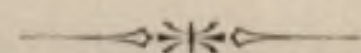
już w drugiém pokoleniu wszelką nić tradycyi z zasadami agitatora i dziś, po wygaśnięciu pięciu przeszło pokoleń, pra-prawnukowie ich nic wspólnego z historyczną swą przeszłością nie mają i — miéć nie chcą.

Objawu takiego dziejopis frankizmu lekceważyć nie powinien. O ile pragnie stać na gruncie obiektywnéj prawdy, unikać winien wszelkich zamiarów tendencyjnego traktowania przedmiotu i nie silić się o bezowocne nawięzywanie dziejów, ostatecznie już zamkniętych i skończonych, na wrzeciono teraźniejszości.

Alexander Kraushar.



Z TATR.



Limba.

Samotna limba szumi
Na zboczu stromem,
U stóp jéj czarna przepaść
Zasłana złomem.

Wkoło się piętrzy granit
Zimny, ponury,
Po nad nią wicher ciemne
Przegania chmury.

W krąg otoczona taką
Pustką okrutną,
Samotna limba szumi
Bezdennie smutno.

W Białém.

Po cichych smrekach o ciemnéj zieleni
Kładło się słońce złotemi plamami;
Pogodny błękit wisiał po nad nami,
Pełen przymglonych słonecznych odcieni.

W głębi wąwozu, po szczytach kamieni
Spieniony potok huczał kaskadami;
Czasem ktoś krzyknął—echo głosu mami,
Jakby z niezmiernych leciało przestrzeni.

Czasem błądzącéj trzody po uboczy
Spiżowe dzwonki dźwięczały w przezroczy;
Czasem wiatr drzewa szumiące kołysze;

A czasem było tak cicho i błogo,
Jak gdyby szczęście, idąc pustą drogą,
Tu, w to bezludne wstąpiło zacisze.

Przy Morskiém Oku.

Ty martwa wodo wśród nocnéj ciemnoty,
Jak ja ci twojéj zazdroszczę martwoty!
Gdyby te wszystkie góry do twéj fali
Razem runęły: jeszcze ciężar ich
Byłby mniéj straszny, niż ten, co się wali
Na pierś człowieczą, ciężar przeczuć złych.

Huczą nad tobą burze, martwa wodo,
Płomienną strzałą gromy toń twą bodą,
Ale najdziksza górska nawałnica
Tak nie zatarga twoich głuchych fal,
Jak duszę targa daremna tęsknica
I żal, bezbrzeżny, beznadziejny żal...

Ku głębiom twoim, martwa wodo, ścieka,
Wiecznie szumiąca z urwisk stromych rzeka;
Nigdy się szum ten posępny nie zgłuszy,
Nigdy, aż zwali się granitu zrąb — —
Tak wiecznie szumi smutek w mojéj duszy,
Pełnemi płynąc nurtami w jéj głąb.

Widok ze Świnicy do doliny Wierchcichéj.

Taki tam spokój... Na gór zbocza
Światła się zlewa mgła przezrocza,
Na senną zieleń gór.

Szumiący zdala wśród kamieni,
W słońcu się potok skrzy i mieni
W srebrno-tęczowy sznur.

Ciemno-zielony w mgle złocistéj,
Wśród ciszy drzemie uroczystéj
Głuchy smrekowy las.

Na jasnych, bujnych traw pościeli,
Pod słońce się gdzie-niegdzie bieli
W zieleni martwy głaz.

O ścianie nagiéj, szaréj, stroméj
Spiętrzone w koło skał rozłomy
W świetlnych zasnęły mgłach.

Ponad doliną się rozwiésza
Srebrzysto-turkusowa cisza
Nieba w słonecznych skrach.

Patrzę ze szczytu w dół: podemną
Przepaść rozwarła paszczę ciemną —
Patrzę w dolinę w dal:

I jakaś dziwna mnie pochwyca
Bez brzegu i bez dna tęsknica
Niewysłowiony żal...

Mgły nocne.

W wąwóz, między dwie skały rozdarte, miesiąca
Wbiegł krąg i zawisł w ciemnych niebiosach promienny
I rzucił w dół swe światło: na załom kamienny
Padło, gdzie się przewala kaskada hucząca.

Światło srebrzystą łuskę rzuca po strumieniu
Na cały wąwóz prószy z księżyca pył szklany,
Srebrzą się czarne, w niebo strzelające ściany
I czarne, głuche morza lasów w oddaleniu.

Na zboczach, wśród omglonych limbowych gałęzi
Świecą gwiazdy złociste — zda się, że z niebiosów
Spadły na twarde czoła kamiennych kolosów
I odbite zawisły w iglastéj uwięzi.

Cisza — tylko dźwięk szumu słychać w skalnéj dziczy,
Jakby skały i wody i limby i jodły
Rozkołysaną, senną mowę z sobą wiodły
O rzeczy pełnéj grozy, wielkiéj, tajemniczéj.

Mgły snują się w powietrzu, drżące i niepewne,
Zda się, jakby dzwonienie szumu kołysały,
I niosły je od jodeł i limb między skały —
Płyną — — znikły w załomach lotne i rozwiewne.

Znów wylatują z za gór i na kosodrzewie
Oparły lekkie stopy, rozsnuły warkocze,
Rozwiały skrzydeł błony szerokie, przezrocze,
I ważą się przy wiatru rytmicznym powiewie.

Już płyną w dół na lasy — na wierzchołków fali
Rozesłały się czarnéj — na ich ciała mgliste
Księżyc rzucił blask świetlny i całe srebrzyste
Leżą, jak welon z płynnych dziergany opali.

W tem podniosły się w górę — lecą — w koło szczytów
Wiją wieńce, pląsają — złączyły się społem —
Wiatr podbił je — zawisły nad kamiennem czołem
I uleciały w przestrzeń gwieździstych błękitów.

Burza.

Nad Gerlachem zawisnął kłąb czarny, olbrzymi
Zawichrzonych obłoków; raz w raz ogniem pryska,
Grzmotu huk się roztrąca o skalne zamczyska,
Waląc się, złom odbity skry krzesze i dymi.

Wzdymaj się, nawałnico!... Jak na morzu wzdętem
Łódź wiruje: tak moja myśl wiruje w tobie,
Leci z twemi ptakami o płomiennym dziobie,
Upaja się do szału ogniem i zamętem.

Wzdymaj się, nawałnico!... Druzgocz twarde złomy,
Wywracaj lasy, jezior pruj głębokie tonie;
Pędź, zniszczenia i śmierci straszliwy demonie,
Pędź, duchu wśród błyskawic jaskrawych widomy!

Wzdymaj się, nawałnico!... Łeb swój pochyl turzy,
Uderz w ziemię, aż jęknie; ślepiami krwawemi
Nieć pożary, aż ogień buchnie po wszechziemi,
Aż spopieleje cała!... Pędź, demonie burzy!

Przegnała nawałnica... Wzrok rzuciłem na dół,
Myśląc, że świat zobaczę odmłodzony, świeży —
Kilka drzew zdruzgotanych w mętnéj wodzie leży,
Lecz nie zmienił się w niczém smutny ziemski padół.

Melodya mgieł nocnych.

(Nad Czarnym Stawem Gąsienicowym).

Cicho, cicho, nie budźmy śpiącéj wody w kotlinie,
Lekko z wiatrem pląsajmy po przestworów głębinie...
Okręcajmy się wstęgą naokoło księżyca,
Co nam ciała przezrocze tęczą blasków nasyca,
I wchłaniajmy potoków szmer, co toną w jeziorze,
I limb szumy powiewne i w smrekowym szept borze,

Pijmy kwiatów woń rzeźwą, co na zboczach gór kwitną,
Dźwięczne, barwne i wonne w toń wzlatujmy błękitną.
Cicho, cicho, nie budźmy śpiącéj wody w kotlinie,
Lekko z wiatrem pląsajmy po przestworów głębinie.
Oto gwiazdę, co spada, lećmy chwytać w ramiona.
Lećmy, lećmy ją żegnać, zanim spadnie i skona,
Puchem mlecza się bawmy i ćmy błoną przezroczą,
I rów pierzem puszystém, co w powietrzu krąg toczą,
Nietoperza ścigajmy, co pocichu tak leci,
Jak my same, i w nikłe oplątajmy go sieci,
Z szczytu na szczyt przerzućmy się, jak mosty wiszące,
Gwiazd promienie przybiją do skał mostów tych końce,
A wiatr na nich na chwilę uciszony odpocznie,
Nim je zerwie i w pląsy znów pogoni nas skocznie...

Na „Żelaznéj drodze" pod reglami.

Zwolna zachodzi słońce.
Rdzawią się gór zielone kopy i ubocze,
Fioletu i ponsu plamy gorejące
Na modro-siny granit kładą się powoli;
Różowią się niebiosów błękitne roztocze,
Złoto, szkarłat, fiolet, bronz, razem zmieszane,
Na biało-żółtych chmurek rozlały się pianę,
Z którą wietrzyk swawoli,
Sunąc ją przez powietrznych fal bezdnie przezrocze.
Jakby przez mgłę przesiane,
Pada światło słoneczne na cichą polanę,
Gdzie śród jasnéj zieleni,
Tu—owdzie koniczyny główka się czerwieni,
Błękitnieje goryczka, a brzegiem potoku
Niezapominek modra koronka się mieni.
Niżéj, na góry stoku,
Za łanami zbóż sennych: o blasku złocistym,
Czerni się las smrekowy w otoczeniu mglistém.
Cisza. Patrzę przed siebie,
Źrenice moje błądzą po ziemi, po niebie,
Idą przez ziemię cichą, szeroką, świetlaną,

Płyną po nieba głuchém, niezmiernem przestworzu.
Leniwo, wolno, jak łódź po spokojném morzu,
Gdy żagle pozwijano.
I ogarnia mię jakieś senne zamyślenie,
Jakiś smutek, żal dziwny—i takie pragnienie
Czegoś nieokreślonego duszę mą pochwyca:
Że nigdy-bym owinąć nie pragnął w ramiona
Téj, która mi na wieczność rzuciła wspomnienie...
I jakaś nieskończona,
Nieskończona tęsknica
Obléwa mię bezbrzeżnym marzeń oceanem,
Na żądań zakrzewione wiedzie mię bezdroże...
Tęsknię za czémś nieznaném,
Mistyczném i kryjomém,
Za czémś, co mogło istniéć przed wieków ogromem,
Albo stanie się kiedyś po wieków powodzi,
Lub dziś koło mnie może,
Nieznane mi, przechodzi...
A wieki zmarłe i te, co przyjdą, w ogniwa
Nigdzie nieprzerwanego wszechbytu łańcucha
Wplatają, jako jedno z ogniw, mego ducha,
I duch mój się rozszerza, rozdala, rozpływa.
Wciela się w czas i w przestrzeń i wszechkształty—ginie,
Nicestwieje, wessany w bezdenie wszechbytu,
Co jak olbrzymi polip, osnuł go milionem
Ramion, splotów i więzów—nurza się w głębinie,
Przepada w Nieskończonem...
A z skał sinego szczytu
Schodząc, mrok się rozściela cichy po dolinie
I wielka melancholia nocy zwolna spływa,
Zdobiąc sklep nieba pierwszą senną, bladą gwiazdą,
A myśl moja zmęczona do lotu się zrywa
I na jéj łono leci, jak gołąb na gniazdo.

Kazimierz Tetmajer.



SIOSTRY MALINOWSKIE.

POWIEŚĆ *).

X.

Kilka tygodni zleciało im, jak dzień jeden. Właściwie Wandzie tylko, ponieważ Maniuta nie przestawała uskarżać się ustawicznie na niewygody, na złą kuchnię, na lekarzy, miewała zatargi z gospodynią domu i ze służbą kąpielową. Lecz nie wiele uważano na jéj jeremiady. Tylko młodsi ludzie, którzy, poświęcając się wzajemnie jeden dla drugiego, musieli czasami ją bawić — żartowali pomiędzy sobą:

— Wiécie, ta siostra nam się nie udała. Dyabelnie nudna.

Żyły teraz podług stale określonego programu. Rano brały kąpiele: Maniuta—błotne, Wanda — w owém winie szampańskiém. Następnie — jak twierdziła Wanda — raczyły ukazywać się tłumowi na wodach. A panie na deptaku, nienasycone tém codziennném widowiskiem, stawały za każdym razem, oglądały jéj tualety, pokazywały ją sobie i szeptały.

Następnie przechodziły kilka razy przez deptak w otoczeniu chmary młodzieży, nadskakujących Wandzie, wdzięczących się i silących na dowcipy. Byli to po większéj części goli jak święci tureccy, ale weseli: młodzi obywatele ziemscy, kilku galicyjskich adwokacików,

---

*) Patrz „Ateneum" za kwiecień r. b., str. 38.

urzędników i studentów. Na czele ich stał Ernest Miler, który za wszystkie swoje trudy był najgorzéj — zdaje się — notowany u panny; dlatego też nie wzbudzał zazdrości w innych. Panna poprostu sobie z niego drwiła.

— Panie Erneście, jakto było z tym zégarem? W Wilanowie pan widział, która godzina na ratuszu, czy tak? Otóż, proszę nam teraz powiedzieć, która godzina w Żegestowie, bo czas nam na śniadanie.

— Słowo honoru pani daję...

— Kiedy pan daje słowo honoru, to przepraszam pana, ale ja panu wtedy nic a nic nie wierzę.

Po wypiciu swoich kubków wody szły na śniadanie. Stamtąd, aby się zbytnio nie popularyzować i nie powszednieć — znikały ludziom z oczu.

Całe ich towarzystwo wyruszało codziennie na kilka godzin w góry: one z książkami i robótkami, których coprawda nigdy nie tykały, a świta koło nich dźwigała pledy, chustki, poduszki, hamaki.

Mieli swoje ulubione miejsce w gąszczy drzew na Michasiowéj. Rozkładano się tam całym taborem, rozwieszano hamaki, panom nakazywano odwracać na chwilę głowy, panie się wtedy układały, a następnie niewolnicy obok swojéj królewnéj i jéj duenny—jak je przezywano—siadali u jéj stóp na ziemi. I zaczynały się żarty, śpiewy, rozlegające się po całym lesie i dowcipy tak wesołe, że nawet Maniuta czasami się śmiała.

Po większéj części żartowano sobie z Ernesta Milera.

— Wiecie panowie — mówiła w jego obecności Wanda — musimy sobie zrobić kiedy święto i nie powiedzieć panu Milerowi dokąd idziemy.

— To się państwu nie uda. Znam całą Krynicę, jak własną kieszeń.

— No, a gdybyśmy tak poprosili pana gremialnie, abyś pan raz tu do nas nie przyszedł?

— Toby nic a nic nie pomogło. Mógłbym przyrzec, ale bym przyszedł.

— Nie ma na niego rady—śmieli się wszyscy.

Lecz najwięcéj mu się dostawało podczas gry w krokieta. Wanda grała wyśmienicie, lecz tak się zapalała, że aż stawała się niegrzeczną. Maniuta musiała ją strofować.

I trzeba ją było widzieć przy téj grze na ciemnéj, zielonéj murawie, w jéj rannéj, czerwonéj, perkalikowéj sukni, związanéj skórzanym paskiem, w kapeluszu z polnemi kwiatami, który spadłszy jéj z głowy,

uwiązany wstążką, zwieszał się w tyle na plecach. W ręku trzymała swój młotek krokietowy. Włosy wiatr jéj targał. Twarzyczkę zaczerwienioną i zgrzaną obcierała ustawicznie batystową chusteczką, a oczy jéj aż się iskrzyły, i biegała ze swemi kulami i sprzeczała się i kłóciła...

— Przepraszam pana, żółta kula nie przeszła; niebieska przeszła. Przepraszam, to było suwane; ja nie pozwalam suwać. Pan wyszedł z mety, pan krokietował, pan nie krokietował. Nie będę grała.

Była nieznośna. A raz tak się zapomniała, że zaperzona krzyknęła na Milera:

— Pan nie przeszedł jeszcze przez bramkę. Nieprawda, nieprawda!

Miler zrobił minę na seryo już smutną. Wyglądał, jak człowiek nieszczęśliwy, aż się Maniuta za niego ujęła.

— Wando, stajesz się na seryo niegrzeczną przy krokiecie. Jeżeli masz się tak denerwować, to lepiéj przestań grać.

Wanda się roześmiała. A wszyscy jéj niewolnicy odrazu poszliby już za ten uśmiech w piekło. Ale po chwili zaczęła już daléj swoje: „pan krokietujesz, pan nie krokietujesz" i doprowadzała ich do tego, iż wszyscy partnerzy zaczęli traktować tę grę na seryo i denerwowali się i jéj pięknością i jéj kaprysami.

— Jest niemożliwa przy krokiecie — żalili się między sobą. — Ale téż wygląda w téj czerwonéj sukni, z tym pogniecionym kapeluszem, uwieszonym na plecach.

— Ale panu, panie Erneście, to się dziś najwięcéj dostało. Ona coś cierpi do pana — roześmieli się wszyscy.

Lecz Miler nic nie odpowiadał. Zmienił się widocznie pod tym względem. On, który mówił dawniéj ustawicznie o swoich zwycięstwach, opowiadał z dodatkami, co mu każda kobiéta oświadczała, a o Węgierce rozszerzał nawet szczegóły bardzo wątpliwe — teraz, kiedy była tylko mowa o Wandzie — miewał usta zamknięte na wszystkie spusty. Nie można było wyciągnąć z niego ani słowa. Wogóle kłamał teraz znacznie mniéj. Był małomówny i zmieniony.

A mecenasowa mu na deptaku oświadczyła:

— Panie, mam do pana słabość. Pan jesteś porządnym chłopcem. Gdybyś tylko zechciał jeszcze nie naśladować tego galicyjskiego hrabiątka i rozdarował błaznom te wszystkie swoje cudackie ubrania i czerwone krawaty, którymi chcesz go widocznie zaćmić, a zapominasz, że co wolno Jowiszowi, nie wolno wołowi. Ale mniejsza z tém. Będziesz starszy, to zmądrzejesz. W każdym razie, gdybym miała

córkę, w téj chwili bym ją za pana wydała. Co się z panem dzieje? Pan wyprzystojniał nawet trochę, tylko bój się Boga zrzuć te czerwone krawaty. Daleko ci do tego, abyś był ładnym, ale zawsze ta miłość pańska poskutkowała.

— Jaka miłość, proszę pani?—zapytał ogromnie zawstydzony.

— Jaka miłość? To doskonałe!—żartowała na cały głos. — Pyszny sobie! Czyż nie wiedzą tu wszyscy, że pan się we mnie kochasz?

Po sjeście w hamakach i po krokiecie, młodzież odprowadzała do domu panie, które przebierały się na obiad. Po obiedzie znowuż deptak, muzyka i wody.

— Lecz teraz już bez pułku rycerzy—jak mówiła Wanda.

Były to godziny Wimmersburga i hrabiego Rogera. Panowie ci mieli bowiem godziny przedobiednie zajęte: Baron z przepisu lekarza parował w mokrych kocach, a hrabia w tureckim, haftowanym złotem rannym kostyumie, w czerwonym fezie z kwastem, siadywał na balkonie swojéj willi i czytał francuskie dzienniki i romanse; następnie przez kilka godzin ubiérał się przy pomocy kamerdynera do obiadu. Dopiéro na muzyce przed wieczorem ukazywał się na deptaku.

Baron towarzyszył zawsze Maniucie. Był to jedyny człowiek, który potrafił rozmawiać z nią całemi godzinami. Raczéj nie rozmawiał, lecz słuchał jéj opowiadań o Tadziku, Edmundzie, o kuchni, o Dębinkach. I uśmiéchał się, jak gdyby słyszał to po raz pierwszy, lub jak gdyby to go choć trochę obchodziło — zawsze jednakowo szarmancki i bawiący się już tém, iż czuł w swojém własném przekonaniu, że był grzecznym i *correct.*

— Wiész Maniuto, baron kocha się w tobie. Nie odstępuje ciebie na krok i tak zajęty tobą. Napiszę o waszych romansach Zdzisławowi.

— Dobrze, dobrze, napisz — uśmiechała się, lub mawiała, niby gniéwając się. — Daj mi pokój z twojemi konceptami, w gruncie lubiła bardzo ten żart.

Wanda szła z hrabią na przedzie, ślicznie wyglądali ze sobą. On, kształtny i wytworny w białém, flanelowém ubraniu, z różą w butonierce, w żółtych trzewikach i słomkowym kapeluszu z blado-niebieską wstążką; ona, urocza w kostyumie koloru heliotropu w fantazyjnym kapeluszu téjże barwy.

On rozpowiadał jéj o swoich klubach, o koniach, o wyścigach, o zakładach jakie przegrywał, i czerpiąc ze swego życia, wtajemniczał ją w szczegóły etykiety i zwyczaje wielkopańskiego świata.

Najczęściéj jednak mówili o rzeczach zupełnie potocznych: nie

mieli ani wspólnych żadnych znajomych i znali się tak krótko... Ona mówiła mu o krokiecie, o śmiesznym Milerze... I mogli tak chodzić ze sobą bez końca, jak gdyby ją istotnie zajmował klub i konie, a jego—krokiet i Miler.

Lecz oczy ich zdradzały. Dość spojrzéć na nich było, aby odgadnąć, że mniejsza co mówią, lecz że lubią wzajemnie dźwięk głosu, rodzaj mowy, że właściwie chcieliby szeptać zupełnie o czém innéni, lub nie mówić wcale, a używają słów jedynie, aby zagłuszyć to, czego powiedziéć nie chcą, lub nie mogą. I hrabia wywnętrzał się szczerze baronowi:

— Ta mała na seryo mi się podoba.

— Nie sztuka. Jest ładna.

— To dziwne. Tego teraz nawet nie widzę. Znałem tyle ładnych kobiét w życiu. Ale ona mi się podoba.

— Jest rzeczywiście dość zabawna.

— I to nie. Ten jéj sprycik i dowcip jest czasami trochę mieszczański i nie w świetnym guście. Ale ona mi się podoba. Bo widzisz, jakby ci to powiedziéć: ona ma w sobie pewne swoje... No, jednéni słowem—podoba mi się.

— Ha! Jeżeli to cię bawi... w każdym razie, gdyby nie one, umarlibyśmy tu z nudów.

— Panie hrabio, powinien pan choć raz dojść do tych panien Rzężyckich. To nie ma żadnego sensu tak zrywać nagle stosunki—mówi Wanda, a oczy jéj mówią: zostań przy mnie.

— Pani pozwoli, że nie usłucham jéj rady—odrzekł hrabia, spełniając wolę jéj oczu, które miały z nim wspólną wolę.

— A! To bardzo grzecznie. Gdyby hrabianka Rzężycka pana o coś prosiła, toby pan jéj nie odmówił.

— Naturalnie. Gdyby mię naprzykład prosiła, abym pani towarzyszył. Już z góry spełniam to jéj życzenie.

— Wcale nie jesteś pan domyślny. To nie jest życzeniem hrabianki.

— Gdybyż to przynajmniéj było życzeniem pani?

— Co? Aby pan towarzyszył hrabiance? Nie! rozmowa stała się tak skomplikowaną, że nie można z niéj wybrnąć.

I spoglądali sobie w oczy, które prowadziły dalszy ciąg rozmowy.

Jak w każdym flircie, doszedłszy do pewnego kresu, gdzie słowa zamienione w spojrzenia — powinny się już zamieniać na uściski, a uściski na pocałunki, musieli się cofać, oblewać zimną wodą... i przyłączali się do Maniuty i barona.

— Maniuto — mówiła w takich razach Wanda, podchodząc do siostry — patrz, jakie to ładne dziecko. Zupełnie podobne do Tadzika, prawda?

Wieczorem zapraszała ich niekiedy Maniuta do swojéj willi na herbatę i poziomki. Przepiękne wieczory spędzali wtedy na werendzie ich mieszkania lub w altanie zacisznego ogródka. Zapalono na stole świéce w blaszanych lichtarzach ze szklanemi kloszami. Wanda z hrabią spacerowali po ogródku.

Na niebie świecił księżyc, dokoła piętrzyły się góry. I Wanda rozpowiadała o Warszawie, o balach, o teatrze amatorskim, jaki grała, o kiermaszu, na którym kwestowała.

Czasami oparci o balustradę tarasu, patrzyli w niebo i gwiazdy. W koło nich cisza. Ona była milcząca, on stawał się wymowny: zwierzał się ze swoich zamiarów na przyszłość.

— Zbrzydły mi te wszystkie kulisy i te wszystkie kobiéty, które można kochać, ale których szanować nie można. I zbrzydła mi ta miłość, z którą trzeba się ukrywać, jak ze zbrodnią. Czyż nie ma również pięknych kobiét w towarzystwie, które po za pięknością zajmują nas jeszcze swoim taktem, ułożeniem, odpowiedniém urodzeniem i tradycyami. Tylko małżeństwo daje kompletne szczęście. Miéć żonę ładną, stworzyć jéj odpowiednie gniazdko, naturalnie nie chatkę, lecz pałac, kosztujący w każdym razie mniéj od kulisów, wozić ją pięknym powozem, prowadzić na bale, aby wszyscy nam jéj zazdrościli, wreszcie otworzyć salony, przyjmować u siebie śmietankę towarzystwa — to mi dopiéro prawdziwe życie. Naturalnie, żona musi być młoda, piękna, dowcipna, miła i musimy ją kochać. Ach! Taką znaleść! To życie! Czy nie zgadza się pani ze mną?

Cóż mu miała na to odpowiedziéć? Zapanowywało milczenie, i Wanda drżała z obawy, aby to milczenie nie zdradziło jéj myśli, mówiącéj: „szukaj, a znajdziesz taką, jakiéj pragniesz."

A jeśli odpowiedź na tę myśl będzie brzmiała:

— Jest piękna, młoda, dowcipna i miła, lecz czy dobrze urodzona, czy należy do śmietanki towarzystwa?

Nie, nie. Nie chce słyszéć żadnéj odpowiedzi. Woli raczéj niepewność. Bo pocóż-by jéj się zwierzał? Woli więc czekać, czekać. I przerywa tę ciszę:

— Maniuta będzie się gniéwała. Trzeba wracać do altany — i żarcikiem maskowała wzburzenie.—Chodźmy, nie można jéj tak długo zostawiać sam na sam z baronem.

Aby jednak nie powracać do altany i nudzić się z Maniutą i baronem, unikali skrzętnie wszystkiego, co wychodziło po za przyjaciel-

skie pogawędki. I ta maskarada zaczęła właśnie stanowić jeden z powabów tego częstego błądzenia przy księżycu po ogródku.

Pewnego razu, kiedy wychodziły z kąpieli, złapała ich na deptaku mecenasowa. Wanda, udając, że jéj nie widzi, rozpoczęła żywą pogawędkę ze swoją świtą, która czekała już od rana na posterunku. Lecz strategia ta nie pomogła i mecenasowa rozpoczęła po swojemu prosto z mostu:

— Moja pani, niech mi pani powie, kogo pani właściwie kokietujesz: Milera czy hrabiego?

— Przepraszam panią, ale dobrze pani nie rozumiem — odrzekła trochę zaczerwieniona.

— Niech pani nie udaje niewiniątka. Co u pani w sercu jest — nie wiem, ale że w główce, jak w makówce—to pewna. Nie obwijam słów w bawełnę i powiem, że postępowanie pani wcale mi się niepodoba. Rozczarowałam się co do pani zupełnie. I ja byłam kiedyś młodą. Wydano mię mimowoli za mąż. Zakochałam się późniéj w innym. Ale zawsze szłam prostą drogą. Co w sercu, to na języku. Wyznałam wszystko otwarcie memu pierwszemu mężowi, rozwiodłam się i byłam potém jaknajlepszą żoną drugiego. Ale komedyi nigdy nie grałam. Przecież pani taki Miler podobać się nie może? Na co go pani bałamuci?

— O! Niech się pani spyta tych wszystkich panów, jak ja bałamucę pana Milera—odrzekła coraz więcéj zaczerwieniona, broniąc się, jak złapane na złym uczynku dziecko i starając się w żart obrócić rozmowę.

Lecz mecenasową nie łatwo było zbić z tropu. Z początku bez powodu narzucała się ze swoją przyjaźnią, teraz, nie wiadomo dlaczego, czuła do niéj jakąś urazę.

— Co oni tam wszyscy wiedzą! W takich rzeczach kobiéta ma więcéj rozumu w swoim pantofelku, niż oni w głowie. Nie macie się czego śmiać — rzuciła im głośniéj i zwróciła się znowuż do Wandy. — A ja wiem tylko tyle, że kiedy kobiéta nie zechce—to żaden z nich za jéj spódnicą chodzić nie będzie. Cóż z tego, że pani niby śmiejesz się z niego przy innych, kiedy on musi mieć pewne swoje dane, aby uważać to złe obchodzenie się z nim za komedyę przed innymi. A podczas krótkiego sam na sam otrzymuje jakieś jedno słówko, spojrzenie... To są znane rzeczy. Im wiele nie trzeba.

— Jeżeli pani tak wszystko dobrze wie...

— Wiem. I wiem nawet dlaczego to pani robi. W razie jeżeli hrabia się cofnie... prawda? Ale młoda panienka nie powinna być tak sprytną. I powiem pani otwarcie, że dlatego téż zupełnie rozczarowa-

łam się co do pani. Zupełnie—krzyczała już na odchodném tak głośno, że wszyscy na deptaku to ostatnie zdanie jéj słyszeli i pokładali się od śmiechu ze względu na jéj niedawny zachwyt.

Wanda także się śmiała, ale nie szczerze. Zasępiała się téż następnie coraz bardziéj, pomimo iż towarzysze jéj silili się, aby ją rozerwać. W końcu zaczęła się żalić na ból głowy, na to, że kąpiele ją denerwują. A że i siostra czuła się niezupełnie zdrową, zaniechały dzisiejszego spaceru do lasu i wypiwszy swoje kubki słotwinki — wróciły do domu.

— To—mecenasowa musiała powiedziéć jéj coś przykrego. Nie, tylko nabić babę w armatę i wystrzelić — mówili strapieni smutkiem swojéj damy osieroceni wielbiciele.

Pewnego razu wychodziły z domu do kąpieli. W tém Wanda spostrzega zbliżającą się ku niéj jakąś wyniosłą postać, zakurzoną od drogi, z torebką podróżną, przewieszoną przez ramię. Przez chwilę nie odrywa oczu zdumiona, wreszcie podskakuje do góry z wykrzykiem:

— Patrz Maniuto, widzisz, nie mylę się, jak matkę kocham. To Zdzisław.

Nie omyliła się i Maniuta, ujrzawszy go, biegnie co tchu i pomimo, że nie lubi romansów, rzuca się prawie ze łzami w oczach mężowi na szyję i pozostaje przez długą chwilę w jego uścisku.

— Dlaczego pan nie pisałeś nic o tym przyjeździe? Jakżeż można!—wyrzuca mu Wanda ze swoją śliczną minką.

— Pisałem—żartował—list widocznie w drodze zaginął.

— Eh!—dowcipkowała. — Te listy tylko giną w drodze, których się nie wysłało.

— Jeżeli mnie nie chcecie, mogę wrócić zaraz do domu.

— Chce pan, abyśmy mówiły panu komplementy?

Odechciało im się już kąpieli i wrócili z powrotem do swojéj willi. I zaczęły się opowiadania, przerywane z kolei przez obie panie, szczegółów i szczególików, których w liście opisać nie można było, bez końca. Maniuta zarzucała go pytaniami:

— A co Tadzik robi, a Edmund, a Maryanna, czy pokrowce uprała, czy podłogi zafroterowane?

A Wanda opowiadała mu:

— Ach! Gdyby pan wiedział, jak my się tu bawimy, jakie mamy stosunki!

— A cóż ten baron, który kocha się w mojéj żonie? — żartował doktór.

— Zobaczy go pan. Trzeba będzie jednak darować mu wspaniałomyślnie życie ze względu, że on i tak już ledwie chodzi.

— A cóż ta mecenasowa, zawsze was tak kocha?

— Ach! To nieznośna baba. Nienawidzę jéj. Potém o tém.

Doktór zwrócił się do żony.

— Ładnie, ładnie zawracać ludziom głowy! A w domu udaje taką skromnisię, dobrą matkę, gospodynię.

— Eh! Dajcie mi pokój.

— No, cóż, a Wanda ma konkurentów?

— Czy ja wiem? — objaśniała Maniuta. — Niby jest tu nawet kilku, pisałam ci przecież. Ale czy będzie z téj mąki chléb — Bóg raczy wiedziéć.

— Eh! Bo ty nie umiész brać się do rzeczy. Gdyby mamę tu przysłać, zarazby sobie zięcia wyszukała. Pisała nawet w tym względzie, dodając mi w liście, że na ciebie bardzo liczyć nie może. Trzeba, aby panna Wanda sama zabrała się do tego energicznie. Cóż panno Wando, będzie w tym sezonie mąż?—zapytał ją dziwnie jakoś ożywiony drogą, uszczęśliwiony, że je widzi.

Lecz Wanda zasłaniała sobie uszy rączkami:

— Nic nie słyszałam o czém mówiliście i nie chcę słyszéć.

A Maniuta, dotknięta trochę brakiem zaufania matki, o którym mąż jéj wspominał—broniła się.

— Przecież nie mogę ich za kołnierz brać. Zapraszam ich na herbatę, chodzę z nią na spacery. Zresztą nie obawiajcie się o nią. Ma więcéj rozumu, niż wam się zdaje.

— Moi drodzy — oburzała się półżartem Wanda — czy skończy się już raz ta zajmująca rozmowa, jeżeli nie, to pozwolicie, że wyjdę z pokoju — i zrobiła po za plecami Maniuty śliczną minkę szwagrowi, oznaczającą mniéj więcéj:

— Także potrzebnie się pan wyrwał, jak Filip z konopi.

Wieczorem na herbacie zjawił się baron Wimmersburg i hrabia. Baron naturalnie emablował doktora. Uważał za stosowne pytać go o bakteryologię, o mikroby i o metodę Kneipa. Mówił z nim o Charcocie i o Ochorowiczu.

Panie z hrabią układały plan na cały pobyt swego gościa, który miał bawić u nich tylko przez dwa dni.

Postanowiono pokazać mu dziś jeszcze Michasiową i wszystkie cuda Krynicy, a jutro, nie zwlekając, wyjechać do Żegestowa powozami.

Okazało się, iż młodzież naturalnie była nie od tego. I w istocie spacer ten do Żegestowa udał się wyśmienicie.

Dzień był prześliczny. I Żegestów, ściśnięty górami, ponury, bez słońca, ze swoją ciemno-zieloną roślinnością, z ostrém górskiém powietrzem i szumiącym bystrym Popradem — roztaczał się przed ich oczami w całym swoim blasku, podobny do tyrolskich pejzaży.

Rozłożyli się taborem po nad rzeką.

— Jak tu pięknie! — zachwycała się Wanda — pamięta pan strugę—zwróciła się do doktora. — Nasza biédna struga, może mniéj wspaniała od Popradu, a jednak dobrze nam tam było, prawda?—zamyślała się przez chwilę, a szwagier uśmiéchem podziękował jéj za to.

Hrabia nie przyjechał jeszcze. Spóźnił się. Nie dziwiono się temu. Tualeta jego trwała zwykle tak długo... Nie tracono nadziei, że się jeszcze zjawi.

I nagle, niespodzianie ukazał się zdaleka na wiérzchołku góry w towarzystwie barona.

— Czy nie wyglądają jak Faust i Mefistofeles — zauważyła Wanda.

— A któż jest tu Małgorzatą? — zapytał, usiłując być złośliwym jeden z młodzieńców.

— Małgorzata wyjechała już do Pesztu — odcięła się Wanda. — Ale patrzcie panowie, jaki hrabia jest piękny w tém ubraniu, zastosowaném do sytuacyi.

Schodzili z góry — hrabia oparty na wielkim góralskim kiju, w aksamitném, oliwkowo-zielonawém ubraniu — w jedwabnéj koszuli z fantazyjnie uwiązanym szalikiem i przepasanéj szerokim pasem, w góralskich trzewikach i zielonych długich pończochach w miękkim tyrolskim pilśniowym kapelusiku z piórkiem.

Maniuta zauważyła, że ten strój z pończochami jest poprostu nieprzyzwoity.

— Tylko, panie Erneście — zauważyła Wanda — niech pan sobie takiego kostyumu nie sprawia. Nie sądzę, aby panu było w nim do twarzy.

Wszyscy się roześmieli. Teraz, kiedy byli już w całym komplecie, postanowili obejrzéć Żegestów, a następnie zjeść w restauracyi obiad. Ruszyli piękną równą drogą, wykutą jakby w wąwozie. Pod ich stopami huczał w swojém kamiennėm łożysku Poprad.

Wanda, wyprzedziwszy towarzystwo, szła na przedzie z doktorem. Po za nimi emablował Maniutę baron i hrabia. W tyle z hałasem szła świta.

— Czy hrabia jest inteligentny?—zapytał Wandę doktór.

— Czy ja wiem! Tyle jest rodzai inteligencyi! Inteligentny mężczyzna w naszém pojęciu nie wozi z sobą dwudziestu pięciu ubrań

i na kilkogodzinną wycieczkę nie przebiéra się, jakby miał piąć się na Montblanc, lub występować w operetce. Ale podróżował wiele, widział, czytał trochę. Nie jest orłem, ale jest sprytny, dobrze wychowany, miły, elegancki. No i nie można go porównywać naprzykład z takim Milerem.

— Proszę mi powiedziéć, czy kobiéta, nie zważająca specyalnie na urodę (bo hrabia jest bez zaprzeczenia ładnym mężczyzną), mogłaby się w nim zakochać?

— Ach! kochać... kochać! To się tak łatwo wymawia, ale tego się tak łatwo nie odczuwa.

— A więc: czy może się podobać, jeżeli pani wolisz ten wyraz?

— Ach! Tak—to co innego!

— Kobiétę z ich sfery — mówiła po chwili zastanowienia—może uderzyć prawdopodobnie tylko jego powiérzchowność ładnego chłopca. Ale kobiétę, nie należącą do ich świata, może on zająć nietylko urodą. Bo —jakby tu powiedziéć — on posiada zalety (raczéj właściwości, bo nie można nazwać zaletami), których mężczyzni w naszém towarzystwie nie mają, a które my znamy tylko z książek, z romansów. A stamtąd przecież czerpią się nasze ideały, to jest ludzie, o jakich się śni, ale jakich się nie spotyka codziennie. Pan rozumiesz? Ten sam jego tytuł brzmi w uszach nie-hrabianki niezwykle. Hrabia, hrabiego, hrabiemu!... Dziecińśtwem jest przyznać się do tego, ale to się przyjemnie wymawia. Daléj ten majątek jego, niby jakiegoś królewicza z bajki, ta rycerskość dla dam i galanterya kochanka z romansu, wreszcie te maniery, szyk... Nie wiem, czy panu dobrze to wytłomaczyłam. Pojmuję: prochu nie wynalazł, ale że przy tém wszystkiém nie jest ograniczony — może się stanowczo podobać. Jest inny, niż ci wszyscy, których się w naszém towarzystwie spotyka, jest interesujący. Czy nieprawda?

— Pojmuję panią doskonale. Wogóle wiecznie mi się zdaje, że gdybym był kobiétą i gdyby mi zadawano pytania, jakie się pani zadaje, odpowiadałbym zawsze temi samemi słowami, co pani.

— Dziękuję. Z nikim nie lubię tak rozmawiać, jak z panem. Z nikim nie jestem tak wymowną. My się tak doskonale zawsze pojmujemy.

Zjedli obiad bardzo ożywiony z mnóstwem wesołych toastów, zagrali kilka partyi krokieta, obejrzeli jeszcze raz Żegestów i powrócili wieczorem do domu. Nazajutrz doktór opuścił Krynicę.

W kilka dni nowi goście na deptatu zwracali powszechną uwagę. Były to dwie damy: piękna staruszka z puklami srebrnych białych włosów oparta na krótkiéj grubéj lasce i towarzyszka jéj, 30-kilkoletnia

śniada bruneta o zwiędłéj twarzy, lecz o bardzo regularnych rasowych rysach, z pięknemi czarnemi oczami. Obie panie ubrane były czarno, bardzo skromnie. Lecz w chodzie, w ruchach, w mowie, w całém wreszcie zachowaniu się bardzo spokojném, łączącém w sobie dziwnie skromność i wielką dumę, znać było wytworne maniery dam z najlepszego towarzystwa.

Nazwiska ich, wypowiadane szeptem, kursowały już z ust do ust po całym deptaku. Pozory nie omyliły. Była to księżna Poleżyna z córką, hrabiną Zaborską. Rodziny najbardziéj znane w kraju. Panie te ukazały się z baronem, który miał je poznać kiedyś u dworu. Kursowały już ploteczki, że po za tém nie będą zawiérały tu żadnych znajomości—nawet z hrabiną Rzężycką, która, ogromnie tém dotknięta, opuściła z córkami Krynicę.

Nawet hrabiego trudno było podobno baronowi do nich wprowadzić — pomimo, iż się bardzo o to starał. Zaledwie po kilku dniach ujrzano ich na deptaku razem. Na przedzie szła hrabina z baronem, za nimi starą księżnę emablował hrabia.

Nie miał już téj pewności, co z Maniutą i z Wandą. Zanadto widocznie starał się być miłym i wymownym. Chciał być jednocześnie swobodnym i naturalnym, a zarazem i uniżonym. Znać po nim było, że ma trochę tremy. Tylko baron pozostawał zawsze ten sam—jednakowo zimny, sztywny, dworski — wszystko jedno, czy rozmawiał z Maniutą, hrabiną, czy téż z arcyksiężną Stefanią.

Lecz i hrabia po jakimś czasie stał się swobodniejszym i naturalnym. Tylko znać w nim było ogromne zadowolenie. Spełnią się jego marzenia. Zawdzięczając téj znajomości u wód, może uda mu się pod egidą księżnéj wejść do salonów warszawskich.

A i hrabina z zmęczoną twarzą, lecz ze swemi pięknemi oczami jest wszak wdową i nie bardzo starą?

Po kilku dniach Krynica spotykała ich już bardzo rzadko. O godzinie 7-éj (nawet godzina ta imponowała gustom burżuazyjnym) przyrządzano im specyalny obiad w restauracyi pod Barankiem, który spożywali w osobnym gabinecie. Po za tém spędzali całe dni w ogródku willi. Wieczorem mieli abonowaną lożę w teatrze.

Pewnego razu obaj panowie, jak zwykle, teraz w towarzystwie staréj księżnéj i hrabiny, spostrzegłszy Maniutę z Wandą, złożyli im ukłon: baron, jak zawsze, szarmancko, hrabia trochę nieśmiało, jakby nie wiedział, czy może się przyznać do téj znajomości, jakby się obawiał, aby nie przypuszczano, iż dotychczas jedynie w takich tylko towarzystwach, przebywał lub gorzéj, aby nie posądzono go, iż jest z niemi spokrewnionym lub spowinowaconym.

Lecz panie te zwróciły uwagę na piękność Wandy. Dopiéro teraz więc ośmielił się mówić im o jéj sprycie i o dobrém wychowaniu. Od tego czasu panie zaczęły się uśmiechać Maniucie i Wandzie bardzo uprzejmie. A raz przy źródle, nie przedstawiając się, bardzo grzecznie wypytywały je, czy są zadowolone z kuracyi i jak długo tu zabawią. Księżna nazwała nawet Wandę „mojém dzieckiem". A ta, starając się pokazać im, że jest także dobrze wychowaną, składała im odtąd ukłon trochę nienaturalny, mający być bardzo niskim, dystyngowanym, a nie uniżonym, podobny, jaki widziała na scenie u frejlin dworu przed królową.

Lecz pojmowały doskonale, że po za tą etykietą o jakiémś większém zbliżeniu się mowy być nie może i że jednocześnie towarzystwo tych panów jest już dla nich stracone.

Ukazywały się teraz na deptaku same — stale w asystencyi jedynie Ernesta Milera. Znajoma młodzież już się porozjeżdżała. I Wanda, spacerując po deptaku, miała wciąż uczucie, że ją palcem wytykają i tryumfują, że ją ci dwaj panowie tak niemiłosiernie opuścili.

I uśmiéchała się do Milera i robiła minki i dowcipkowała tak ożywiona, aż ją Maniuta musiała znowuż strofować:

— Nie dokazuj, ludzie patrzą.

Miler był teraz w siódmém niebie. Lecz panie dochodziły do nich przy źródle i, zazdroszcząc jéj dawnych sukcesów, mówiły teraz bardzo dobrodusznie:

— Czy pani słaba? Właśnie zauważyłyśmy od niejakiegoś czasu, że pani ogromnie pobladła.

— Rzeczywiście, nie czuję się zupełnie zdrową. Byłam u lekarza, objaśnił mię, że to są konieczne skutki kuracyi. Wzięłam zbyt wiele kąpieli. Tylko na humorze nic nie straciłam, prawda, Maniuto?

— Och! Już tak dokazuje teraz, jak nigdy.

Lecz deptak stał jéj się w końcu wstrętnym. Na Michasiową także przestały już chodzić. Siadywały przez cały dzień w ogródku przed willą. Miler był nieodstępny. Teraz z nim spędzały wieczory w altanie. A pokój jéj przedstawiał oranżeryę bukietów i kwiatów, codziennie przez niego przesyłanych.

Na dworze pogoda się zmieniła. Jesień się zbliżała. Wieczory stawały się długie i zimne. Czasami deszcze powolne bez przerwy lały całemi dniami. Na deptaku bywało coraz mniéj ludno, a w restauracyi pod Barankiem stoliki stały już puste. I codziennie ten bywał, to znów ów odjeżdżał. I widać było bez końca karety z tłomokami w tyle, a w nich kobiéty z bukietami, kłaniające się przez

szybki okien i odjeżdżające het ku domom. I Wanda blada i zdenerwowana wołała:

— Jechać! Ach! Jechać już stąd jaknajprędzéj!

— A widzisz! — tryumfowała Maniuta — czy nie miałam racyi, kiedym nie chciała z domu wyjeżdżać? Nie lepiéjby nam było teraz w Borowie? Moje biédne dzieciaki co tam robią! A gospodarstwo? Mogę sobie wyobrazić, jak to wszystko bezemnie idzie!

Lecz nie mogły przerywać kuracyi i musiały pozostać jeszcze do końca tygodnia, choć każdy dzień wydawał im się wiekiem i obliczały za ile godzin będą w domu! Godzin wypadło blisko dwieście! Okropność!

Nazajutrz mogły już wreszcie opuścić Krynicę i Miler biegł po pustym już zupełnie deptaku, aby zamówić u ogrodnika bukiety ostatnie, jeszcze piękniejsze niż zwykle. Wtém usłyszał za sobą głos:

— Panie Miler, chodź-no tu pan!

To mecenasowa z torébką podróżną, przewieszoną przez ramię, chciała widocznie się z nim żegnać. Nie było sposobu się cofnąć.

— No! Pańskie papiéry teraz w górę poszły, kiedy tamten dał nura, co? Ale wierzaj pan staréj kobiécie: To nie żona dla pana.

— Proszę pani, jestem pełnoletni — odrzekł, cały trzęsący się z gniewu — i nie pytam o radę nawet najbliższych, tém bardziéj pani.

— No, nie chcę się kłócić z panem na rozstanie, pomimo to, gdybyś był moim synem, choćbyś się na głowie stawiał, nie dopuściłabym. Żeń się, żeń! Będziesz pan miał przynajmniéj ładne dzieci.

— Uważam takie żarty zupełnie za niestosowne — odrzekł wyprowadzony z cierpliwości.

— A to nie miéj sobie dzieci i daj mi święty pokój — rzekła rozgniéwana i zwracając się w braku lepszego towarzystwa do jedynego świadka ich rozmowy, wyfrakowanego garsona, stojącego z serwetą pod pachą przed pustemi stolikami, dodała:

— Biédak! do reszty zgłupiał!

Wreszcie nadszedł ten wyczekiwany tak niecierpliwie dzień podróży. Wypogodziło się. Poranek był piękny. Słońce jaśniało swojém jesienném złotem. Lecz ziemia była wilgotna, kałuże deszczu po niéj lśniły. A z drzew pożółkłe liście smutnie jeden za drugim padały.

Przed willą czekał już do drogi wielki kryty powóz, do którego wnoszono ostatnie kufry i kuferki. Na tarasie stała Maniuta i Wanda. Miler brzydki w swoim czerwonym krawacie, w skopiowanym z kostyumu hrabiego, białém flanelowém ubraniu, źle włożoném i pomiętém

i tak niestosownėm do podróży — krzątał się, owieszony bukietami i wydawał rozkazy.

Furtkę ogrodu otwarto.

— Nareszcie! — szepnęła ze wzruszeniem Wanda, spostrzegłszy przychodzących.

Na tarasie pojawił się baron i hrabia w angielskim kraciastym płaszczyku z peleryną, w żółtych kortowych, zapinanych na guziki kamaszach po kolana i w nałożonéj z fantazyą szkockiéj sukiennéj czapce bez daszku, z pomponem, cały, jak żywcem zdjęty z angielskiego obrazka.

I ładny był ze swoją woskową twarzą, z wymuskanym wąsikiem, cienkim nosem i dużemi podsiniałemi oczami.

W ręku trzymał pęk białych storczyków i gardenii, sprowadzanych tu dla niego umyślnie z Wiednia.

Wanda była bardzo blada. To ranne zerwanie się hrabiego, aby ją pożegnać, było dowodem wielkiego poświęcenia. Co jéj teraz powié—myślała sobie w duszy.—Od téj rozmowy zależą jéj przyszłe losy. Była pewna, że przyjdzie, teraz czekała, nie tracąc do ostatka nadziei.

— Panie tak znikły nam w ostatnich czasach z oczu.

— To wina pogody—nie nasza. Deszcze lały bezustannie—mówiła tonem, jak gdyby wychowywała się w Wersalu.

— Przecież nie zmieniłyśmy mieszkania—odezwała się mniéj politycznie Maniuta.

— I tak nagle panie wyjeżdżają—ciągnął, nie odpowiadając Maniucie.—Dowiedzieliśmy się o tém tylko przypadkiem od ogrodnika.

— Bawimy tu przeszło od dwóch miesięcy. Jesień już kompletna. Czas do domu. Hrabia długo tu pozostaje?

— Jeszcze kilka dni. Następnie wyruszamy stąd do Biarritz. Czy pan Miler jedzie z paniami?

— Nie. Zmuszony jest jechać stąd na kilka dni do Wiednia. Jest tylko tyle uprzejmy, że odwozi nas do stacyi i ofiarował się wyekspedyować nam kufry.

Przez chwilę milczeli. Wandzie czas ten wydał się nieskończenie długim. Męczyła ją myśl:

— Nie wspomina nic o Warszawie, o obiecanych dawniéj odwiedzinach. Nie odzywa się ani jednėm słówkiem o wieczornych pogadankach przed willą w ogródku. A więc wszystko pomiędzy nami skończone...

Lecz Miler naglił już do wsiadania. Wskoczyły już do karety i rzuciły ostatnie: „Do widzenia”.

— Proszę się od nas pokłonić księżnéj i pani hrabinie.

Konie ruszyły. Przed oczami ich roztaczał się w dole w całéj swojéj długości opustoszały deptak z białym, podobnym do koszar, budynkiem kąpielowym. Daléj wiła się długa alea z wiecznie bijącą fontanną, z pustą altaną orkiestry i ze zmoczonemi od deszczu ławkami.

Przed pustą restauracyą stał melancholijnie garson we fraku, z serwetą pod pachą i zdawał się dumać filozoficznie nad znikomością. Wszystko to już było. I znowuż przyjdzie następny sezon i znowuż się skończy...

I Wanda rzuciła się w głąb karety, aby nie widziéć téj pustki, tak niedawno jeszcze żywéj, rozkosznéj. A w sercu czuła — nie ranę, lecz jak gdyby maleńkie zadrapanie szpileczką, ból nie bardzo wielki, a jednak tak przykry, dotkliwszy może od istotnych bólów, znieczulających cały organizm i tępiących drażliwość i świadomość. I miała uczucie — według jéj wyrażenia — jak gdyby była na własnym pogrzebie.

Miler za to był w różowym humorze i poprawiał nieustannie torébki i walizki i pytał panie bez końca: czy otworzyć okno, czy znowuż zamknąć, czy im gorąco, czy zimno? I ustawicznie miał ochotę poprawiać im poduszki pod plecami i zakrywać je pledem.

— Dziękuję panu. Tak jest bardzo dobrze. Niech się pan nie trudzi—siliła się, aby być grzeczną i odwracała głowę.

Był poprostu męczącym i nie odczuwał, jak była zdenerwowana. Kiedy siedziały już w wagonie, chciała się wreszcie położyć, odpocząć, nie widziéć nikogo... Lecz Maniuta uczyniła jéj uwagę, że nie wypada zostawiać go samego na peronie, że i tak pociąg wszak niedługo ruszy. Musiała więc znowuż stać przed nim w oknie wagonu i uśmiéchała się zmęczona, jak aktorka, dobiegająca do końca piątego aktu.

Konduktor krzyknął sakramentalnie:

— Gotów!

Maszynista wypuścił parę, ciszę stacyi rozpruł przeciągły długi świst i maszyna, ciężko dysząc i warcząc swemi kołami, ruszyła z początku, ciągnąc z trudem za sobą wagony, wreszcie pomknęła het—jak szalona.

I Wanda rzuciła się wreszcie oswobodzona w głąb siedzenia. Były same w przedziale. Przymknęła oczy, lecz spać nie mogła i myśli jedna za drugą uderzały o jéj głowę.

— Piękna, młoda i miła żona, pałac, konie, zabawy! To wszystko była blaga, zawracanie głowy. A więc wszystko skończone, skończone, skończone... I z tego wszystkiego zostanę panią Milerową. I dlaczegóż choćby ten głupi Miler nie oświadczył mi się wyraźnie? A je-

żeli i ten mnie nie zechce, zapomni o wszystkiém i nie raczy się zjawić. Pomyśléć, żem przyjechała tu ostatecznie po to, aby ci galicyjscy studenci mieli z kim grać w krokieta i wyjeżdżam stąd z niczém, z kwiatami. Ach! zadużo kwiatów!

Zerwała się z siedzenia.

— Nie śpisz? — zapytała ją Maniuta, myśląc o radościach, o domu, o dzieciach, o dużém praniu i o gospodarstwie.

— Głowa mię boli. Ach! wiesz, to od tych kwiatów od Milera. Zawsze mi się zdaje, że czuć je spirytusem ze wszystkich jego parowych dystylarni.

Powyrzucała wszystkie bukiety za okno.

— Jesteś arystokratką. Gardenie hrabiego jednak zostawiłaś sobie.

— Kwiaty hrabiego—patrz, co z nimi zrobię. O! patrz, fruwają, jak białe motyle, prawda? — wyrzucała jeden kwiatek za drugim, rozstrojona lakonicznėm pożegnaniem hrabiego nad wszelki wyraz zdenerwowana i nagle wybuchła długo powstrzymywanym żalem:

— Ach! gdybyś ty wiedziala, jak mi to wszystko zbrzydło, jak mi zbrzydło, jak mi zbrzydło. To wieczne uganianie się za mężem, to rzucanie się na szyję pierwszemu lepszemu z ulicy. Bo my musimy im się rzucać, udawać że się w nich kochamy, inaczéj na pannę bez posagu nikt przecież nie spojrzy i jeżeli tylko całemi siłami potrafi się przezwyciężyć, to się już nie ożeni. Wszak czekają na nich również ładne panny—bogate! I bronią się od nas, z całych sił bronią. Wszyscy mi mówią: Ładna, ładna! Co mi z téj piękności! Każdy z nich wié, że kiedy palcem kiwnie, pójdę za każdego! Ach! jak to obraża, jak to poniża! W naszych przecież oczach oni czytają jakby słowa: Zlituj się pan, bądź łaskaw, ożeń się ze mną! Piękność moja przeminie i rady sobie bez ciebie w życiu nie dam i jako starą pannę — będą mię jeszcze palcem wytykali. A oni nas nie chcą. I ten mnie nie chce i tamten mnie nie chce. Potańczy trochę na balu, powié kilka komplimentów, pobawi się i odejdzie. A mama balowych sukni mi dla zabawy nie kupuje. I późniéj każą nam jeszcze, abyśmy ich kochały! A ja ich nienawidzę wszystkich, wszystkich, wszystkich... I przysięgam ci—przyłożyła z mimowolną komiczną dramatycznością rączki do piersi — jak rodziców kocham, jak ciebie z duszy kocham, jak pragnę, abyście się pociechy z Tadzika i z Julka doczekali, że gdybym wygrała wielki los na loteryi, nie wzięłabym ani jednego, ani drugiego — nikogo. Mogliby się do skończenia świata u moich nóg czołgać. Jak matkę kocham. I przysięgam ci: nienawidzę ich, mam już tego wszyst-

kiego po szyję. I tak mi zbrzydli, tak mi zbrzydli — i ten i tamten — wszyscy, wszyscy, wszyscy...

Wybuchła płaczem, powstrzymując się z trudem od przeciągłego łkania.

— Wando! Bój się Boga, jak można tak się denerwować, tak czarno na życie patrzéć.

— Zapomniałaś—łkała—jakie życie ma się w domu; ojciec ciężko pracuje, w domu biéda i mama, mama... — nie mogła daléj mówić, rozpłakała się jeszcze bardziéj,

— Czy ty możesz wiedziéć jeszcze, jakie losy przyszłość ci gotuje? Jesteś młoda, ładna.

— Ach! Nie mów mi o téj piękności. Dużo mi z niéj przyszło. Nikt mnie nie chciał. Teraz po skończonéj dwudziestce — każda panna zaczyna brzydnąć. Chyba, że ty weźmiesz mię kiedy z łaski do swego domu. Będę ci dzieci niańczyła. Bo w domu mama Janinę zacznie prowadzić na bale. Nie można przecież jéj dla mnie marnować.

Maniutę wzruszył jéj żal.

— Biédna Wanda—myślała. —Jednak dawniéj łatwiéj było pannie bez posagu za mąż się wydać — zapomniała już trochę o własnych kłopotach.

Zaczęły się całować, a w końcu rozpłakały się obie. Wreszcie Wanda zmęczona płaczem i wrażeniami podróży— zasnęła.

Kiedy się obudziła, była zupełnie spokojną, ożywioną, dowcipkowała i zdawało się, że żałowała nawet swego wybuchu.

— Jednak dziwne, jak ta kuracya denerwuje. A wiész, Maniu, może ja rozpaczałam tak z powodu rozstania się z Milerem? Ładny był w swojém białém ubraniu, co? No, przysięgam ci, gdyby on był jeden na świecie, a ja druga, to bym za niego nie poszła. O! mogłam w mojém życiu już inaczéj wyjść za mąż, gdybym tylko była chciala, gdybym palcem była kiwnęła. Nic łatwiejszego, jak wyjść za mąż, a potém żałować przez całe życie—dziękuję.

Ani spostrzegły śród pogadanki, jak dojechały do granicy. Potém przespały jeszcze kilka godzin i wieczorem stanęły w Warszawie, dokąd Maniuta odwiozła Wandę. Sama przez kilka dni zajęta zakupami—chodziła jak na szpilkach. Kłopoty matki, nauki Janinki, domowe sprawy rodziców — wszystko to w gruncie już ją mało obchodziło. Było też jéj tu niewygodnie. I drżała do swego łóżka, do swego domu i gospodarstwa i stęskniona do dzieci, wyrwała się nareszcie

z Warszawy. I odprowadzona na stacyę przez rodziców, stryja Franka, Wandę i Janinkę — uszczęśliwiona wyruszyła nakoniec do swego Borowa.

XI.

Upłynęło kilka tygodni od przyjazdu Maniuty do domu. Pewnego dnia wchodzi do gabinetu swego męża z listem od rodziców w ręku.

— Wobraź sobie: nowina. Nigdy byś nie zgadł. Miler oświadczył się o rękę Wandy.

— Co? Miler? I dostał kosza zapewne?

— Nie. Przyjęty.

Doktór zerwał się ze swego fotelu.

— Ależ to są kpiny!

— Czytaj ten list. Mama jest zachwycona tém małżeństwem. Pisze, że nie marzyła nawet o takiém szczęściu dla Wandy.

Przeczytał jednym tchem list i zmięty rzucił na ziemię, a następnie uderzając ręką o stół — wykrzyknął z niezwykłą sobie brutalnością.

— To podłość marnować tak dziewczynę. Przecież takiéj nędzy nie ma jeszcze u rodziców, aby ją tak sprzedawać pierwszemu lepszemu. Na co ten gwałt! Taka stara znowuż jeszcze nie jest. Zresztą ma talent, który w najgorszym razie zapewni jéj byt. Można by ją wysłać dla dalszego kształcenia się do Monachium lub Paryża. Czy ja wiem... Coś by się jéj wreszcie wynalazło! Ostatecznie ty byś jéj także nie wyrzuciła ze swego domu.

— Nie obawiaj się. Jeszcze nie jest po ślubie. I ja już pomyślałam sobie, że to małżeństwo nie ma żadnego sensu. On był pośmiewiskiem całéj Krynicy. Zresztą wiem, co Wanda o nim myśli. Zapewne zmuszają ją do tego małżeństwa.

— Naturalnie. Matka twoja przez to wieczne jeżdżenie poczciwemu ojcu po głowie — wyrobiła sobie pewien despotyzm, który narzuca wszystkim.

— O! Poczekaj. Ja tu także coś znaczę. Siadam w téj chwili i napiszę do domu kilka słów prawdy. Tego się nie robi. Sprzedawać młodą dziewczynę! Zobaczymy. Napiszę mamie krótko: Albo ja, albo on.

— Tak, tak, napisz koniecznie. Przecież to siostra.

Wyszła z pokoju. Ogień męża udzielił jéj się tym razem. Nie zawsze była z nim jednego zdania, lecz teraz przyjemnie jéj było miéć

piérwszy raz w obec matki własne zapatrywanie się. Przecież nie jest już tém dzieckiem, co dawniéj. I ona ma teraz męża, dzieci, służbę, która musi znosić wszystkie jéj kaprysy.

I bardzo przejęta była swoją misyą i swojém *veto*. I w gruncie zadowolona, wzięła się do pisania bardzo długiego listu.

A on oparł głowę na ręku i siedział jak skamieniały w fotelu przy biurku. W pierwszéj chwili stanowczość żony podziałała na niego, jak obietnica dorosłéj osoby na małe dziecko. Teraz machnął na to ręką. Wszystko już skończone. Znał stanowczość teściowéj. I co znaczą w obec jéj postanowienia i w obec jéj pojęcia o karyerze— dziecinne pogróżki i dąsania się jego żony! Był też pewnym, że Maniuta w obecności matki — straci swoję śmiałość.

— Wszystko się skończyło.

Czuł, że nie może przełknąć śliny — jak gdyby mu ktoś zatkał gardło. A serce biło mu jak młotem. Rozejrzał się dokoła, czy nikt na niego nie patrzy... I porzucając swoje siedzenie, przeszedł przez pokój, nalał sobie z karafki wody, któréj wypił duszkiem całą szklankę. Zadzwonił na służącego.

— Powiédz, że nie przyjmuję dziś więcéj chorych. Gdyby ktoś prosił mię na wizytę — powiédz, że mnie nie ma w domu.

Chciał być samym koniecznie. Zaryglował drzwi swego pokoju.

— A więc ja ją kocham? — sformułował sobie nakoniec to pytanie. — I nie chodzi mi tu o Milera, ale każda wiadomość o jéj ślubie sprawiła by to samo wrażenie. Więc to wszystko jedno, czy Miler, czy téż kto inny? Nie, nie, nie prawda! — wykrzyknął prawie głośno.

I zerwał się znowuż z fotelu i chodził wszerz i wzdłuż pokoju bez końca, analizując i egzaminując najskrytsze tajniki swego mózgu z tą zaciekłością, z jaką badał chorobę swoich pacyentów. I niezmordowany i uparty, jak sędzia śledczy, zanurzał się w szczegóły, które doprowadziłyby go od nitki do kłębka.

— A jednak — przypominał sobie — kiedy, z właściwą sobie otwartością, dała mi do poznania, że jéj się ów hrabia z Krynicy podoba — dla czego nie cierpiałem i nie oburzałem się tak całém mojém jestestwem, jak dzisiaj? Było mi tylko przykro, że będę musiał oddać ją w ręce obcemu, mało znanemu mi człowiekowi. Lecz taką zazdrość czuje każdy ojciec, który ma tracić własną córkę; takiéj obawy doznaje każdy brat nie pewny, czy ten obcy zupełnie człowiek zapewni szczęście. Nie rozpaczałem jednak, po jéj uczciwém wyznaniu w Żegestowie. I nie gnębiłem się tém, że on jest wolnym, młodym, pięknym, a więc godniejszym jéj, niż ja. Chciałbym być może nim, ale

będąc już raz sobą, nie zazdrościłem mu jego szczęścia. Bo nie o mnie, lecz o nią mi chodziło. — Ale kiedy pomyśli o tym Milerze, rudym i piegowatym, z kilkoma brakującemi na przodzie zębami, że on będzie pieścił i przytulał ją w objęciach — wstrząsa się cały.

I znowuż zdaje mu się, że ma zatkane gardło i śliny przełknąć nie może. I wychyla do dna nową szlankę wody.

— Nie, to nie zazdrość. Moją przecież w żadnym razie nie będzie. Lecz niech wychodzi sobie za kogo chce, byle nie za Milera.

Tak, tak, niech wychodzi za mąż jaknajprędzéj.

Czy miłość ma być w gruncie synonimem egoizmu i ma polegać jedynie na pragnieniu być kochanym? Ta opiewana przez tylu genialnych mistrzów miłość, ten najpyszniejszy kwiat kultury wieków — maż być w gruncie tylko sztuczną powłoką, pod którą się ukrywa jedynie egoistyczne zaspokojenie żądz krwi? I tyle blagi, tyle chałasu robiło by się dla prostéj miłostki. Dlaczegoż poeci nie opiewali by w takim razie innych potrzeb ciała. Nie! Nie w pocałunku tkwi istota miłości. Mogą one być jéj skutkiem, lub nie być. Lecz nie są one celem.

Przypomina to sobie najdokładniéj. Był przecież zupełnie młodym, kiedy zbliżał się do pani Julii. A jednak już wtedy żądał od niéj tylko téj bratniéj duszy, która by go rozumiała, która by go bardzo a bardzo lubiła i pozwoliła mu za to poświęcić jéj życie.

Jeżeli odniósł nad nią to, co nazywa się w romansie zwycięstwem — to nie żądał tego wcale. I powracał z téj nieoczekiwanéj schadzki nie jak zwycięsca, lecz z głową pochyloną szeptając:

— Jaka szkoda, jaka szkoda!

Nikt nie umiera z głodu i na miłostkach nikomu nie zbywa. Lecz żal tracić powiernika, przyjaciela, ideał. Ach! Te romanse, rozdzielone na fazy, dochodzące do zenitu i gasnące! A jego żona!

Ta Maniuta, jadąca z nim ongi saniami z kościoła, bawiąca się w cenzurowanego na balu u Łupinkowskich — a dziś drepcąca w wyszarzanych pantoflach w białym kaftanie — z rozczochranemi włosami!

Z kluczami u boku nie odstąpi go przez całe życie na krok. Lecz czyż pomimo to — nie będzie wiecznie czuł się samym jednym na świecie. Losy ich są wspólne na wieki; jest do niéj przywiązany, jak do żony, jest jego wieczną współlokatorką, kochanką, matką jego dzieci.

Lecz ta wielka przyjaźń, schodząca do pietyzmu, to wielkie interesowanie się wzajemne sobą, dopełnianie swoich myśli, odgadywanie trosk, zaparcie, wreszcie istnienie jedynie dla téj drugiéj osoby, która żyje tylko dla mnie — ta wielka przyjaźń, szczyt uczuć ludzkich, zo-

wiąca się prawdziwą bezinteresowną miłością — ta niestety nie egzystuje już pomiędzy nimi.

Zmęczony przeciągłą wędrówką po pokoju, znowuż rzucił się na fotel i sparł na ręku zmęczoną głowę.

Lecz Wanda, pomimo całéj różnicy charakteru, była siostrą Maniuty, córką tych samych Malinowskich i choć niepodobna do niéj, miała jednak pewne wyrażenia, pewne ruchy i właściwości, które — siostry rodzone muszą mieć — wspólne. I cała miłość dla Maniuty odrodziła się dla niéj.

W téj miłości nie było nic grzesznego. Nie ucierpiała by na niéj ani jedna, ani druga. Chciał pospołu z żoną myśléć o szczęściu siostry. On — stary romantyk nie pragnął po nadto — niczego. Bo to była nie miłość w pospolitém pojęciu, lecz wielka bezinteresowna idealna przyjaźń.

Kiedy analizował tak swoje uczucia — pewny, że się nie myli — na czoło krople potu mu wystąpiły, a w głowie uczuł przeciągły szum, w oczach mu tańczyło. A śród tego bezprawia jego mózgu, zaczęły wirować w kółko owe piekielne sprzeczne głosy, owo drugie *ja*, upierające się tak często dowieść nam, że się mylimy.

— Przyjaźń! — mówiły te głosy — Ha, ha! To dziwne — obierać sobie za przyjaciółkę tak młodą osobę, prawie dziecko! Czyż nie stosowniejszą była by do takiego uczucia kobieta średnich lat — tak naprzykład 50-letnia, co? I dlaczegoż koniecznie tak piękna, jak Wanda? No, bo ona jest piękna; nie będziesz przecież kłamał przed samym sobą, żeś tego nie spostrzegł i żeś się nie zachwycał nią ciągle. Bez końca przypatrywałeś się jéj oczom, włosom, szyjce, pieprzykowi, wypukłym piersiom. Na co odgrywać tę komedyę szlachetności przed samym sobą? Człowiek, choćby chciał—może być tylko człowiekiem, mającym więcéj wspólnego ze zwierzęciem, niż z aniołem. A zdaje się że to Montaigne powiedział mniéj więcéj: Nie wiem co się dzieje w głowie zbrodniarza, ale myśli przyzwoitych ludzi bywają czasami okropne. Co tam długo dowodzić: z przyjacielem nie spędzałbyś całych godzin przy Strudze. Gdzie o czém właściwie mówiliście? Czy o jakich wielkich ideach, czyś zwierzał jéj się z jakich wielkich bóli, lub ona tobie? Broń Boże! Poprostu mówiliście całemi dniami o niczém. Było ci przyjemnie z nią jedynie dla tego, żeś ją czuł przy sobie, żeś patrzał w jéj oczy, które są piekne i żeś lubował się, jak smakosz samym widokiem jéj młodości. A wtedy wieczorem na wolancie śród aromatów ziół i łanów, czy nie dlatego czułeś się szczęśliwym, żeś czuł ciepło jéj ciała, tuż przy sobie. A późniéj wieczorem ten nagły wybuch, w którym mimowoli o włos byłbyś wyciągnął ra-

miona — czy to była przyjaźń? A później — kończyło bez litości nad nim jego drugie *ja* — to opuszczenie nagłe chorych i wyjazd za granicę a po kilku tygodniach owe powtórne odwiedziny w Krynicy — bo wytrzymać bez niéj nie mogłeś — czy to wszystko czyniłeś dla siostry swojéj żony? I ta nagła nienawiść dla Milera — to było tylko uczucie zazdrosnego ojca? Nie, kochany panie, przyjaźń swoją drogą; lecz na cóż udawać świętego? Z tą przyjaźnią łączyło się jeszcze coś innego...

Pochwycił się aż za głowę.

— Z tą przyjaźnią łączyła się więc podłość! Romans z siostrą żony pod jéj własnym dachem. Korzystanie z jéj ślepoty, uczciwéj nawskroś kobiety, któréj nie mogłyby przejść przez głowę podobne brudy. I co za cel takiéj miłości? Czy uwieść cichaczem tę dziewczynę, czy téż rozłączyć się z żoną, osierocić dzieci i uciekać ze shańbioną na koniec świata.

Wstrząsnął się cały. To uczucie, którém się w głębi tak chlubił, ten kwiat kultury, ta wielka przyjaźń — spadała do czegoś ohydnego.

— O! Jakżeż człowiek jest marnym ze wszystkiemi swemi uczuciami nawet wtedy, kiedy nie zdaje sobie z tego sprawy.

Pogardzał sobą, a Wanda od téj chwili jeszcze droższą mu się stała. Teraz, kiedy nie okłamywał się już i kiedy obłudna maska z jego oczów spadła — poczuł, że żyć teraz bez niéj będzie mu bardzo trudno.

Kilka godzin już minęło od chwili, kiedy zamknął się w swoim gabinecie. Słońce oddawna zaszło, skończyły się szare godziny, a teraz koło niego ciemno było, jak w nocy.

I Maniuta zapukała w końcu do drzwi, a przekonawszy się, że jest sam w pokoju — zapraszała niecierpliwie na herbatę. Z trudem wymówił się silną migreną i nie mogąc przemówić słowa i nie chcąc spojrzéć jéj w oczy — położył się do łóżka.

Po kilku dniach nadszedł list od mamy Malinowskiéj. I Maniuta, ciągle jeszcze nieubłagana i niesklonna do ustępstw, rozdzierała kopertę z drżącémi z zaciekawienia rękami. Lecz o dziwo! Mama Malinowska, nie zważając wcale na powagę Maniuty, wycięła jéj po swojemu takie *verba veritatis*, jak za dawnych dobrych czasów.

Maniuta aż się rozpłakała, jak gdyby przypomniał jéj się gniewliwy głos matki, przed którym ongi drżała a który z tą samą siłą działał teraz na nią zdaleka.

List w swoim tonie był od początku do końca owym dawnym, według wyrażenia mamy Malinowskiej — *pater noster*, albo porcyą,

ale to taką porcya, aby ją na długo zapamiętała. I Maniuta widziała w myśli wypieki na twarzy matki i porywczość, z jaką zabierała się do pisania tego listu, czuła się też zupełnie bezsilną, jak za dawnych czasów i ujarzmiona znowuż przez matkę, przestraszyła się teraz sama swojéj śmiałości.

— Póki ja jeszcze żyję—brzmiał list mamy Malinowskiéj—zasię komukolwiek mieszać się do moich postanowień. Rozumiész? Jeżeli sądziłaś, że sprawienie kilku sukien Wandzie i utrzymywanie jéj przez kilka miesięcy, upoważnia cię do wkładania swoich trzech groszy do spraw, które się ciebie nie tyczą—to się grubo omyliłaś. Co najwyżéj możesz na wesele nie przyjeżdżać, jeżeli mąż, którego rodzice twojéj siostrze wybrali, nie ma szczęścia ci się podobać. Twoja opieka jest têm niestosowniejsza, że ja, jako matka, nie wtrącam się przecież do twoich interesów i nie krytykuję twojego domu, choć jego ład — o ile wiem—pozostawia wiele do życzenia. Jesteś pełnoletnia. No, ale i ja także—wszak prawda? Co się tyczy twego męża, jeżeli to on cię buntował—to powiédz, że mam mu coś do powiedzenia w téj sprawie na cztery oczy. Obecność wasza na ślubie wcale też nie jest konieczna. Odbędzie się za kilka tygodni w maleńkiém kółku o godzinie 10 rano. Szkoda więc waszych pieniędzy na koszta podróży, a i narzeczony nie będzie wcale spragniony widzieć ludzi, którzy mu są niechętni. Życząc ci, abyś dla swojéj przyszłéj córki, a mojéj wnuczki również dobrego męża kiedyś znalazła. Pozostaję twoją matką

Malinowska.

Dopisek Wandy brzmiał lakonicznie:

Kochana Maniuto!

Tłómaczę sobie list twój, który mnie wiele zdrowia kosztował, znaną mi przy twojém dobrém serduszku porywczością. Lecz dziwi mnie bardzo i boli, że mąż twój tego listu choć jednêm słówkiem nie złagodził. Czyżby i on okrutny był przeciwko mnie? Czyż nie poznał mnie jeszcze i czy mógł przypuszczać, że zgodziłabym się pod naciskiem zostać czyjąkolwiek żoną bez miłości? Lecz ja kocham pana Milera. I zdaje mi się, że têm słowem cała kwestya jest zamkniętą. Pocóż więc było ranić mnie oczernianiem go w chwilach, kiedy właśnie potrzebny jest spokój, dobra wola i serdeczność ze strony naszych bliskich i przyjaciół? Bo co się tyczy oczernianiań, to i tak dość zatruwają życie mnie i mojemu narzeczonemu anonimy zazdrosnych kumoszek i fałszywych ludzi. Jestem pewna, kochana siostrzyczko, że żałujesz już swojéj porywczości i że zmienisz zdanie

o przyszłym szwagrze, kiedy go lepiéj poznasz. Bo on kocha już was (twego listu naturalnie mu nie pokazałam), jak na to oboje zasługujecie.

Kochająca was siostra

in spe Wanda Milerowa.

— A więc matka domyśliła się wszystkiego — taka była pierwsza myśl, która uderzyła o głowę doktora po przeczytaniu tego listu.— Byłby skończonym głupcem, gdyby nie pojął téj aluzyi, że ma „do powiedzenia w téj sprawie coś na cztery oczy". Zrozumiała dlaczego sprzeciwiał się temu małżeństwu.

Lecz kto mógł powiedziéć jéj o tém wszystkiém? Rzecz tak prosta! Któżby—Wanda wspominała jéj zapewne w naiwności o spacerach, długich pogadankach, samotnych przejażdżkach i jego uprzejmości i dobroci.

Nie sztuka było się domyśléć.

A więc i inni, którzy ich razem widzieli, domyślali się wszystkiego. Wszyscy naturalnie z wyjątkiem jego żony, zbyt naiwnéj i poczciwéj w takich sprawach. Od owéj pierwszéj chwili, kiedy powiedział sobie: to była miłość — był zarazem pewny, że wszyscy dokoła wiedzieli o tém pierwéj od niego.

Spotykał Łupinkowskich, aptekarza, Marcinkowskiego. Teraz pragnął tylko, aby przynajmniéj w oczy nie dawali mu do zrozumienia, że o tém wiedzą. Dopiéro matka pierwsza rzuciła mu w twarz:

— Wiem o wszystkiém.

Ból głowy, na który się żalił, nietylko że nie przechodził, lecz powiększał się z dniem każdym. Z właściwością ludzi nerwowych, tak samo jak zbyt radował się każdą przyjemnostką, tak przeceniał cierpienia. Chociaż z całych sił chciał panować nad sobą, męka jego stawała się z coraz widoczniejszą.

O odwiedzaniu więc pacyentów nie mogło już być mowy, témbardziéj, że do cierpień jego przyłączyła się uporczywa gorączka, osłabiająca do reszty cały organizm. Nie było rady; i pomimo oporu, zwykłego u lekarzy, nie lubiących się leczyć, musiał zgodzić się na nieustanne żądanie zaniepokojonéj żony i wezwał na naradę obu tutejszych doktorów.

Starszy nazwał jego cierpienia malaryą, młodszy — influenzą. Obaj jednak zgodzili się, że jest w téj chorobie coś niewytłómaczonego, jakiś dziwny opór, apatya i osłabienie, których nie można było zwalczyć ani chininą, ani bromem, ani arszenikiem, ani żelazem.

I chory spadał wciąż z ciała, bladł, niknął w oczach, nie sypiał i nie brał nic do ust.

A jednak dobrze mu jakoś było w téj miękkiéj pościeli, z głową ciężką, jakby oczadzoną, bez ani jednéj myśli, z oczyma nawpół błędnemi, które wskutek osłabienia same mu się wciąż zamykały. Czuł się takim dalekim od wszystkiego i żył jakiémś półżyciem, nie zdając sobie dokładnie sprawy z niczego, co się w koło niego dzieje, nie czując nic braku sił i zmęczenia. Jak gdyby się upił mocną maderą lub oczadził haszyszem, lub silnym zapachem kwiatów.

I wtedy ta nieinteresująca filisterska żona, banalna, krzykliwa mieszczka, nie analizując swoich uczuć, ani obowiązków, nie starając się wzbudzić ani poszanowania, ani podziwu, ani wdzięczności—przemieniła się nagle w bohatérkę.

Nie biadając, ani rozpaczając, podawała lekarstwo i chodziła koło niego cichutko na palcach, odgadując każde jego spojrzenie. Nie zmęczona, nie ruszała się prawie na krok ani w dzień, ani w nocy. Kiedy jéj przez chwilę nie widział, zdawało mu się, że choroba odsuwana od niego powraca stokroć straszniejsza.

Skąd siły brała ta zwiędła przedwcześnie, blada, z płaską piersią kobieta, na spędzenie całych tygodni u jego łoża? Nie kładła się spać w nocy i od kilku tygodni nie widziała swego łóżka i nie zdjęła z siebie sukni, drzemiąc jedynie w fotelu i budząc się na każde jego westchnienie.

A on czując się lepiéj, wyciągał do niéj wybladłą, zwieszającą się bezsilnie rękę i szeptał osłabionym głosem:

— Jaka ty dobra dla mnie jesteś! Jak ci się za to wszystko odwdzięczę!

— Doskonały sobie jesteś — odpowiadała, poprawiając mu poduszki, bez dłuższych deklamacyi. — Bądź zdrów, to będzie najlepsza wdzięczność. A jeżeli chcesz dowieść, że mnie i dzieci choć trochę kochasz, to weź tę łyżeczkę wina, zrób to dla mnie, no! dobrze? — i wlewała mu wino do gardła, jak grzecznemu dziecku, które życzenia matki spełnia.

Wreszcie nadeszła rekonwalescencya. Siadywał teraz w oknie w fotelu i przypatrywał się swemu ogródkowi, niebu, drzewom, jakgdyby z dalekiéj podróży powrócił. Zapijał teraz dobre wino i zajadał z wilczym apetytem befsztyki, których mu żona musiała nawet oszczędzać, aby żołądka sobie nie zepsuł.

Teraz, kiedy był już zdrów, na czułości czasu nie miała i powróciła znowuż do swoich zajęć, do kuchni i do strofowania służby, która według niéj podczas choroby męża na nic się rozpuściła.

— Bój się Boga, Maniu, skąd ty siły bierzesz? Tyle się napracowałaś podczas mojéj choroby, tyle nocy nie przespałaś. Odpocznij trochę.

— Cóż-to? na loteryi wielki los wygraliśmy, że mi każesz odpoczywać? A moja podróż do wód mało kosztowała, a twoja choroba? Gospodarstwo na nic zapuszczone, służba bez dozoru rozleniwiała. Przytém tak długo nic nie zarabiałeś. Teraz mam jeszcze odpoczywać. A toby ładnie tu wyglądało.

Lecz choroba rozgościła się na dobre w ich domu; nie wypowiedziała jeszcze swego ostatniego słowa. I jak gdyby mszcząc się, że z jéj szponów wyrwano jedną ofiarę — czyhała teraz nieubłagana, bezlitośna, wszechpotężna, raniąca matki tak silnie, jak żadna moc na ziemi, a i jak żadna prawdopodobnie męka w otchłaniach piekieł.

I zaledwie wyzdrowiał doktór i zaczął wyjeżdżać do swoich chorych, a cały dom miał powrócić do zwykłéj normy — pokładli się do swoich białych łóżeczek Tadzik, a w kilka dni tłusty, zuchowaty Edmund. Czesława wraz z jego niańką usunięto z domu.

I trzeba było być z kamienia, aby serce nie wyskakiwało na widok tych robaków, pożeranych przez gorączkę, wijących się z bólu i cierpiących, jak dorośli ludzie, choć nie wiedzieli dlaczego.

I Maniuta biegała znowuż całemi dniami i nocami bez chwili odpoczynku od łóżka do łóżka. A wargi jéj bezwiednie drżały, kiedy kołysząc ich kolejno na rękach, usypiała śpiewem do snu i błagała, aby przyjmowali lekarstwa, nie wątpiąc ani na chwilę, że oni żyć muszą, bo Bóg-by jéj przecież tak strasznie nie karał, nawet gdyby mimo wiedzy zgrzeszyła.

A doktór w swoim gabinecie wertował w tym czasie książki, chcąc wykraść tajemnicę, którąby ułaskawiła tych małych skazańców. I nie zdziwił się, kiedy wpadła do niego żona z blademi, trzęsącemi się nerwowo wargami, z rozwianym włosem i strasznym wzrokiem. I ciągnąc go za rękę do łóżeczka Tadzika, zapytała:

— Patrz! Więc to prawda? Nie żyje?

— Maniu, miéj siły i proś Boga, aby nam ocalił przynajmniéj tamtego.

Lecz nazajutrz w drugiém białém łóżeczku, obrzuconém kwiatami, poważny, jak dorosła osoba, leżał martwy z krzyżykiem w złożonych maleńkich rączkach i drugi ich synek Edmund z bladą twarzyczką, zdający się pytać naiwnie:

— Na coście mnie na ten świat sprowadzili i dlaczego tak prędko znowuż każecie mi go opuszczać?

I Maniuta chodziła pomiędzy trupkami dwojga swoich dzieci bezmyślna, niema, bez słowa żalu, bez jednéj łzy. A kiedy mąż błagał, aby spoczęła lub posiliła się — odpowiadała bezdźwięcznym głosem:

— Na co? Przecież oni przez to nie ożyją.

Dopiéro, kiedy obie białe trumienki spuszczali na pasach wgłąb ziemi na wieki, wybuchła przeraźliwym krzykiem zabijanego zwierzęcia.

I rozpacz ta miała nie ułagodzić się przez długi przeciąg czasu. Maniuta bowiem nie potrafiła tulić się w nieszczęściu do ramienia ojca jéj dzieci, starającego się ulżyć jéj cierpieniom szeptami męża, kochanka i opiekuna. Broniła ją od tych „romansów i przesady" jéj filisterska trzeźwość, zaszczepiona ongi przez matkę.

Maniuta wprawdzie dysponowala w piątki obiady postne, spowiadała się, jak należało każdéj przyzwoitéj kobiécie i chodziła co niedziela i w święta w ładnéj sukni, z pięknie oprawną książką do kościoła, gdzie sadowiła się naturalnie na ławce, przeznaczonéj dla małomiasteczkowéj *noblessy*, i sluchala kazań księdza o pijaństwie, kradzieży i cudzołóstwie, choć Bóg jeden wiedział, jak te grzechy były od niéj dalekie.

Lecz teraz w chwilach rozpaczy nie potrafiłaby w zarzuconéj na głowie chustce paść na kolana i błagać w pustéj, ciemnéj świątyni Stwórcę, aby złagodził jéj cierpienia. Zdawało jéj się, nawet śród jéj rozpaczy, że to nie wypada, coby ludzie na to powiedzieli, aby ona, z domu panna Malinowska, bez kapelusza, nieuczesana, z zapłakanemi oczyma biegla o niezwykłéj porze do kościoła. Nawet sam Pan Bóg...

I ta cała tandeta filistersko-mieszczańskiego wychowania, polegająca jedynie na formach wewnątrz pustych, oraz na blichtrze i na maleńkim sprycíku, nie pozwalająca jéj ongi zrozumiéć wielkiego poematu życia i wyższych uczuć — teraz, wobec téj tragedyi w wielkim stylu, jaką jest dla każdéj matki śmierć dziecka, — robiła ją bezbronną, nieprzygotowaną, oszołomioną, nad wszelki wyraz nieszczęśliwą.

Obecnie nie chodziło już o to, co ludzie powiedzą i sobie pomyślą, czuła, że coś ją za serce szarpie, w gardle dusi. I wyrywała sobie włosy, oglądając zabawki, sukienki i puste łóżeczka Tadzika i Edmunda. Biegała po martwych, pustych pokojach, jak szalona.

A wtedy on, wyszydzany przez Brandbuszównę lekarz, romantyk, błądził samotny po polach i łąkach, aż wreszcie zbaczał ukradkiem do samotnéj świątyni i, opiérając na rękach głowę, wsłuchany w śpiewy

ptastwa, wijącego sobie gniazda u okien kościoła, oraz w szmery drzew plebanii—szeptał ze wzruszeniem, wpatrzony w poczerniałe kopie świętych obrazów, owiany tym nieprzepartym, zagadkowym, mistycznym urokiem ciszy w ciemnéj świątyni:

— Boże, wielki, potężny Panie, przez litość uczyń, aby o swojém cierpieniu zapomniała, lub daj jéj siły, aby te katusze zniosła. Nie karz mnie za winy, jeżeli je popełniłem.

I łzy spływały z jego oczu i przepełniony aromatami przebytych pól i lasów, i przejęty całą wielkością i cudami świata — wychodził ze świątyni spokojniejszy i spoglądał w niebo, na które wypływały gwiazdy pogodne, świetlane, jakby wiedzące już o jego modlitwie i uśmiechające się dobrodusznie do niego i uspokajające go:

— Miéj nadzieję. Czas zabliźni wasze rany. A im jest tu dobrze. Są pomiędzy nami w niebie.

W trakcie tym odbył się w Warszawie ślub Wandy z panem Ernestem Milerem, z powodu żałoby jeszcze cichszy niż zamierzano. Młoda para w godzinę po ślubie, po wypiciu w maleńkiém gronie kieliszka szampańskiego wina, wyjechała do Paryża.

Naturalnie że Klimowiczowie nietylko na tym ślubie nie byli, lecz całe to małżeństwo, które z początku tak ich elektryzowało, teraz śród ich własnych nieszczęść: chorób, a następnie śmierci—obiło się o nich, jak o mur chiński.

(*D. c. nast.*) *Alfred Konar.*



ZE ŚWIEŻYCH DZIEJÓW NASZÉJ KOMEDYI.

JÓZEF BLIZIŃSKI.

Kiedy rozpoczynałem niniejszą pracę, Józef Bliziński był jeszcze między nami, błyszczał całą pełnią swéj sławy, jednając sobie licznych przyjaciół dzięki prostocie sympatycznego obejścia. Dobrocią serca i otwartością postępowania ujmował wszystkich.

Wówczas miałem szczęśliwą sposobność zbliżenia się do niego. Skorzystałem z okazyi i porobiłem potrzebne mi notatki. Trudna to była sprawa, bo Bliziński nie lubił o sobie mówić, zwłaszcza gdy wiedział, iż się o tém pisać będzie. Zdołałem wszakże przezwyciężyć jego niechęć i prowadząc cierpliwie długie z nim o przeszłości rozmowy, wydobyłem niemało drobnych a ważnych o życiu jego szczegółów. Nieraz znużony, chciał Bliziński zaprzestać zmudnéj roboty—uprosiłem go, zwalczyłem opór i uskuteczniłem podjętą pracę.

Miał on zwyczaj zapisywania, w kilku lub kilkunastu zdaniach, wypadków codziennych, używając do tego małych ćwiartek papieru. Powstał stąd rodzaj pamiętnika, prowadzonego systematycznie od lat dwudziestu paru. Życie i czyny Blizińskiego były proste i pozbawione nadzwyczajności—więc i obraz tego życia i tych czynów tchnął spokojem i czystością; pamiętnik był lakoniczny, pełen skróceń i niedokończonych myśli: należało dochodzić i odgadywać właściwe znaczenie pewnych notatek — pracowaliśmy nad tém wspólnie.

Niezawodnie pod wpływem tych naszych poszukiwań, zapisał późniéj pod datą 4 grudnia 1892 r. słowa następujące: „Nie mogę odżałować, że nie wpadło mi nigdy na myśl notować za świeża wszystko to, co mi się cisnęło nieraz do głowy. Mówiłem sobie wówczas zwykle: jakie to trafne, jakie to głębokie, co za pyszne oświetlenie jakiejś figury w komedyi: muszę to zużytkować. Niestety! zużytkowałem zaledwie małą cząstkę, bo reszta utonęła w niepamięci dla tego, że jéj nie zanotowałem...”

„Dawno, dawno zbierałem się pisać moje wspomnienia, a zawsze odkładałem. Zdawało mi się że mam czasu przed sobą dowoli; teraz widzę, jakem się łudził, jak każda chwila niewyzyskana uchodzi niepowrotnie. Ufając mojéj pamięci, od lat już przeszło dwudziestu robiłem kruciutkie, zwięzłe zapiski, notując fakty jednym wyrazem, nazwiskiem jakiejś osoby albo miejscowości; zdawało mi się, że to dosyć, że to będzie wystarczającym materyałem dla pamiętnika, do którego wiecznie się zabierałem, a zabrać się na seryo nie mogłem. Dziś się przekonałem, że większa część tych zapisków dla mnie samego stała się niezrozumiałą, a zatém nieużyteczną. Zanotowane nazwisko, nazwa miejscowości, okoliczność jakaś nic mi nie przypomina. Nie pamiętam, co to było! Trzeba je pozlepiać, jak się da...”

Zlepialiśmy tedy i wynajdywali istotę rzeczy, daty i sprawy różne, odnalezione w tym rejestrze przeszłości. Bliziński dokładał wszelkich starań, przywoływał na pamięć wszystkie ubiegłe chwile, aby prawdę z notatek wydobyć, stąd materyał, jaki się w ręce moje dostał, miał dla mnie wartość niemałą: mogłem oprzéć się na tych rezultatach, do których doszliśmy obadwaj, prowadząc badania nasze skrupulatnie bardzo.

Upłynęło nam tak na rozpatrywaniu się w przeszłości dość dużo czasu. Wielki komedyopisarz spowiadał się z życia swego, pełnego przymiotów, dobroci, prawdy i cnoty... Chciałem te rysy z natury zdjęte, od zagłady uchronić — i oto cel méj pracy.

Gdyśmy ukończyli przegląd pamiętnika, otrzymałem egzemplarz jego „Dzikiéj Różyczki” z dowcipną dedykacyą:

„Ad. Dobrowolskiemu, który przez kilka tygodni ssał mnie, jak pijawka, poszukując materyałów do mego życiorysu — na pamiątkę téj męki ofiaruje J. Bliziński...”

Dziś leży już on w grobie — a ja wykończając rzecz dawniéj rozpoczętą — na usypaną przed rokiem mogiłę twórcy „Pana Damazego” kładę snop nieśmiertelników...

I.

Pod kolumnadą Sukiennic albo na linii A—B w Krakowie, spotkać było można w ostatnich kilku latach żwawą, niewielką, kształtną postać męską — o rysach twarzy miłych, pociągających, o uśmiechu łagodnym; który ujmował serdecznym wyrazem. Niktby, po ruchach śmiałych, kroku szybkim i pewnym, nie dał był Bilzińskiemu więcéj nad lat czterdzieści parę, gdy w rzeczywistości liczył siódmy krzyżyk. Tak wyglądać mógł tylko wyjątkowo od natury uposażony człowiek. Życie uderza na każdego niepohamowaną burzą, smaga przeciwnościami i wytrąca z równowagi; pod jego częstemi ciosy trzeszczą kości, uginają się plecy — a na twarz człowieka występują bolesne znamiona cierpień. Rzadko kiedy spotykamy ludzi, na których fizyognomii nie możnaby wyczytać śladów walki, życiem zwanéj.

Nie da się zaprzeczyć, że dla ochrony zdrowia do późna, potrzeba wielkiéj umiejętności kapitalizowania sił przez ciąg długiego lat szeregu. Kto przywykł wydawać ze swoich zasobów fizycznych mniéj niż ekspensować może, temu oszczędności szybko wzrastają i przynoszą procent. A kiedy nadchodzi pora sędziwego wieku, niewiadomo na pozór, skąd znajduje człowiek tyle w sobie zdrowia, że nie odczuwa zmęczenia i tyle ciepła, że niém siebie i innych ogrzać potrafi.

Taką umiejętnością ochrony własnéj rządził się Bliziński od lat najmłodszych. Skoro więc nadeszła starość, nic się prawie w ciele jego nie zmieniło, ani w duszy nie zmalało. Twórczość również nie osłabła. Oko nie straciło dawnéj bystrości; śledziło ono i obserwowało otoczenie z jednakowém zamiłowaniem, dopóki choroba nie przykuła ciała do łoża.

Szkice z natury gromadzą się z najskrupulatniejszą dokładnością, ich klasyfikacya odbywa się przy biurku w jak największym porządku. Ze szkicami postępuje Bliziński, jak z odbieranemi listami: kolejno je znaczy i w kopertach systematycznie do archiwum chowa. Porządek cechuje ten charakter zawsze; nawyknienie zaś do pedantycznego ładu w utrzymaniu papierów, książek i niepotrzebnych drobiazgów, odbija się szkodliwie na twórczości Blizińskiego. Układanie nazbieranych kartek, wycinków i feljetonów zabiera mu za wiele czasu i odrywa od rozpoczętego dzieła. Są i inne przedmioty, pochłaniające uwagę. Ludziom talentu nieraz się zdaje, iż mają powołanie do innych zawodów, niż ten, któremu się poświęcają. Bliziński myśli także to o sławie geografa, to o nauce filologa, — zajmuje się hydrografią

i językoznawstwem [1] — bez wielkiego powodzenia. Pasye te w życiu jego grały rolę bardzo dużą i absorbowały go niejednokrotnie ze szkodą dla twórczości.

Na Blizińskim sprawdziły się słowa Dumasa: „Jesteś dramaturgiem od razu, albo nigdy, jak jesteś blondynem lub szatynem mimo swéj woli.” Biziński jest dramaturgiem — i niczém więcéj. Nie ma w nim nic, coby inny na sobie nosiło charakter — nic, coby dowieść mogło, że talent ten posiada jakiekolwiek odrębne właściwości i cechy. Ma on organizacyę umysłową ukształtowaną wybitnie, ale jednostronnie. Wszystko, co nie ma w jego utworach dramatycznéj formy, jest bez oryginalności i bez siły. Bliziński sam mówił o sobie, że nawet myśli jego układają się w sytuacye. Nie znosi przytém żadnego sztucznego efektu, żadnéj pozy; gdy był na koncercie, a ktoś zaczynał deklamować, Bliziński brał za kapelusz i czémprędzéj uciekał z sali — choćby deklamatorką była sama Modrzejewska.

Wkoło siebie rad widział zawsze i wszędzie ruch i werwę. Chętnie uczęszcza na zabawy, bale, bo tu chwyta rysy natury ludzkiéj na gorącym uczynku. Ołówek i notatnik nie opuszczają go nigdy. Wzrok posiada dobry i niezamglony, patrzy nim na społeczeństwo uważnie — nie ma żadnych uprzedzeń — karci błędy i występki. Pesymizmu, sarkazmu gorzkiego nie posiada wcale: widzi grzechy, jakie ludzie popełniają, lecz ich nie przestaje kochać. Z życia uczy się pobłażliwości i wyrozumienia.

— Nieraz słyszę jakiegoś purytanina — pisze w swoim pamiętniku — że ten jest taki, ten owaki — zaraz mam ochotę zapytać się: a tyś jaki? — Doskonałym może być tylko ten, kto miłuje ludzkość a tém samém jest wyrozumiały na ludzkie wady. Niech we mnie nie wmawia swojéj doskonałości ten, który ma na ustach ciągłe przygany drugim.

Więc nie gryzie, nie prześladuje słowem, ale ośmiesza dowcipem, żartem, komiczną sytuacyą to, co warte ironii. A kiedy piórem umié dobitnie, wymownie określić charaktery komedyi, ustnie nawet podczas własnego jubileuszu nie zdobywa się na więcéj, tylko powiada [2]:

---

[1] „Słownik Geograficzny“ skorzystał z materyałów zebranych przez Blizińskiego do hydrografii Królestwa Polskiego; dr. J. Karłowicz otrzymał notaty językoznawcze i ma je wcielić do zamierzonego w Warszawie wydawnictwa, p. t. „Słownik języka polskiego.“

[2] W dniu imienin Blizińskiego, 19 marca 1889 r., liczne grono przyjaciół i wielbicieli jego talentu uczciło znakomitego pisarza w Krakowie biesiadą w hotelu Victoria. Podczas zgromadzenia całego panowała serdeczność i wylanie szczere a otwarte.

— Przygotowałem sobie mowę, ale... ale... zapomniałem, co miałem rzec...

W prywatnéj wszakże rozmowie często błysnął dowcipem, zręcznym aforyzmem, który pobudzał do śmiechu.

Doskonałe zdrowie, niezamącona pogoda umysłu, przepyszny, niczém niezachmurzony humor — nie opuszczają go nigdy. Zkąd się w nim bierze taki zasób świeżości umysłu i uczucia?

Zauważono niejednokrotnie, że wieś i warunki jéj życia wywierają na człowieka wpływ doniosłego znaczenia: ciało i dusza ulegają mu pod wielu względami. Poezya natury i jéj zjawiska, prawda i piękno niezrównanéj w swéj prostocie egzystencyi wiejskiéj, czystość wrażeń i wzruszeń, jakich się na wsi doznaje — cały ten świat, pozbawiony cech konwencyonalnego kłamstwa, nadaje człowiekowi pewne własności i urabia w odrębny sposób jego naturę: mieszkaniec wsi różni się bardzo od mieszkańca miasta. A jeżeli takie wybitne znamiona spostrzegamy u przeciętnego „wieśniaka" o ile głębiéj ryć się muszą wpływy otoczenia wiejskiego na duszy człowieka, obdarzonego talentem twórczym i wrażliwego stokroć więcéj na zewnętrzne objawy przyrody. Każdy szczegół, choćby najdrobniejszy, działa tu daleko potężniéj; artysta odczuwa wszystkiemi nerwami drgające dokoła niego życie i wchłania w siebie nieskończone w rozmaitości swéj jego pierwiastki.

Literatura nasza zawdzięcza wsi wiele swych kart najpiękniejszych. Słusznie zwrócono uwagę na dodatni dla literatury rezultat bezpośredniéj styczności pisarza z naturą [1]).

Pory roku, światło dzienne i nocne, niezasłonione kurzem, zapachy kwiatów, niezanieczyszczone wyziewami, majowe powietrze, zimowy krajobraz — tysiące wrażeń i widoków oplatają duszę w szczerém polu i kołyszą do marzeń. Ale nietylko zjawiska kosmiczne zajmują fantazyę — cały świat roślinny, rozwijający się swobodnie, bez żadnéj kultury, według odwiecznych praw przyrody, przemawia do duszy rolnika; zwierzęta dzikie: wilk, niedźwiedź, dzik, jeleń i t. d.; ptaki: jastrząb, kruk, dudek, sowa; domostwo; sprzęty; uprawa roli, rośliny hodowane; zwierzęta domowe; gospodarstwo niewieście; jadło i napój; myśliwstwo i gry etc.

Od początku naszéj literatury wypływy te działają na wyobraźnię

---

[1]) Prof. Rostafiński rozbiera tę kwestyę w referacie, p. t. „O wpływie życia ziemiańskiego na literaturę XVI w." (Archiwum do dziejów literatury i oświaty w Polsce. Akad. Umiejętności w Krakowie, tom V).

poetów i wytwarzają w języku mnóstwo porównań, które w stosunku autora do otaczającéj natury mają swoje źródło [1]).

Przyrodzie téż i otoczeniu wiejskiemu przypisać należy Blizińskiego temperament i skłonności. Czynniki te sprawiły, że umysł jego uformował się na podstawie warunków, jakie nań ze świata zewnętrznego spływały obficie, a pod ich dobroczynném działaniem ukształtowało się uczucie prawe i czyste.

Powstała stąd indywidualność wybitna, rodzima nawskroś, powstał pisarz oryginalny i bystry, który umié dobiérać prawdziwych barw do malowaniu typów i potrafi oblać je światłem naturalném. Przedmiotowo, a z wielkim artyzmem — oto hasło, któremu jest wierny do samego końca.

II.

Bliziński [2]) pochodził z dawnéj, szlacheckiéj rodziny, któréj imię podniósł i okrył sławą dzięki dziełom, które stworzył.

O stosunkach rodzinnych pisze sam Bliziński, co następuje [3]):

„Ojciec mój, osierociawszy w bardzo młodym wieku, odziedziczył po swoim ojcu a moim dziadku, majątek w Rawskiém [4]); były to bardzo ładne dobra, ale wskutek smutnych wypadków, a po części marnotrawstwa dziadka tak obdłużone, że zmuszony był dla ocalenia

---

[1]) Prof. Rostafiński w powyżéj cytowanym referacie przytacza bardzo ciekawą genezę wszystkich prawie ważniejszych porównań w języku polskim. Np. Dudek plugawi swe gniazdo tak jak szlachcic, co kala swe szlachectwo. Sowa, na którą wrony czy wróble kraczą, jest obrazem niepewnego pochodzenia. Sarna ma kusy ogon, więc jest obrazem krótkiego rozumu, czy udawanego państwa. W sobole ubiéra się pan, w lisy szlachcic, w barany kmieć, a dla mieszczanina — w tém tkwi doniosłość porównania — w polskiéj symbolice miejsca nie ma. Słusznie zaznaczył prof. Rostafiński, że „pisarz, któryby był wychowany w naszéj atmosferze i w jakiémś wielkiém mieście, nie byłby zdolnym do używania takich porównań; dowodzi tego statystyka, jaką w szkołach ludowych w Berlinie zrobiono pod tym względem: dzieci miejskie nie wiedziały, co to droga mleczna, krowa, cielę. Jeżeli jedno z takich dzieci wyrośnie kiedyś na znakomitego powieściopisarza, to będzie on bardzo mało porównań ze świata przyrodniczego używał."

[2]) Józef Bliziński urodził się w nocy z 9 na 10 marca 1827 r. w Warszawie, w domu przy ulicy Nowy-Świat nr. 1308, obecnie 56 (nowy). Ojciec jego, August Korczak Bliziński, był ożeniony z Maryą Ogończyk Zakrzewską.

[3]) „Myśl" nr. 1 z r. 1891: „Podanie rodzinne, urywek z własnych wspomnień przez Józefa Blizińskiego."

[4]) Dziadek Józefa przeniósł się w Rawskie z Wołynia, gdzie w dawniejszych czasach Blizińscy mieszkali.

chociaż jakiéjś cząstki sprzedać je, jakkolwiek z bólem serca, bo to był majątek od lat wielu znajdujący się w rękach rodziny. W czasach, gdy konkurował o moją matkę, był posiadaczem tylko niewielkiéj wioski, ocalonéj z tego rozbicia. Dziad za to mój po matce, pan całą gębą, posiadał znaczne dobra, miał po ojcu swoim tytuł kasztelanica, a sam był jednym z ostatnich szambelanów dworu Stanisława Augusta. Nic przeto dziwnego, że niezbyt łaskawém okiem spoglądał na zaloty ojca do córki, lubo nie jedynaczki, ale w każdym razie jednéj z najposażniejszych panien w okolicy.

„Koligacye mojego ojca i jego osobiste stanowisko w obywatelstwie nie mogły zamknąć przed nim domu szambelana; bywał tam przeto z początku gościem częstym, a nawet dobrze widzianym. Ale mogło to trwać tak długo, dopóki stary nie spostrzegł, co się święciło, a spostrzegł bardzo łatwo, bo ojciec szalał po prostu z miłości, a matka odpłacała mu najszczerszą wzajemnością.”

Przypadek zrządził, że powóz szambelana w pewną noc Sylwestrową w powrocie do domu, wskutek zasp śnieżnych, sunął za sankami ojca Józefa Blizińskiego. Panna Maryanna Zakrzewska marzyła o Guciu, który pilnował tymczasem drogi, aby nie zabłądził i... zaprowadził rodziców swojéj ukochanéj wraz z nią przed dworek własny. Szambelan rad nie rad, przyparty do muru i ostatecznie przekonany o konieczności tego związku, na małżeństwo zezwolił...

„Dosyć, że zaraz w kilka miesięcy, bo już w pierwsze Zielone święta, było weselisko...”

Z Rawskiego przesiedlił się pan August do Warszawy, gdzie zajął poważne stanowisko, jako urzędnik b. komisyi wojny Królestwa Polskiego.

Dom państwa Blizińskich miał tu rozległe stosunki, komunikował się z całém wyższém towarzystwem warszawskiém, jaśniał elegancyą i dobrym tonem, który podtrzymywała i nader wysoko ceniła pani Blizińska. Z gniazda rodzinnego wyniosła ona tradycye szerokich koligacyi, miała téż dużo przesądów szlacheckich i nie lubiła zbliżać się do ludzi niższego pochodzenia.

Sam o sobie mawiał Bliziński nieraz, że się od otoczenia domowego odrodził, bo zupełnie odrębne wyznawał zasady. Na zapytanie, jakie miał przekonania społeczne, odpowiadał niezmiennie:

— Jestem czystéj krwi demokratą...

Dzieciństwo upłynęło Józefowi bądź w Warszawie, bądź na Kujawach, dokąd rodzice często wyjeżdżali. Ten podwójny wpływ, jaki naprzemian wieś i miasto na umysł jego wywierały, nie pozostał bez śladu na wyobraźni: wieś dozwalała przyjrzéć się życiu ziemiańskiemu,

miasto pokazywało społeczeństwo z innéj zupełnie strony. Przyszły malarz charakterów zaczął porównywać te dwa światy, zbiérać szkice z natury, które późniéj odżyły w pamięci i — odtworzone przez artystę—zadrgały werwą i prawdą.

Otoczenie miejskie, jakkolwiek dobrze znane Blizińskiemu, nie odpowiadało jego temperamentowi. Im bliżéj badał miasto, tém bardziéj przywiązywał się do natury, tém więcéj lgnął do szlachty i do ludu, tém lepiéj przenikał psychologię wsi i jéj mieszkańców.

Tymczasem jednak kształcił się i rozwijał w Warszawie, ciągnął bezwiednie do świata literackiego, który z czasem miał go ująć w swój gorący uścisk i nigdy go nie wypuścić...

Rodzice żyli w przyjaźni z Wójcickimi, Józef bywał więc u redaktora „Biblioteki Warszawskiéj”, gdzie się gromadziła wtedy inteligencya warszawska. Towarzystwo [1]), jakie tu spotkać było można, nie przypadało do smaku pani Blizińskiéj, która nie znosiła artystów i literatów w bliższéj konfidencyi. Ani przez myśl wówczas matce nie przeszło, aby syn miał kiedyś walać sobie palce atramentem...

Salon jéj przepełniali co wtorek najdystyngwowańsi przedstawiciele warszawskich sfer wyższych i goszczących w stolicy bogatych właścicieli ziemskich z Kujaw Przesuwający się po posadzkach rodzicielskiego domu goście dostarczali młodemu chłopcu wiele pojedyńczych rysów i dużo materyałów na przyszłość; obserwacya była bezstronna i bez żadnéj z góry powziętéj tendencyi czyniona. Pomimo to chętka do pisania odezwała się w nim bardzo wcześnie. Kształcony starannie przez różnych nauczycieli, pomiędzy lekcyami języka francuskiego z M-r Dumay'em, a grą na fortepianie, znajdował często wolną chwilę do kreślenia rodzących się w głowie pomysłów powieściopisarskich.

Matka ze zgorszeniem wskazywała ojcu te dziwne, niewytłómaczone dla niéj skłonności syna, lecz ojciec śmiał się, przeglądając romanse dziesięcioletniego Józia, który z dumą mówił o swojéj powieści, rozpoczynającéj się w Lizbonie, a mającéj za tło nieskończone morze, ozłocone promieniami zachodzącego słońca...

Drugim znamiennym rysem w usposobieniu chłopca był wielki pociąg do czytania. Ojciec, sam wykształcony bardzo, posiadał dość obficie zaopatrzoną bibliotekę i abonował kilka pism peryodycznych. Syn w dziecięcym prawie jeszcze wieku pochłonął z wielkiém zajęciem

---

[1]) Patrz książkę Pauliny Wilkońskiéj: „Z moich wspomnień, o życiu towarzyskiém Warszawy.“

takie dzieła, jak: „Iliada”, „Eneida” [1]; przeczytał romanse Kocka, Dumasa i t. d. Przytém lubił bardzo geografię i wiele czasu poświęcał rysowaniu map. Późniejsze więc zamiłowanie do hydrografii ma już w dziecinnym umyśle swe źródło.

Odczytując uważnie „Kuryera Warszawskiego”, przyszły twórca komedyi notował skrzętnie tytuły sztuk grywanych w teatrze. Fantazya pracowała tu usilnie, aby z brzmienia tytułu wydobyć obraz wypadków dramatycznych, wysnuć akcyę i ugrupować działające osoby.

Kiedy w r. 1837 wstąpił do klasy drugiéj gimnazyum gubernialnego w Warszawie, zamiłowanie do teatru odezwało się w nim namiętnie. Z początku uczęszczał do loży z rodzicami (jak przez mgłę pamiętał przedstawienie w b. teatrze na placu Krasińskich); od czwartéj klasy ulubioném dla niego miejscem był paradyz teatru „Rozmaitości”.

Grywano tu wówczas wodewile francuskie i melodramaty; ani tragedyi, ani żadnéj komedyi Fredrowskiéj nie widział wtedy. Młody gimnazyasta z najwyższą przyjemnością wsłuchiwał się w Stanisława Bogusławskiego i był jego szczerym wielbicielem.

Nie zatarło się również w pamięci Blizińskiego pierwsze przedstawienie opery: „Robert Djabeł”, r. 1837 wystawionéj w Warszawie. Wspomnienie początkowych występów Żółkowskiego było do ostatnich chwil żywe i trwałe. Dla genialnego komika, który następnie tak świetnie odtwarzał postaci Blizińskiego, zachował tenże uwielbienie najszczersze, czego dał dowód, pisząc na 45 letni jubileusz pracy artystycznéj Żółkowskiego list w serdeczności uczucia bardzo wymowny [2]). Gimnazyum gubernialne, do którego Bliziński uczęszczał i gdzie otrzymał nagrody w klasach: drugiéj, trzeciéj i czwartéj [3]), posiadało kilku wybitnych profesorów. Dyrektorem był Tomasz Dziekoński, późniejszy tłómacz Mommsena. Tacy nauczyciele, jak: Bernhardt, człowiek o wielkich przymiotach moralnych i głęboko wykształcony, autor kilku prac specyalnych w zakresie matematyki [4]); jak Felicyan Kozłowski, dobry historyk i łacinnik, również pisarz [5]); jak Michał Brzostowski, a zwłaszcza Sierociński i Waga — działali na umysły młodzieży nader korzystnie.

---

1) Wspominał on o tém w rozmowie ze mną niejednokrotnie z wielkiém zawsze zadowoleniem.

2) List ten był wydrukowany w n-rze 242-im „Kuryera Codziennego“ z r. 1878-go.

3) Patrz nr. 208 „Kur. Warsz.“ z 8 sierpnia 1839 r.

4) Patrz nr. 95 „Gaz. Polsk.“ z 13 kwietnia 1861 r.

5) Patrz nr. 213 „Gaz. Polsk.“ z 28 września 1870 r.

Wśród kolegów napotkał Bliziński parę jednostek, odznaczających się prawdziwemi zdolnościami.

O rok od niego starszy, Ignacy Gierdziejewski [1]), późniéj artysta-malarz, miał usposobienie nader fantastyczne i niém odbijał od trzeźwéj natury Blizińskiego, którego jednak pociągała egzaltacya i bujny temperament kolegi. Indywidualność Gierdziejewskiego wpływała na pobudzenie lotniejszych porywów pośród towarzyszy, otaczających go szczerą sympatyą.

Z Aleksandrem Niewiarowskim (Półkozicem) szedł Bliziński razem, choć go pierwszy w twórczości literackiéj o wiele uprzedził.

Od Franciszka Edwarda Frankensteina przejął się zamiłowaniem do muzyki. Frankenstein entuzyazmował kolegów grą na skrzypcach, którą późniéj doprowadził do mistrzowstwa [2]).

Szkoła, stosunki koleżeńskie, przestawanie z ludźmi rozumnymi, teatr, czytanie i inne tego rodzaju zajęcia kształciły młodego chłopca, który rósł, wyrabiał się i szybko doszedł do siódméj klasy gimnazyalnéj, ucząc się pilnie i zdobywając uznanie przełożonych [3]).

Teraz zaprenumerował sobie „Gazetę teatralną" i wczytywać się począł w utwory, zamieszczane w wychodzącym przy gazecie dodatku, zwanym „Biblioteka teatralna". Natura wilka ciągnęła do lasu...

W roku 1843-im otrzymuje patent dojrzałości. Istniały wówczas w Warszawie tak zwane kursa prawne, zastępujące uniwersytet, którego wtedy u nas nie było. Każdy młody człowiek, czy czuł, czy nie czuł powołania do zawodu prawniczego, po skończeniu gimnazyum, zapisywał się na kursa, idąc za wrodzonym popędem do wyższego wykształcenia. Wstąpił też tutaj dla tych samych powodów i Józef Bliziński. Przez krótki przeciąg czasu słuchał prof. Dutkiewicza, wykładającego prawo cywilne, Szwajnica (historya rzymska), oraz prof. Woelke, który miewał prelekcye o starożytnościach klasycznych.

---

[1]) Patrz w nr. 314 „Gazety Codziennéj" z r. 1860 wspomnienia pośmiertne o Gierdziejewskim, skreślone przez H. Sk(imborowicza).

[2]) O występach Frankensteina, kiedy był w Konstantynopolu, czytamy bardzo pochlebne sprawozdanie w n-rze 59-ym „Gazety Warszawskiéj" z 3 marca 1852 roku.

[3]) Prof. Chmielowski, pisząc o Józefie Blizińskim w „Wieku" (maj, 1893), wyraża się o wykształceniu jego niezbyt pochlebnie. Nie ulega wszakże wątpliwości, że Bliziński w gimnazyum korzystał z nauk bardzo dużo, potém czytał wiele i z zapałem — jak wiadomo — prawdziwym oddawał się studyom historycznym, filologicznym i geograficznym. Wszystko to przekonywa o szerszym widnokręgu jego myśli. Małomówność Blizińskiego źle usposabiała względem niego. Był dyletantem w kwestyach filologicznych naprzykład, ale miał do tych zajęć zamiłowanie.

Ta prawie uniwersytecka ława posłużyła do zawiązania nowych stosunków koleżeńskich. Cała młodzież ówczesna zaprzyjaźniła się na kursach prawnych i zwarła się w ogniwo serdecznego braterstwa. Na ławie téj siedział dzisiejszy arcybiskup warszawski J. E. ks. Popiel, a obok niego: redaktor Edward Leo, Antoni Wrotnoski, Józef Bliziński i wielu innych. A musiała przyjaźń ich być istotnie ścisła, kiedy na zawsze przetrwała: zjazd w domu redaktora „Gazety Polskiéj" przed kilku laty zgromadził prawie wszystkich kolegów i o ich uczuciach szlachetnych zaświadczył.

III.

Młodość Blizińskiego upłynęła spokojnie, bez troski, bez zmartwień i nadzwyczajnych wzruszeń. Z domu wyniósł zadatki charakteru i przymioty ducha; w szkole nabył wiadomości dosyć i zaczął uważnie patrzyć na ludzi; późniéj świat warszawski otworzył przed nim swe wnętrze.

Łagodna, sama przez się dobra natura jego, pod wpływem warunków również łagodnie działających, musiała dojść do spokoju i takiéj równowagi moralnéj, że jéj już nic wykoleić następnie nie mogło. Ta dziwnie jasna, przezroczysta pogoda, unosząca się nad całą działalnością twórczą pisarza, to umiarkowanie i klasyczny spokój, cechujący talent Blizińskiego — niezawodnie, w znacznéj części, w warunkach pierwszéj jego młodości początek swój biorą.

Upodobania szły w parze z nasuwającemi się okolicznościami i szczęśliwie wymijały spotykane po drodze zapory. Idąc za radą ojca, a raczéj stosując się do jego życzenia, wstąpił Bliziński do służby rządowéj, ale na stanowisku aplikanta w komisyi spraw wewnętrznych wytrwać zdołał zaledwie parę miesięcy. Tymczasem uśmiéchnęła się do niego fortuna: w r. 1845 spada nań znaczna sukcesya na Kujawach—dwie wsi: Choceń i Bodzanówek.

Odtąd Bliziński rozpoczyna życie wiejskie, pełne przyjemności,— oddycha powietrzem pięknych niw kujawskich, od czasu do czasu zjawia się w Warszawie, aby w gronie znajomych spędzić chwil kilka na miłéj rozrywce.

Miały te wygody życia dla talentu Blizińskiego złą stronę także: osłabiały w nim szybkość rozwoju i chęć do pracy paraliżowały. Gdyby Bliziński w gorszém się był z początku znajdował położeniu materyalném, kto wié, czy płodność talentu nie byłaby obfitsza, objawienie się zaś jéj—szybsze.

Przyznać jednak należy, iż dzięki temu dobrobytowi, mógł on bez pośpiechu obserwować życie i przenikać tajniki otoczenia. Sąsiedztwo ruchliwe, towarzystwo dobrane, znajomości rozległe, bezpośredni wpływ natury — działały dobroczynnie na umysł: Bliziński począł podpatrywać znamienne rysy szlacheckie, układać barwy do przyszłych obrazów. Tak przygotowywał się do pracy niepospolity spostrzegacz charakterów i świetny psycholog.

Przez lat piętnaście blisko studyuje Bliziński społeczeństwo, bierze udział we wszystkich jego usiłowaniach, odczuwa potrzeby... Jeszcze się twórczość nie objawiła, rósł tylko materyał doświadczalny w głowie.

Powoli rozpędowe koło literatury zaczęło porywać Blizińskiego, który, zanim się odważył na rzeczy oryginalne, tłómaczył komedye i romanse francuskie. Będąc jeszcze na kursach prawnych, przełożył trzy utwory dramatyczne, które wystawiono w teatrze Rozmaitości. „Kuryer Warszawski" przypisał tłómaczenie komedyi „Okoliczności" panu Buzińskiemu; to przekręcenie nazwiska wielce zmartwiło próbójącego po raz pierwszy swych sił Blizińskiego.

W roku 1846 przełożył romans Kocka p. t. *Gustav ou le mauvais sujet*. Rękopis przepadł — i młody literat nie ujrzał mozolnéj swéj pracy w druku. Następnie przetłómaczył powieść Dumasa (ojca): „Mistrz Adam" [1]) i wydał ją własnym kosztem, na czém naturalnie stracił, ale księgarz zarobił. W manuskrypcie z tych czasów pozostał przekład romansu Sue'go p. t. „Ali Pasza". Późniéj ciągle przybywało coś nowego: w 1851 r. Dumasa „Benvenuto Cellini" [2]); w 1852 r. Dumasa „Sylwandira" [3]). Z Pawła Fevala tłómaczył tom pierwszy „Łowów królewskich" *(Les Fanfarons du roi)*, dokończył przekładu znajomy Blizińskiego, Chodecki [4]). Z druku „Łowy królewskie" (tomów 3) wyszły tylko pod nazwiskiem Aleksandra Chodeckiego, jako tłómacza.

O przekładach Blizińskiego nie da się wiele dobrego powiedzieć,

---

[1]) „Mistrz Adam" przez Aleksandra Dumasa. Z francuskiego przełożył. J. B. Warszawa, 1850, w 12-ce, str. 224.

[2]) „Benvenuto Cellini" A. Dumasa, przełożył z francuskiego J. B. Tomów V. Warszawa, 1851. Merzbach, w 12-ce, str. 226. 194, 203, 211, 198.

[3]) Istotnym autorem tego romansu jest August Naquet, nie Dumas.

[4]) Aleksander Chodecki, muzyk i deklamator, żył w przyjaźni z Ignacym Komorowskim, śpiewakiem „Kaliny", z basistą Millerem i Józefem Blizińskim. Chodecki występował publicznie bez powodzenia. Pisze o nim wzmiankę korespondent ze Stanisławowa w zbiorowém wydawnictwie p. t. „Na dziś" (Kraków, 1872, str. 348). Odebrał sobie życie w Samborze.

wybitnemi bowiem zaletami się nie odznaczają; zresztą i sam tłómacz późniéj do nich nie przywiązywał żadnéj wagi.

Sprawy teatralne interesują go ustawicznie: recenzye odczytuje z najwyższą uwagą, przysłuchując się różnym dyskusyom i polemikom [1]), oraz uczestnicząc w artystyczném życiu Warszawy; na przyjazd znalazły się pieniądze zawsze, a gospodarstwo zupełnie znowu Blizińskiego nie absorbowało, bo je prowadził... po literacku.

W r. 1857 pomiędzy czasopismami teatralnemi francuskiemi, które prenumerował, wyszukał temat i na jego tle naszkicował komedyę w 1-ym akcie p. t. „List bez odpowiedzi"; rzecz ta w r. 1863 zaginęła.

Tak upłynęły chwile aż do roku 1859, kiedy wyjechał za granicę dla rozejrzenia się po świecie. Kilka tygodni spędził w Karlsbadzie, gdzie spotkał znajomych z Warszawy. Między innymi bawił tu z żoną Borys Halpert, mąż znanéj artystki dramatycznéj, członek dyrekcyi teatru, wielki miłośnik sceny i muzyki [2]). W Karlsbadzie prowadzono rozmowy wyczerpujące o teatrze, sztuce i literaturze. Bliziński gorący brał udział w dyskusyach, których wspomnienie nie zatarło się późniéj. Te rozmowy i roztrząsania artystyczno-literackie skłoniły go ostatecznie do spróbowania lotu w górną krainę twórczości dramatycznéj.

Wszystko to, co przez długie lata układało się pomału w głowie Blizińskiego, co kroplami osadzało się w wyobraźni, co charakterystycznemi rysami obserwacyi utkwiło w pamięci—to nabrało obecnie znacznéj siły i przybrało wyraźniejsze kształty.

Zamiast mglistych form, oko jego spostrzegło teraz znamiona wypukłe, zamiast płaskich figur wystąpiły bryłowate, żywe postaci, po rzeźbiarsku modelowane i muskularne. Figury te zaczęły się ruszać, gestykulować, mówić, działać... Słowem w r. 1859 powstała jednoaktowa komedya Blizińskiego p. t. „Konkurenci". Wrodzony pociąg, powołanie do dramaturgii objawiły się wreszcie; to, co w głębi ducha formowało się i rosło — przyszło na świat, jako zadatek późniejszéj, wielkiéj twórczości.

Rękopis *(in folio)* téj pierwszéj jego oryginalnéj pracy, zawiéra 44 stronice. Na karcie tytułowéj czytamy:

„Konkurenci", komedya w jednym akcie przez Józefa Blizińskiego. 1859.

---

[1]) Zobacz n-r 114 „Gazety Warszawskiéj" z 1857 r., gdzie w rubryce „Teatr" jest artykuł p. t: „Warszawiacy i Hreczkosieje" (komedya w 3-ch aktach Antoniego Wieniarskiego).

[2]) Patrz n-r 37 „Gazety Codziennej", z d. 9 lutego 1861 r.

U dołu widzimy pieczęć Biblioteki teatrów warszawskich i nr. 875. Na samym spodzie spotykamy następującą notatkę:

„Odebrałem z Biblioteki teatrów, jako *curiosum*, w piętnaście lat prawie po oddaniu, — dnia 23 lipca 1874 r. Był to pierwszy mój krok na polu dramatyczném. J. Bliziński, d. j. w. (data jak wyżéj), w czasie prób „Ojczulka”.

Słowa powyższe najdokładniéj określają czas rozpoczęcia jego komedyopisarskiéj działalności. Data wskazuje, że twórczość objawiła się dość późno, bo w trzydziestym drugim roku życia, lecz téj okoliczności zawdzięczać należy, iż przed nami stanął człowiek—pisarz doświadczony, który poznał świat i ludzi, a chociaż z fantazyi jego nie wyskoczyła odrazu, jak Minerwa z głowy Jowisza, doskonała komedya, pierwszy wszakże utwór Blizińskiego nosi piętno poważnego umysłu i nie małego talentu.

Treść „Konkurentów” zamknąć można w kilku słowach. Paulinę, bogatę pannę wiejską, chce szwagier, Hipolit, wydać za mąż za sąsiada Krętołowskiego, któremu jest winien kilkadziesiąt tysięcy. O względy Pauliny stara się szereg młodzieńców zarozumiałych a pustych, szczęścia jednak nie mają. Jeden tylko Adam Korczycki, młodzieniec zdolny i rozumny, zdobywa jéj serce i, kiédy się tego nikt nie spodziéwa, zaślubia ją potajemnie i uwozi. Wieść, którą podczas kolacyi przynoszą do domu z plebanii, razi piorunem całe towarzystwo.

Temat niewyszukany, ale pochwycony i przedstawiony wiernie za pomocą środków wcale dobrze pomyślanych i nieraz zręcznie wykonanych. Poczucie teatralnéj perspertywy i sytuacyi jest tu oczywiste. W téj pierwszéj próbie stwierdzić już można nerw dramatyczny autora. Akcya posuwa się jednak za wolno; dyalog dobry, lecz niedostatecznie szybki, nuży trochę i rzecz samą przewleka. Za to w kreśleniu charakterów zauważyć można zręczność autora bardzo wybitną i dowcip prawdziwy. Hipolit, szlachcic, który żydowi sprzedaje konie-kaléki, Krętołowski, jegomość, pożyczający na lichwę, typy młodzieży nic nie wartéj—świadczą o temperamencie komedyopisarza Blizińskiego. Satyryczne uwagi, wypowiadane często, wyśmiéwają ówczesnego obywatela wiejskiego, który tylko „w czasie wojny czyta „Kuryera”, a w chwilach pokoju — kalendarz”. Młody autor widocznie spotykał takich obywateli, mających wstręt do drukowanego papiéru i napiętnował ich ignoracyę w pierwszéj zaraz komedyi.

Rzecz naturalna, iż ten utwór Blizińskiego tylko względnie sądzony być może, jako zapowiedź przyszłego rozwoju. Kiedy jednak autor wysyłał „Konkurentów” do dyrekcyi teatrów warszawskich, nie podejrzéwano tam jeszcze, aby nazwisko, podpisane na komedyi, mogło stać

się tak głośne późniéj; nic więc dziwnego, że Jasiński po przeczytaniu odrzucił utwór, a Bliziński przerobił komedyę prawie słowo w słowo na wiersz i dał jéj tytuł „Imieniny", zmieniając zaledwie parę nazwisk osób działających, np. Adama zowie Gustawem.

Nadmienić wypada, że wierszowanie Blizińskiego wcale wykwintném tu nie jest, chociaż posłużyło mu do wyrobienia języka i stylu [1].

Paulina, pierwsza postać kobieca, stworzona przez Blizińskiego, który następnie takie świetne typy niewieście powołał do życia, odznacza się paru prostemi rysami, świadczącemi wszakże o intuicyi autora w kreśleniu charakterów kobiécych. Paulina jest wiejską szlachcianką, lecz nie trąci szablonem; sprytna, ma dosyć finezyi w obejściu i wdzięku w wydobywaniu się z nieprzyjemnéj sytuacyi; nawet podstępną umié ułożyć minkę, byle ukryć prawdziwe uczucie, uniknąć podejrzeń i dopiąć celu. Postać Pauliny odbija się od otoczenia wcale wyraźnie i dodatnio,—inne figury są bledsze.

Mała galeryjka męska prezentuje się komicznie, karykaturalnie nawet. Gustaw lepiéj od innych wygląda, lecz trochę działa za mało i dopiéro w scenie 14-éj z Pauliną zdobywa się na akcent silniejszego uczucia.

Zakończenie jest za nagłe: wyjazd i ślub spadają niespodzianie, bez umotywowania głębszego całéj sprawy [2].

W d. 18 maja 1860 r. [3] Bliziński posłał „Imieniny" J. I. Kraszewskiemu, ówczesnemu redaktorowi „Gazety Codziennéj". Pod literami „J. B. z Kujaw". Odpowiedział Kraszewski: „Przybywa nam pisarz niepospolity, z czego się cieszymy".

Po wielu latach powodzeń dramatycznych i tryumfów scenicznych wspominał Bliziński ze wzruszeniem rozkoszném to wrażenie, jakiego doznał po zachęcających słowach wielkiego pisarza. Tak żoł-

---

[1]) Zygmunt Sarnecki w sylwetce Blizińskiego, zamieszczonéj w n-rach: 1111 i 1112 „Kłosów" z r. 1886, zwrócił na to samo uwagę.

[2]) Prof. Chmielowski w swojém wspomnieniu o Blizińskim („Wiek", 1893) przypuszcza, że w „Imieninach" znać wpływ Korzeniowskiego: ta sama charakterystyka postaci, to samo powinowactwo formy, co w ówczesnych komedyach tego pisarza. Komedya okazuje—zdaniem prof. Chmielowskiego—„mało samodzielności, ale jest znamienną w tym względzie, że już i w niéj jak potém, przeważa charakterystyka postaci nad akcyą". Faktem jest nieulegającym wątpliwości, że Bliziński znał wszystkie utwory Korzeniowskiego.

[3]) Zygmunt Sarnecki w wyżéj cytowanéj sylwetce pisze, że Bliziński w czerwcu posłał tę komedyę Kraszewskiemu, tymczasem własnoręczna autora notatka, którą mam przed sobą, z r. 1860, mówi: „18 maja odesłałem do Warszawy Kraszewskiemu", a „29 maja w n-rze 138 „Gazety Codziennéj" odpowiedział mi pochlebnie, zachęcając do postępowania nadal w tym kierunku".

nierz słucha pochwały generała z uczuciem wdzięczności i dumy, pełen wiary w siebie i nadziei na przyszłość — tak pochwałę na zawsze pamięta i rad ją wspomina...

Utwór musiał rzeczywiście zająć Kraszewskiego, kiedy d. 3 czerwca 1860 r. wysłał list do autora i szerzéj w nim zdanie o komedyi wyłuszczył. „Ułożona wybornie — pisze Kraszewski [1]) — żywa, wiersz prawie wszędzie bardzo dobry. Ta komedya najlepsza jest z tych, które mi się temi czasy czytać zdarzyło". „Imieniny" znalazły się téż niebawem w felietonie „Gazety Codziennéj" [2]).

Kraszewski mówi we wspomnianym dopiéro co liście, że starać się będzie o wystawienie komedyi, ale widocznie starania spełzły na niczém [3]). Dopiéro w roku 1875 teatr warszawski miał podczas sezonu zimowego grać „Imieniny" z Żółkowskim w głównéj roli [4]), lecz autor nie zgodził się już wtedy na to, uważając utwór do wystawienia za słaby.

Raz nawiązane stosunki z „Gazetą Codzienną" rozwijają się daléj. W n-rze 256 z r. 1860 spotykamy tu korespondencyę z Gostyńskiego, gdzie Bliziński upomina się o teatr Pfeiffera z Łowicza, zaczepiony przez „Gazetę Warszawską".

Zajmuje się gorąco etnografią, zbiéra historyczne materyały do dziejów Kujaw, spisuje wyrazy do „Słownika prowincyonalizmów kujawskich", który drukowała „Biblioteka Warszawska" w grudniu 1860 r. Tu również umieścił Bliziński artykuł p. t.: „Z Kujawskiego w końcu stycznia 1861 r."

Autor na początku zaznacza, iż o Kujawach wogóle bardzo mało pisano, i nadmienia, że sam pracuje nad opisem kraju na większą skalę, ze zwrotem na czasy minione i przypomnieniem wypadków dziejowych, jakich strony te były polem, „dziś zaś chce dać obraz powiérzchowny" tylko. Istotnie opis nie odznacza się niczém, stwierdza tylko

---

1) List ten pochodzi ze zbiorów Blizińskiego.

2) Rok 1860, n-ra: 293—302.

3) „Kuryer Warszawski" w n-rze 209 z 1868 r. pisze: „Gazeta Polska" rozpoczęła w swym odcinku druk powieści „Przygody paniczyka", spisanéj z pamiętnika przez Józefa Blizińskiego. P. Bliziński jest także autorem bardzo zręcznéj i wesołéj komedyi w 1-ym akcie p. t. „Imieniny", pomieszczonéj przed kilku laty w felietonie „Gazety Codziennéj". Przypominamy więc o tym zapomnianym autorze dramatycznym z myślą, że może znajdzie miejsce w szczupłym repertuarze oryginalnych jednoaktowych komedyi". Ale „Imieniny" miejsca tam nie znalazły.

4) Postać Hieronima utkwiła w pamięci Żółkowskiemu, który komedyę już przejrzał. Znakomity artysta nieraz powtarzał Blizińskiemu, że obmyślił był sposób interpretacyi roli.

zewnętrzne formy życia i obyczajów ludu tamtejszego. Spotykamy się także w „Bibliotece Warszawskiéj" (1860 r., tom IV) z „Abecadłowym spisem wyrazów języka ludowego w Kujawach i Galicyi zachodniéj" (Bliziński zebrał wyrazy kujawskie, Marcin Albiński — krakowskie). Mamy tutaj około 200 wyrazów.

Dziennikarska działalność Blizińskiego, jako korespondenta z nad Ochni i z nad Bachorzy do „Gzaety Codziennéj", późniéj „Polskiéj", oryginalnością lub wybitnym charakterem się nie odznacza. Brak artykułom jego werwy, lekkości, kolorytu, korespondencye są ciężkie, choć pisane starannie i dobrym językiem. Ta niezdolność do dziennikarstwa pozostała mu do końca życia.

Pomimo téj ciężkości, jest w korespondencyach Blizińskiego wiele ciekawych szczegółów, dotyczących kujawskiéj ziemi, — szczegółów widocznie ważnych i właściwie charakteryzujących miejscowe stosunki, skoro na nie powołuje się Kolberg w dziele „Lud" [1]).

Na polu badań etnograficznych nie stworzył Bliziński nic oryginalnego. Wiadomości jednak, jakie posiadał w téj dziedzinie, spożytkował z niemałą korzyścią i trwałym skutkiem w „Encyklopedyi powszechnéj Orgelbranda".

Z pod pióra Blizińskiego wyszły tu artykuły, dotyczące Kujaw: „Kujawiacy" mają opis bardzo dobry, krótki, treściwy, a wyczerpujący; charakterystyka ujęta jest w ramy proste a ładne.

Muzykalność swoją zamanifestował w doskonałéj charakterystyce „Kujawiaka", a dbał tak o prawdę i dokładność w zachowaniu melodyi ludowéj, że wytknął tu błędne rozwijanie przez kompozytorów tego tańca ludowego: „drukowane kujawiaki—mówi—nie są podobne do rzeczywistych".

Te i inne prace zajmowały wtedy Blizińskiego, który nadto wiele czasu poświęcał towarzystwu na wsi i w Warszawie, utrzymywał ciągłe stosunki z Kraszewskim, informując się go i radząc w rozmaitych kwestyach literackich oraz historycznych.

Za każdą bytnością swoją w Warszawie nie opuszczał Bliziński sposobności widzenia się z Kraszewskim. Przyjęcia niedzielne u znakomitego pisarza ściągały wówczas do salonu tego wszystkich prawie przedstawicieli literatury i sztuki. Widywał Bliziński przy ulicy Mokotowskiéj Franciszka Dmochowskiego, którego zapamiętał, jako wy-

---

[1]) Czasami w tych korespondencyach spotkać można uwagę o teatrze prowincyonalnym. Tak 24 sierpnia 1867 r. pisze do „Gazety Polskiéj": „W Ciechocinku dawało towarzystwo Sulikowskiego „Pannę-mężatkę", jedną z najlepszych komedyi Korzeniowskiego. Uciekłem po drugim akcie przed profanacyą sztuki!

bornego opowiadacza, Moniuszkę, Kątskiego, Włodzimierza Wolskiego, Dulkena, zdolnego muzyka, Skimborowicza i t. d. Prywatne rozmowy z Kraszewskim o różnych sprawach literackich i społecznych przyniosły dla umysłu początkującego autora wiele korzyści.

Twórczość jednak Blizińskiego po pierwszéj próbie przez czas dłuższy znaku życia nie dawała o sobie. Po głowie chodziły rozmaite pomysły, ale żaden nie mógł wyłonić się na zewnątrz w kształcie artystycznym. Ogranicza się więc Bliziński na szkicowaniu pojedyńczych oderwanych idei, które nigdy całości stworzyć nie miały. Pisze np. treść libreta do opery w 5-ciu aktach p. t. „Partyzant”.

Epoka szwedzka i dzieje Stanisława Leszczyńskiego stanowią tło libreta, które trąci romantycznym nastrojem i fantazyą. Jakby się był z zadania autor wywiązał — niewiadomo; z pomysłu został tylko zwięzły spis aktów z krótką charakterystyką akcyi. Tło historyczne każe przypuszczać, że Bliziński myślał, jak wielu innych dramaturgów, o napisaniu sztuki historycznéj, lecz się nie łudził wcale, aby mógł stworzyć tragedyę historyczną; chciał tylko spróbować, czyby mu się nie udała komedya na tle dziejowém. Owoców z tych pragnień nie było. Skończyło się na projekcie napisania komedyi p. t. „Pokuta grzechu nie warta”, która miała być zaczerpniętą z XVIII-go wieku.

Oprócz tych prób na polu komedyopisarstwa historycznego — prób, nie uwieńczonych żadnym rezultatem — opracował Bliziński w r. 1861 trzy jednoaktówki p. t. „Mąż i żona”, „Powołanie” i „Arystokraci”, ale tu również spotkało go niepowodzenie: pomysłu nie wykończył.

Przybywają w tym czasie „Typy i obrazki wiejskie”, które były drukowane dopiéro po 1870 r. w „Kuryerze Warszawskim” p. t. „Gospodarz postępowy” i „Gospodarz partacz”. Są to obrazki malowane z ironiczném zacięciem, doskonałe w charakterystyce. Gospodarz partacz odznacza się zarozumiałością i uporem. Cechuje go pewność siebie i lekkomyślność postępowania: mając 30 tysięcy, kupuje majątek za sto tysięcy. Gospodarze partacze dzielą się na Gapcia myśliwego, który całe dni trawi na polowaniu,—koniarza, partyjkowicza, który włóczy się ciągle po kompanijkach. U takiego budynki się walą, dészcz zacieka do stodół, gospodarka się rozprzęga — i powstają pasorzyci, mieniący się „podupadłymi obywatelami wiejskimi”, którzy potém piszą wzruszające listy, pozując na ofiary losu i otaczając aureolą wspomnienia dawnego stanowiska. Obraz to w całéj pełni dosadny.

Nie próżnował umysł, nie próżnowało serce młodego ziemianina... Z serca płynęły gorętsze afekty ku pięknym kujawiankom, które

z uczuciem spoglądały na przystojnego literata-właściciela dużego majątku.

Urok sąsiadek nastrajał Blizińskiego do uderzania w lutnię, do śpiewania piosnek tęsknych lub pełnych zapału, wesołych lub smutnych, wielbiących lub ironicznych. Spora jest garstka wierszy jego erotycznych, które pozostały w rękopisach. Polotu i natchnienia poetyckiego utwory te nie posiadają, ale są zręczne, dowcipne, wyzywające, a nieraz melodyjnym rozmarzone tonem. Bliziński lubi towarzystwo płci pięknéj, za które płaci... wierszykami do albumów. Wierszyki te krążyły w odpisach, a nawet do jednéj z nich Franciszek Dulken, profesor konserwatoryum warszawskiego, dorobił muzykę. Jestto mazurek do słów Blizińskiego, p. t. „Urok", poczynający się od strofki:

O, mój Boże, sama nie wiem,
Skąd ta miłość we mnie,
Pali w sercu jak zarzewiem,
Tłumić ją daremnie...

Piosnkę wydano około 1860 roku Warszawie i chętnie wówczas śpiewano.

Ballady [1]), romanse, pieśni tworzy Bliziński — z jednoroczną przerwą — pomiędzy 1861—1867 r., dając im tytuły: „Do Zosi", „Tak sobie", „Kapryśnica".

Mazurek „Do Zosi", napisany 1866 r., był drukowany w czwartym tomie „Śpiewnika polskiego" [2]) z podpisem Władysława Bełzy [3]), tymczasem autorem jego jest Bliziński, — dodano tam tylko w druku jedną strofkę cudzego pióra.

Musiało w téj dobie serce Blizińskiego silnie ku „pewnéj osóbce" kołatać, bo wierszy jest mnóstwo, a w pamiętniku notatki o „amorach". Było też jakieś „przejście ciężkie" i rozstrój stąd nerwowy, bardzo niepokojący. Bliziński radzi się prowincyonalnego lekarza,

---

[1]) W n-rze 40 „Wędrowca" z r. 1893 ze spuścizny pośmiertnéj Blizińskiego pomieszczono dwa wiersze p. t. „Dwie strony medalu". Dramat we dwóch balladach, nie tak smutny jakby się zdawało: I. „Halina" (ballada pierwsza) — Intermezzo.—II. „Zośka" (ballada druga). „Halinę" napisał 2 marca 1862 r. w Brussowie, „Zośkę" 18 maja 1865 r. w Bodzanowie. Wiersze te mają rzeczywiste zacięcie humorystyczne.

[2]) „Biblioteka Mrówki", Lwów, 1879. „Śpiewnik polski", t. IV, str. 246.

[3]) Władysław Bełza zdziwił się, gdy zobaczył na nieswoim utworze własne nazwisko. Ani Bliziński, ani Bełza nie wiedzieli, jakim sposobem błąd ten popełnił wydawca Bartoszewicz we Lwowie, dziś już nie żyjący.

który go straszy chorobą sercową, za co następnie otrzymuje epitet „fuszera”.

Chcąc zachować te okruchy talentu i dać wyobrażenie o zdolnościach Blizińskiego w tym kierunku, przepisuję z oryginału parę tych utworów:

Sen.

Boże! dzieła twéj ręki
Wielbić trzeba bez końca —
Jakież składam Ci dzięki,
Że mi nieraz w noc ciemną
Jasny promień szlesz słońca.
Ile razy choć we dnie
Ona bawi się ze mną,
Chociaż czuję boleśnie,
Zbudziwszy się, że tylko
Czcze, znikome zjawisko,
Ja pieściłem przed chwilką,
Ta nadzieja mi świeci,
Że już druga noc blisko —
I rozkoszna myśl goni,
Że mój anioł nadleci
Z krain marzeń przedemnie —
I pieszczoty nie wzbroni,
I uściśnie wzajemnie.

Życzenie.

Ten, co znał spokój duszy, a dzisiaj go nie ma,
Komu los z zawziętością dokucza ojczyma,
Ten, komu gdy pociechy raz błysła jutrzenka,
Stała się źródłem cierpień i krwawo go nęka,
Ten, co zwątpił w nadzieję — choć żył nią i dla niéj,
Dziś żyje szczęściem osób drogich mu jak pani...
Bądź swobodna, szczęśliwa!... niechaj pociech zdroje
Ulżą ci drogę życia — to życzenie moje.

2 stycznia 1866 r.

Kobiéta-kotka.

Patrzałem nieraz z zimnym uśmiechem.
Jak kotka z myszką igrała,
Snadź to być wielkim musiało grzechem.
Bo dziś mnie kotka złapała...
I igra ze mną, jak gdyby zgoła
Serca nie miała ni trocha:
Raz niby smutna, to znów wesoła
Dziś kocha — jutro nie kocha...

A czy wesoła, czyli też smutna,
Obyczaj chowa niewieści:
Dla mnie jednako zawsze okrutna —
Najlepiéj drapie, gdy pieści.
O! za te wszystkie ze mną pieszczotki
Życzę ci napotkać szczura,
Coby się nie zląkł drapieżnéj kotki,
Ni jéj ostrego pazura.
Wtedy po czasie, gdy z nim bezsilna
Poznasz różnicę w tym względzie,
Dowiész się, jak twa rachuba mylna:
I żal ci myszki twéj będzie.

17 września 1866 r.

W roku 1864 pisze obrazek p. t. „Pan Kalasanty", gdzie puścił wodze swojemu usposobieniu satyrycznemu. Rzecz tę posłał do „Tygodnika Ilustrowanego", którego redaktor Ludwik Jenike odpowiedział, że „Pana Kalasantego" drukować nie może, „dotyka bowiem kwestyi zbyt drażliwych dzisiaj".

Pierwsze to niepowodzenie, pierwszy ten smutek autorski pognębił trochę Blizińskiego, który się goręcéj zabiéra do etnografii, jakby pragnął okazać literaturze pewne lekceważenie. Nadto szuka pociechy u Kolberga i koresponduje z nim z prawdziwém wylaniem. Przed Wójcickim się skarży, narzeka na surowość redaktorów, słowem — zawód ten literacki sprawił Blizińskiemu niewymowną przykrość.

Dlaczego szkic z życia pana Kalasantego Chalińskiego tak się wydawał straszny redaktorom warszawskim?

Ujemny wizerunek bohatéra nie mógł dotknąć szlachty, ponieważ pan Kalasanty przywłaszczył sobie herb Pomian, nie mając do niego prawa; widocznie jednak inaczéj się zapatrywano przed trzydziestu laty na tę kwestyę i unikano nawet pozoru obrazy obywatelstwa.

Sam utwór [1]) dowodzi, że talent autora w kierunku beletrystycznym zapowiadał niewiele. Sposób opowiadania dziejów życia pana Kalasantego, jakkolwiek świadczy o obfitych wiadomościach Blizińskiego z dziedziny heraldyki i wskazuje, że znał dobrze historyę rodzin szlacheckich na Kujawach — nie nosi na sobie przecież cechy artyzmu.

Syn ekonoma, który służył nieuczciwie Dąbskiemu [2]) i okradał go niemiłosiernie, pan Kalasanty żył także brudno, a chciał dostać się

---

[1]) „Dziwolągi." Szkice i obrazki przez Józefa Blizińskiego. Ilustrował Franciszek Kostrzewski. Warszawa, 1876.

[2]) Ostatni wojewoda kujawski.

do towarzystwa ludzi porządnych. Los go jednak prześladował: sprawki pana Kalasantego wyszły na jaw, aż ów jegomość musiał opuścić okolicę, gdzie pragnął się zaaklimatyzować.

Przedmiotu mało interesującego nie zdołał Bliziński rozwinąć i odmalować artystycznie; szkic ma pewną cechę charakterystyczną i odznacza się w niektórych ustępach lub wyrażeniach humorem, wogóle jednak nie pociąga, ani nie wywiera ujemnego wrażenia; czyta się humoreskę dość obojętnie.

Bliziński niezawodnie typ taki widział w istocie, i widzianą rzeczywistość dla pamięci zanotował; póżniéj mogły nadpłynąć świeże szczegóły, mogły się zrodzić nowe uwagi,—wówczas „Pan Kalasanty", uzupełniony, wyrestaurowany, byłby pomnożył galeryę znakomitych postaci w komedyach pisarza, który tylko w sytuacyach, scenach i dyalogach umié być artystą.

Nieszczególne przyjęcie, jakiego doznał „Pan Kalasanty", skłoniło Blizińskiego do napisania humoreski p. t. „Pierwsze kolce w literackim zawodzie" (1865 r.). Pod dowcipną i pozornie obojętną formą opowiadania na tle szkolnym, maluje własne niepowodzenie. Widać tu ironiczny uśmiéch autora, który sarkastycznie odzywa się o sobie i o tych, co krytykowali jego pierwsze próby literackie.

Humoreska może dla swéj cię̨tości została dobrze przyjętą. Jenike donosi Blizińskiemu [1]), iż „rzecz napisana z życiem i dowcipem, podobała się ogólnie i wkrótce się w druku ukaże. Honorarya od prac literackich po 6 groszy od drukowanego wiersza..." [2]).

Zasadniczym tonem wszystkich humoresek Blizińskiego jest dosadna charakterystyka pojedyńczych figur; akcyi w przeprowadzeniu opowiadania nie ma prawie żadnéj, obrobienie nie wznosi się nigdzie na wyższy stopień: nie można, jedném słowem, utworów tych zaliczać do dzieł artystycznych, — są to mniéj lub więcéj udatne gawędy, zaprawne niekiedy dowcipem rzeczywistym. Pewne dydaktyczne uwagi rozsiane tu i owdzie jeszcze bardziéj osłabiają ich estetyczną wartość. Nawet styl taki u Blizińskiego piękny na scenie, nie posiada tutaj wybitniejszego wdzięku. Słuszne o humoreskach wypowiedział zdanie dr. Józef Tretiak, że są to „zapasy materyału do przyszłych komedyi" [3]).

---

[1]) D. 19 września 1865 r.

[2]) Zygmunt Sarnecki w wspominanéj już sylwetce bardzo dowcipnie mówi z powodu téj wysokości honoraryum: „Mógł tracić obecnie majątek, bo brał po 6 groszy od wiersza!..."

[3]) W r. 1876 „Biblioteka Warszawska" zamieściła dość wyczerpujący rozbiór szkiców i obrazków Blizińskiego. Krytyk, podpisany inicyałami: T. W., obu-

A kiedy tak Bliziński jedną ręką trzyma pióro, drugą pług prowadzi; znać wszakże, iż zajęcia gospodarskie na drugi plan schodzą, jakkolwiek zamiłowanie wsi trwa zawsze niezmiennie. Lecz zaledwie hreczkosiej przesiedzi na roli miesiąc wrzesień i październik 1865 r., już na początku listopada pędzi na gwałt do Warszawy, odwiedza redakcye „Biblioteki Warszawskiéj”, „Tygodnika Ilustrowanego” i „Kłosów”, powraca orzeźwiony do domu, aby nowe szkice i artykuły pisać i tam posyłać [1].

Tymczasem nadchodzi 10 marca 1866 r. Bliziński rozpoczyna czterdziesty rok życia!... Dotąd zrobił niewiele, nawet zamało, prawie nic, ale ma „mocną chęć oddania się pracy”, jak to notuje w swoim pamiętniku.

Czterdzieści lat!... Toć inni napisali już bardzo dużo, inni już przestali tworzyć w tym wieku, ale tu mamy do czynienia z wyjątkowym talentem i z wyjątkowém usposobieniem. Twórczość Blizińskiego jest dopiéro w przededniu swego objawienia.

Że się dotąd fizycznie nie wyczerpał, zawdzięczać należy naturze zdrowéj, zdrowym jéj popędom. Kiedy inni ludzie pokutują już wówczas za grzechy młodości, on ani czuje nawet na swych barkach czterech krzyżyków, a w duszy ma jasne niebo rozpostarte.

Zachował więc Bliziński nietylko siłę i zdrowie na dalsze, długie życie, ale wyniósł z młodości wszystkie „uczuć kwiaty”, pogodę umysłu.

---

rza się na autora za to. iż ten humor swój czerpie niejednokrotnie tam. gdzie nie powinno się zaglądać ze śmiechem. „Już p. Jordan w „Wędrówkach delegata“ — mówi — wszedł na tę drogę i w „Przygodach panów Marka i Agapita“ daléj nią postępował, a p. Bliziński znowu postanowił przypomnieć nam, o czém z serca radzibyśmy zapomnieć.“ Argumenty, jakie krytyk przeciwko tendencyi utworów podaje, nie przekonywają wcale; uwagi co do artyzmu humoresek są trafne. Talentu nawet niemałego recenzent autorowi nie odmawia, ale dodaje w końcu: „że „Dziwolągi“ ani pod względem myśli przewodniéj, często wstrętnéj (!), ani wykonania—nie są wcale cennym nabytkiem dla literatury naszéj.“

O recenzyi téj zanotował Bliziński w swym dzienniku następujące słowa: „Nie śmiem przesądzać, ale zdaje mi się, że recenzya była pracą dyletanta. Zresztą, nikt mnie dotychczas nie oświecił bezstronnie.“

[1]) Drukuje w tych latach następujące utwory: „Rekreacye Zefirka“ w „Tyg. Ilustr.“ z r. 1866; „Sąsiedzi“ w „Kłosach“ z r. 1866; korespondencyę z Włocławka w „Gaz. Pol.“ 2 listopada 1866 r.; korespondencyę z powiatu Radziejowskiego w „Gaz. rolniczéj“ z r. 1866 r., nr. 49, z podpisem X.; korespondencyę z Włocławka w „Gaz. Pol.“ 1866 r., nr. 290; korespondencyę z p-tu Włocławskiego w „Gaz. Pol.“ 1867 r., nr. 15; „Wyprawa pana Piotra“ w „Tyg. Ilustrowanym“, 1867 r., nr. 382.

Te przymioty mają się potém odbić wyraźną cechą na dziełach, jakie z pod jego wyszły pióra. Na tych podstawach ufundowało się prawidłowe, niczém nieuszkodzone zdrowie moralne i równowaga umysłowa Blizińskiego. Życie jego było nieburzliwe, ale téż niezamącone dotąd troską o chléb—nic dziwnego, że nie śpieszył się z robotą. Pracę twórczą ułatwiały mu warunki, w jakich się znajdował.

W miarę jak się zbliżała chwila, kiedy talent jego miał zajaśnićć w całéj pełni, rozmaite pomysły przychodziły do głowy: układa słownik (dopełnienie Lindego); zbiéra materyały do wydania dyplomataryuszów kujawskich, chce ogłaszać zabytki obyczajowe i rzeczywiście drukuje dwa takie zabytki [1]) z lat 1774 i 1791; wydaje w r. 1867 bajki Mikorskiego, w r. 1868 zajmuje się elementarzem ks. Bujakowskiego, proboszcza w Byczynie, którego metodę czytania Bliziński propaguje i pisze w téj sprawie do redaktora „Przeglądu Tygodniowego" z pomyślnym dla rzeczy skutkiem.

W notatkach, jakie dla mnie z pamiętnika swego Bliziński własnoręcznie skreślił, jest wzmianka, że jeszcze we wrześniu 1866 r. przyszła mu myśl do komedyi p. t. „Konkurent z za Wisły", ale do opracowania jéj zabrał się dopiéro 29 czerwca 1867 r. Potém, co parę dni, aż po 26 lipca znajduję tam krótkie doniesienia, że przybyła druga scena, że wszystkich będzie 17, że robi retusz komedyi, że ma już „większą połowę" i że jest z niéj kontent. Pod dniem 19 lipca czytam: „Skończyłem retusz. *Vivat!* muszą grać. Rola Ludwika wyborna"; 20 lipca następuje drugi retusz, wreszcie 26 lipca pisze w dzienniku: „Odczytałem: dobre, ale spodziewałem się, że lepiéj mi się wyda. Ciekawym, co ludzie powiedzą."

Komedya czekała dwadzieścia kilka lat na ten sąd ludzki o sobie, ale go autor nie doczekał. Nie wiedziéć, dlaczego schował utwór do szuflady, skąd go dopiéro po śmierci autora wydobyła żona i przyjaciołom Blizińskiego: Kazimierzowi Zalewskiemu, oraz Zygmuntowi Sarneckiemu do przejrzenia oddała. Ci zakwalifikowali rzecz na scenę i do druku [2]).

„Konkurent z za Wisły", pod zmienionym późniéj przez Blizińskiego tytułem: „Panna z posagiem", jako miła spuścizna po wielkim pisarzu, wchodzi na repertuar i wywiera sympatyczne wrażenie. Ze sceny wieje jakaś inna atmosfera, ludzie innych czasów przed nami się przesuwają. Patrzymy na nich i porównywamy z sobą: czegoś różni

---

[1]) „Tyg. Ilustr.," 1868 r., nr. 29 w „Rozmaitościach".

[2]) Teatr „Rozmaitości" wystawił ją pod koniec 1893; „Świat" i „Kuryer Warszawski" ogłosiły drukiem.

są od nas i jakoś spokojniejsi, mniéj nerwowi. A ten Ludwik, który się najlepiéj podobał samemu autorowi, budzi istotne zajęcie. Młodzieniec to dowcipny, wesoły, lekki, a przecież uczuciowy i kochający głęboko. Od pierwszego wejścia chwyta za serce i nie traci go u widza do końca. Ludwik jestto druga postać w galeryi kochanków Blizińskiego, który — jak słusznie zauważył prof. Chmielowski [1]) — tak umiejętnie i tak oryginalnie kreślić ich potrafi.

W technice znać postęp. Od „Konkurentów" (1859) do „Panny z posagiem" (1867) upłynęło lat ośm—czasu tego Bliziński nie stracił, bo rozwinął się i zmężniał.

A po głowie chodzą ciągle nowe myśli, w wyobraźni unoszą się zarysy nowych komedyi, nie dając Blizińskiemu spokoju. Dziennik — ten najlepszy świadek jego działalności — ustawicznie przekonywa nas o gorączce, z jaką wówczas rodziły się te projekty dramatyczne. Szkice napełniają tekę, mnożą się, choć Bliziński nic nie ogłasza [2]). Radzi się za to przyjaciół co do wartości świéżo skończonéj komedyi, którą wierny druh, Pląskowski, redaktor „Kuryera Świątecznego", ochrzcił „Przezorną mamą" [3]). Ostro skrytykował sztukę Adam Wiślicki, Jenike poczynił także swoje zarzuty. Bliziński przyjął te uwagi, zastanowił się nad niemi i począł komedyę gładzić.

Pierwotnie była ona napisana wierszem w 1-ym akcie p. t. „Starsza czy młodsza", późniéj zmienił autor wiersz na prozę. W roku 1870 „na prośbę pewnéj osoby" wszystko nanowo poprawia i przepisuje. Wreszcie 12 lipca tegoż roku wręcza „Przezorną mamę" Sikorskiemu, redaktorowi „Gazety Polskiéj", a d. 1 stycznia 1871 widzi w tém piśmie druk swéj komedyi, oraz... liczy otrzymane honoraryum po 3 grosze od wiersza—ogółem „35 rs. z kopiejkami!..."

Trzeci ten utwór jest o wiele od poprzednich subtelniejszy. Rękę ma już Bliziński wprawniejszą i posiadającą większy rozmach: nie jednoaktówkę stworzył obecnie, lecz komedyę w trzech aktach.

Rzecz rozpoczyna się odrazu, bez żadnych przedwstępnych omówień. Widzimy dobraną parę małżeńską, która przyjechała do wód, aby złapać męża dla córki. Pani sędzina—„kuta baba"—jak ją dobi-

---

[1]) „Wiek" z maja 1893 r.

[2]) „Kuryer Warszawski" w n-rze 266 z r. 1869 donosi: „P. Józef Bliziński, znany z prac literackich, pomieszczanych w „Tygodniku Ilustrowanym" i innych pismach, napisał komodyę p. t. „Przezorna mama".

[3]) Zaznaczyć wypada dobroczynny wpływ, jaki na Blizińskiego wywiérał znany humorysta. Przyjaźń łączyła ich bardzo ścisła i serdeczna. Pląskowski go zaciągnął potém do szeregu współpracowników „Kuryera Świątecznego", gdzie též Bliziński pomieszczał około 1875 r. dowcipne rebusy i aforyzmy.

tnie czcigodny małżonek charakteryzuje, zastawia sidła na dwóch, według jéj przekonania, bogatych epuzerów. Sędzia również pragnie raz zakończyć tę sprawę i czémprędzéj wrócić do domu; — słowem, oboje rodzice po kupiecku traktują zamążpójście jedynaczki, która dokłada wszelkich starań, aby się z niebezpieczeństwa wydobyć. Panna Marya nikogo już nie pragnie, bo kocha młodego człowieka o wielkich przymiotach umysłu i serca. Tym wybrańcem jest Józef, setny chłopiec, którego jednak szanowna mama nie chce znać jako zięcia — bo goły. Tak się przynajmniéj rodzicom panny wydaje. Józef tymczasem, odziedziczywszy po stryju milionowy majątek, bada serce panny, a przekonany o jej bezinteresowności — oświadcza się o rękę młodego dziewczęcia. Blask miliona działa dobroczynnie na usposobienie sędziny, pan sędzia idzie za głosem małżonki, inne partye bledną wobec téj—i pan Józef zdobywa rękę ukochanéj.

Nietrudno w postaci Józefa, bohatéra „Przezornéj mamy" dopatrzyć się pewnego podobieństwa z osobą samego autora. I Blizińskiego, dziedzica dużéj fortuny, niejednokrotnie do panien ciągniono—i jego przeznaczały różne przezorne mamy na męża pięknych córeczek. Bliziński był na płeć piękną wrażliwy zawsze, rad więc smalił cholewki do kujawianek i warszawianek, ale obronną ręką z zapasów z niemi wychodził.

Po sąsiedztwie wszakże jeździł chętnie — a jak świadczą korespondencye jego do pism warszawskich — zaglądał i do Ciechocinka, t. j. do miejsca, które służy za tło „Przezornéj mamie". W téj formie, w jakiéj komedya była drukowana w „Gazecie Polskiéj", powiedziano wyraźnie, iż rzecz dzieje się w Ciechocinku, dopiéro podczas poprawek, późniéj w komedyi uskutecznionych, Bliziński wzmiankę o Ciechocinku opuścił, przez co bardziéj treść sztuki uogólnił.

Zmiany, poczynione w sztuce, podniosły rzecz samą. Niektóre sceny Bliziński skrócił, niektóre rozszerzył; trzeci akt zwłaszcza przez przestawienie scen zyskał bardzo wiele na rozwinięciu działania. Poprawki te autor porobił po wystawieniu „Przezornéj mamy".

Utrzymuje się zdanie, że komedya ta znalazła się na scenie po „Marcowym kawalerze". Zdanie jest błędne. Teatr prowincyonalny pod dyrekcyą Cybulskiego wystawił „Przezorną mamę" w Ciechocinku już w sierpniu 1871 r. według tekstu, drukowanego w „Gazecie Polskiéj". Musiał Bliziński wiernie odmalować tamtejsze życie kąpielowe, skoro jedna z pań wystąpiła z pretensyami, że „ją do komedyi wsadził" [1]).

---

[1]) Pamiętnik.

Po raz pierwszy tedy ujrzał Bliziński utwór swój na scenie, do którój tak tęsknił i którój z takiém oczekiwaniem pożądał. Można sobie wyobrazić wzruszenia, jakie nim wstrząsały, gdy śpieszył na to pierwsze przedstawienie,—miał usłyszéć siebie, przemawiającego przez usta aktorów, miał zobaczyć postaci, które stworzył, poruszające się, żywe!... [1])

To słabe, nędzne przedstawienie trupy prowincyonalnéj wywarło większe wrażenie i oddziałało silniéj na twórczość Blizińskiego, niż późniejsze, świetne interpretacye pierwszorzędnych artystów. To była pierwsza próba ognia, pierwszy hart dla talentu [2]).

Słusznie ktoś zauważył, że Słowacki byłby pod względem dramatycznéj twórczości stanął na wyżynie, gdyby choć raz w życiu był ujrzał jakie dzieło swoje na scenie. Szybki rozwój późniejszy talentu Blizińskiego płynie niezawodnie z tego przedstawienia „Przezornéj mamy" w Ciechocinku. Powinniśmy być wdzięczni kierownikowi téj trupy teatralnéj, Cybulskiemu, że komedyę wystawił i aktorowi Szmollowi, że ją na swój benefis powtórzył; oni to przyczynili się do prędszéj dojrzałości twórczéj Blizińskiego i wywołali wzmożenie się niepomierne oryginalnego talentu.

Charakterystyka postaci, działających w „Przezornéj mamie", pełna jest rysów, szczęśliwie z natury pochwyconych i wybornie piórem w rysunku utrwalonych.

Prawa natura autora poprostu nie cierpiała wszelkich pozorów, albo kłamstw uczucia, że zaś na tyle w świecie udawań wzrok patrzył — pióro nie omieszkało kréślić sylwetek o przedziwnie uwydatnionych cechach komicznych. Wierząc, że śmiéch poprawia obyczaje, Bli-

---

[1]) „Przezorna mama" była po przeróbce, w r. 1872 uskutecznionéj, grana w Warszawie 1873; we Lwowie 26 sierpnia 1875 z wzrastającém a wielkiém powodzeniem. Stanisław Dobrzański grał sędziego. Autor otrzymał 100 złr. honoraryum. Poznań wystawił ją 1874 r., płacąc Blizińskiemu rs. 30.

Krytyka przyjęła komedyę życzliwie, tylko recenzent „Dziennika Warszawskiego" (nr. 212, rok 1873) uwziął się przeciwko „Przezornéj mamie", bo pisał: „Osnowa komedyi jest błahą, a nawet i pospolitą, ale powiem natomiast, że gra Żółkowskiego była arcydziełem prawdy..." Za to w „Ruchu literackim" (nr. 36, rok 1875) Bronisław Zawadzki pisze: „Bliziński ma przymiot chwytania prawdy życiowéj. Jak umié patrzéć w życie! Lekkość i swoboda w kompozycyi charakterów, głęboka prawda w ich psychologicznéj istocie".

[2]) Bliziński bardzo lubił (i krytykował) Ciechocinek, dokąd często jeździł. Po wystawieniu tam „Przezornéj mamy" zaglądał jeszcze częściéj i o miejscowości téj chętnie do dzienników pisał. W n-rze 1о8 „Gazety Polskiéj" z r. 1872 jest korespondencya pióra Blizińskiego, w którój o Ciechocinku znajdują się dość ciekawe uwagi.

ziński z każdéj korzysta okoliczności, aby błędy zaznaczać i wypleniać.

Sędzina, to prototyp tych ujemnych figur kobiécych, które autor w sposób nieporównany odtworzył i ośmiészył. Gwałtem się ona wydała za mąż, gdy sędzia umizgał się do jéj opiekunki — majorowéj, skąd wiele nieprzyjemności mogło nań spłynąć z mocnéj pięści pana majora. Sędzina wzięła całą historyę na swoje barki, bilecik miłosny, pisany do majorowéj przez sędziego, zaadresowała do siebie, major uwierzył, a sędzia z wdzięczności ożenił się z Basią. Jakie pobranie, takie pożycie: Basia tyranizuje sędziego, który, siedząc pod pantoflem, tylko pocichu ironizuje, ale się żony boi.

Ta para małżeńska wyraża poglądy autora matrymonialne. Starzy już połączeni, występują w ujemném świetle, młodzi kochają się i żenią z prawdziwego przywiązania. Autor sympatyzuje z młodymi. Z tym samym rysem spotykamy się i późniéj, Bliziński go tylko modyfikuje umiejętnie i równoważy sprawiedliwie.

Para kochanków wygląda w „Przezornéj mamie" bardzo dobrze. Dziewczę kocha szczerze, mówi o swéj miłości otwarcie, przyznaje się do niéj chętnie, bo prawda uczucia przenika jéj serce do głębi. Nie jest to sentymentalna tkliwość, ale przywiązanie poważne, wierzące w siebie i wkraczające w przyszłość z nadzieją niezachwianą. Kochając, dziewczę to broni przedmiotu swéj miłości, broni siebie przed innymi, ma świadomość celu i umié zwyciężać przeszkody. Będzie z niéj żona dobra i dzielna kobieta.

Józef wart takiéj małżonki. Do szeregu męskich postaci przybył człowiek, z którego i rodzina i społeczeństwo miéć będą pożytek.

Drugorzędne figury zajmują w „Przezornéj Mamie" właściwe sobie miejsce, działają w miarę, nie narzucając swéj osoby. To stanowi jedną z zalet wszystkich komedyi Blizińskiego, że postaci, znajdujące się na drugim planie, nie wysuwają się naprzód, ale spełniają swe role na pozycyach, trafnie im wskazanych. Ma tu wszystko proporcyę i naturalną pespektywę.

IV.

„*In anima vili*" [1]) rozpoczął Bliziński studya do „Kawalera Marcowego," do którego pomysł przyszedł nagle w grudniu 1870 r.

Zbieranie materyałów było łatwe, bo leżały one... bardzo blisko: wszak autor w téj dobie jest już sam kawalerem marcowym.

---

[1]) Pamiętnik.

Musiały te studya i te materyały być gromadzone sumiennie, skoro dzieło, na ich podstawie stworzone, wypadło tak niepospolicie, choć praca nad niém trwała blisko dwa lata.

Położenie i życie kawalera na wsi tłomaczą wymownie warunki, w jakich się znajduje. Samotność, brak towarzystwa wywołują najpierw nudę — późniéj chęć znalezienia rozrywki gdzie bądź. Następuje więc zbliżenie do ludu — a że krew nie woda — o związki miłosne łatwo — powoli rodzi się i umacnia stosunek taki, jak pana Ignacego z Pawłową.

Psychologię tych ludzi odtworzył Biliński w „Kawalerze Marcowym" z nieporównanym realizmem a przytém z taką delikatnością uczucia, że podniósł rodzajowy obrazek do wyżyn prawdziwego artyzmu.

Węzły takie dziwnie szybko i dziwnie silnie zadzierzgać się zwykły. Z początku przelotna znajomość podczas wypłaty tygodniowéj albo żniwa w polu. Kilka słówek rzuconych od niechcenia, parę spojrzeń ukradkiem przesłanych — oto wszystko. Potém mimowoli dziedzic zagląda do wiejskiéj zagrody, szuka czegoś, dopytuje — i po raz drugi ją spotyka. Kiedyindziéj ona ma interes do dworu. To trzecie spotkanie; daléj czwarte, piąte — aż obecność jéj staje się we dworze niezbędną, bo dziedzic potrzebuje gospodyni dobréj i uczciwéj.

Upływa czas jakiś.

Pan widzi, że wszystko w domu porządniéj się dzieje, że w podwórzu i spiżarni ład zapanował — jest wdzięczny swéj gospodyni, a ona wzamian pilnuje pańskiego dobra, jak Pawłowa w domu p. Ignacego. Lata mijają, przyzwyczajenie staje się drugą naturą — już p. Ignacy nie może się bez Pawłowéj obejść. Próżno ładna jakaś sąsiadka ofiarować radaby swą rączkę szpakowatemu kawalerowi, gospodyni strzeże swych praw i pana przy sobie zatrzymuje na zawsze. Wzdryga się marcowy kawaler na myśl połączenia z gosposią (co na to ludzie powiedzą?), ale stopniowo do myśli téj przywyka a pod wpływem istotnie gorącego jéj przywiązania — na ślub się decyduje.

W malowaniu tego stosunku dwojga ludzi z różnych sfer znać pędzel mistrza.

Jakże przedziwnie traktowane są te dwie postaci! Ta prosta kobieta, bez wykształcenia żadnego, mówiąca z serca to, co czuje, a mówiąca nadto tak dowcipnie — a kiedy potrzeba, tak serdecznie — jest jedną z najpiękniejszych kreacyi, jakie posiada literatura dramatyczna. Jéj uczucie jest głębokie i potężne: wystarczy na zawsze i zapełni całe życie. Zakochana w swym panu, przywiązana szczerze,

będzie mu wierna do śmierci, będzie płakać jeżeli się zrodzi podejrzenie, że pan ją opuścić zamierza, ale nigdy nie stanie się niewierną. Odtrąci wszelkie zaczepki Heliodora lub kogo innego, rzuci się do nóg panu, żebrać będzie litości dla siebie; to jest uczciwość prostéj, niezepsutéj natury kobiecéj, która podbija serce mężczyzny.

Z początku Pawłowa strofuje pana Ignacego, że wciąż wyjeżdża i mówi do niego: „Tutaj w domu co dzień, to pana ino cień, a w Topolinie, to wszystek...” Kiedy Heliodor wspomina coś o ożenku pana Ignacego, Pawłowa natychmiast docina: „Oho, to dość — na starość rogom rość!” Lecz gdy p. Ignacy wybiera się jechać, Pawłowa z namiętnem uczuciem wybucha krótko: „Żeby pan miał tak zrobić, tobym!...”

Pan Ignacy napróżno się hamuje i gdy odchodzi — woła: „Marysia, Marychna!...” ona rzuca mu się na szyję z namiętnym okrzykiem: „Kocham!...” Kiedy zaś zostaje sama, smutno jéj, a z piersi wybiega piosenka prosta i rzewna:

Płynie woda po kamieniach
W dolinie
Oj, przykrzy się bez Jasieńka
Dziewczynie...

Pod nieobecność pana Ignacego, Pawłowa zdobywa się nawet na intrygę, aby grożącego niebezpieczeństwa uniknąć. Intryga się udaje, a choć p. Ignacy, powróciwszy, oburzony posuwa się nawet do razów — wkrótce udobruchany, mówi: „A gdybym też był, uniósłszy się na prawdę, wyrzucił cię z domu i wybił tak, żebyś się ruszać nie była w stanie?” Pawłowa odpowiada tkliwie, patrząc mu jak pies w oczy: „Tobym się pozbierała jak mogła... i przywlekła chociaż pode drzwi...”

To przywiązanie prostéj kobiety wzrusza głęboko. Autor dowiódł, że prawdę uczucia zrozumiał i że je własném sercem rozżarzył. Oprócz uczucia, w całéj krotochwili — jak się podobało Blizińskiemu nazwać „Kawalera Marcowego” [1] — widzimy perły dowcipu. Pawłowa sypie przysłowiami, pełnemi humoru, jak z rogu obfitości — tak, że Heliodor, literat, zbierający materyały ludowe, żałuje, iż nie jest stenografem, aby zapisać wszystko, co od niéj słyszy. Tylko z przeżytych zdarzeń można wydobyć tyle skarbów.

P. Ignacy jest w tym samym wieku, co Bliziński, liczy bowiem

---

[1] „Marcowy Kawaler” krotochwila w jednym akcie przez Józefa Blizińskiego. Warszawa, 1873. Utwór wyszedł nakładem autora.

w 1873 r. czterdzieści pięć lat i sześć miesięcy i przyjmuje u siebie zbieracza pieśni ludowych, Heliodora — istny portret przyjaciela Blizińskiego, Oskara Kolberga, który bawił u niego na wsi, pisząc swe dzieło „Lud.” Analogie dziwnie zbliżone!...

Bliziński i Kolberg znaleźli się na wsi razem: pierwszy z głową nabitą pomysłami do nowych komedyj, drugi zajęty zbieraniem właściwości ludowych. Obadwaj, zapracowani każdy w swojéj specyalności, odpowiadali sobie wzajemnie usposobieniem. Zrodziła się przyjaźń — i przyjaciela swego Bliziński sportretował w postaci Heliodora. Aktor Chęciński, grający na scenie warszawskiéj tę rolę, uzyskawszy pozwolenie Kolberga, scharakteryzował się nawet na niego [1].

Długo Bliziński „Kawalera Marcowego” obrabia. Czyta, poprawia, dopisuje piosnkę, znowu coś dodaje, szuka rady u Pląskowskiego, z którego „wybornych wskazówek korzysta” [2]. Wreszcie otrzymuje pochwałę od Sikorskiego, choć ten drukować komedyi nie chce, bo „za lekka.” Dopiéro 21 marca 1873 r. utwór swój oddaje autor na ręce artystki Ostrowskiéj, któréj mąż był wtedy reżyserem.

Dnia 9 kwietnia odbyła się próba czytana, co skrupulatnie notuje w Pamiętniku i czeka ze drżeniem serca ważnéj chwili, pocieszając się „dobremi wieściami,” jakie z Warszawy otrzymuje.

„Kawalera Marcowego” wystawiono po raz spierwszy w warszawskim teatrze „Rozmaitości” 15 maja 1873 r., z Żółkowskim w roli tytułowéj, z Bakałowiczową jako Pawłową; Heliodora grał Chęciński, Eulalię, guwernantkę Mazurowska, ekonoma Grzempielewskiego — Damse. Żółkowski z Bakałowiczową taki koncert dali prawdziwy, że dotąd tradycya téj gry żyje pośród publiczności. Bliziński pośpieszył téż zaraz z wizytami do obojga artystów, dziękując im za pracę. Z dyrekcyi teatrów otrzymał honoraryum 50 rs. i zamówienia na przyszłe utwory.

Inne teatry nabywają prawo do wystawienia sztuki, ależ płacą!... W Ciechocinku za „Kawalera Marcowego” otrzymał Bliziński 5 rs. i... bilet do teatru; Teksel z Eldorado płaci 10 rs.; ze Lwowa autor dostaje... 20 złr. Za to sława rozbrzmiéwa wszędzie.

Wrażenie wywarł „Marcowy Kawaler” na wszystkich bardzo silne: publiczność i krytyka z entuzyazmem go przyjęły. Utwór stał się ozdobą repertuaru. Niektórzy przypuszczali, że to rzecz nieznana Fredry. Przypuszczenie to sprawia Blizińskiemu żywą przyjemność,

---

[1] Pisze o tém Kazimierz Zaleski w spomnieniu o Blizińskim, drukowaném w „Kurjerze Warszawskim,” Nr. 119, z r. 1893.

[2] Pamiętnik.

co się zaraz zaznacza w Pamiętniku. Świat literacki powitał sympatycznie bardzo młodego pisarza: Bliziński zawiera przyjaźń z Wacławem Szymanowskim, Kazimierzem Zalewskim, Władysławem Bogusławskim..." Wszyscy okazują mu serdeczną życzliwość.

Recenzye wypadły dla utworu bardzo pochlebnie. Tylko jakiś „Weredyk," korespondent warszawski „Afisza teatralnego" [1]), wypisał tam szereg nonsensów i „Kronika Rodzinna" [2]) zamieściła następujące *curiosum* krytyczne:

Z p. Blizińskim krótko skończymy.

„Jego „Kawaler Marcowy," utwór niepozbawiony niejakich zalet artystycznych i scenicznych, kręci się na temacie modnym dzisiaj w pewnych zakątkach literackich: na temacie idealizowania prostytucyi przez ludzi wyklinających wszelkie ideały (?). Sztuczka tém jest niemoralniejsza, że ma dwuznaczne zakończenie szeptane, z którego nie można na pewno dociec, czy przynajmniéj stało się zadość wymaganiom już nie obyczajności, ale choćby kodeksu cywilnego. Czyż już tak daleko od owych czasów, kiedy dzieła sztuki musiały być obrazowaniem piękna, a teatr szkołą prostaczków i królów?"

Bolesław Prus w dowcipny sposób wspomina o Blizińskim w „Kronice tygodniowéj" [1]):

„Rzecz dzieje się w Alhambrze na przedstawieniu komedyi p. t. „Dziedzictwo" czyli „Kamień probierczy."

Baron de Berghausen (na scenie). Na honor! margrabino Rosenfeld, pani masz rączki najpiękniejsze w Bawaryi.

Autor „Kawalera Marcowego" (w krzesłach). Tak!... ale tylko w téj bawaryi...

Dowcipnie również uczcił Blizińskiego „Kuryer Świąteczny" [2]) zamieszczając wiersz do „Marcowego Kawalera."

Pomimo rozbudzonéj twórczości artystycznéj, Bliziński nie przestaje kontynuować swych prac geograficznych i językowych. W tym samym 1873 roku zabiera głos w „Gazecie Polskiéj" i pisze „Kilka słów z powodu błędów w Encyklopedyach," powołując się na własne spostrzeżenia hydrograficzne w kraju, spostrzeżenia oddane następnie redakcyi „Słownika Geograficznego." Według niego główną przy-

[1]) Kraków, 20 maja 1873.

[2]) Rok 1873, Nr. 11.

[1]) „Kurjer Warszawski," Nr. 147, z 1873 r.

[2]) „Kuryer Świąteczny," Nr. 29, z r. 1878.

czyną błędów Encyklopedyi Powszechnéj (mniejszéj) była niejednolitość redakcyi.

Gdy tak Bliziński wpłynął już pełnemi żaglami na morze literackie i osiągnął stanowisko wybitne w gronie pracowników tego morza, zapragnął los swój podzielić z dawno ukochaną kobietą, z którą jeszcze w 1858 r. miał się połączyć. Różne okoliczności sprawiły, że dopiéro w kwietniu 1874 r. zaślubił Paulinę z Sokołowskich — kobietę, która wniosła z sobą w życie Blizińskiego prawdziwe skarby moralne. Była ona zawsze dzielną, troskliwą męża towarzyszką. Inteligentna, bystra i wykształcona pojmowała pani Paulina wszystkie pragnienia i dążności męża, czytała każdy jego utwór, z rad jéj często nader trafnych Bliziński zawsze korzystał [1]).

Kochali się téż oboje bardzo. Pożycie ich było wzorowe. Bóg im tylko odmówił pod tym względem błogosławieństwa, że nie mieli dzieci.

V.

Pióro z pługiem w życiu Blizińskiego nie dało się pogodzić: majątek ziemski w rękach jego topniał rozchodził się, niknął. Chcąc się pozbyć kłopotów gospodarskich, autor „Kawalera Marcowego" przeniósł się na dobre z Kujaw do Warszawy.

Miasto wrzało wtedy od walki młodych ze starymi: Bliziński czynnéj akcyi w walce nie wziął, zajął pozycyę po nad stronnictwami, według swego zwyczaju dobrotliwie się uśmiechał — nie zrywał z młodymi, ale przestawał ze starymi — ot robił, jak doświadczony i dojrzały człowiek, który wie, że praca powinna być jedna i wspólna ku jednemu i wspólnemu celowi.

W kółku literackiém panowała wówczas w Warszawie serdeczność szczera i wylanie prawdziwe. Jestto chwila, w któréj zbliżają się do siebie ludzie różnych przekonań, w któréj wzajemnie się poznają i widzą, że pomimo pewnych różnic w zapatrywaniach, główne ich zasady mają wiele punktów stycznych.

Każde spotkanie tych ludzi pełne jest ciepła i przyjacielskich wynurzeń. Odbywa się ono podczas tak zwanych „rybek," t. j. proszonych, lecz skromnych przyjęć, urządzanych tu lub ówdzie u które-

---

[1]) W pamiętniku Bliziński pisze: „Żona ma zmysł: jeżeli o czémś powie, że dobre — to pewno dobre; z „Mężem w drodze" zbłądziła." Widocznie, że komedyę pochwaliła, a ta się późniéj ogółowi nie podobała.

gokolwiek z kolegów po piórze. Na „rybkach” tych jednoczono się i zawiązywano ściślejsze znajomości. Razu pewnego Edward Lubowski w dłuższéj rozmowie radzi Blizińskiemu systematyczność pracy. Rada była niezawodnie dobra, godząca w najsłabszą stronę działalności pisarskiéj autora „Marcowego Kawalera”, Bliziński radę wdzięcznêm sercem przyjął, ale się do niéj... nie zastosował.

Podczas tych posiedzeń na „rybkach” zajmowano się zawsze jakimś pożytecznym przedmiotem, który chciano urzeczywistnić albo rozszerzyć. Tak 16 października 1875 r., na „rybce” u Szymanowskiego naradzano się w sprawie „Stowarzyszenia emerytalnego literatów.” Bliziński wraz z Andriollim bierze gorący udział w dyskusyi nad tą ważną dla każdego pisarza kwestyą. Kiedyindziéj mówią „o tendencyjności w powieści.” Godebski stawia wniosek o popieranie rzeźbiarzy i ma wykład o nagrobkach artystycznych. Innym razem dyskutują nad parcelacyą lub zastanawiają się nad literaturą dziecinną. Ktoś znowu żąda od Blizińskiego, aby pisał w narzeczu ludowém.

Czasami odbywają się wycieczki do Fukiera, gdzie jeden z uczestników niedawno zmarły major, dr. Olendzki wniósł toast na cześć Blizińskiego, jako tenże „z niskiego stanu, t. j. szlagoneryi pochodząc, doszedł tak wysoko...”

Wogóle te lata pobytu w Warszawie schodzą Blizińskiemu bardzo przyjemnie. Pisywanie recenzyjek z teatrzyków do „Kurjera Warszawskiego,” uczęszczanie na sesye redakcyi „Muchy,” która podaje portret jego — nie obciążają go zbytnio: ma dużo wolnego czasu, więc należy do sędziów na konkursie oraczy, wyjeżdża wraz z Wacławem Szymanowskim na jarmark do Łowicza. Potém z wycieczki téj piszą do spółki sprawozdanie: „Jarmark w Łowiczu:” Bliziński, jako specyalista obrabia tu rzecz o koniach i o bydle; resztę opisuje Szymanowski bardzo dowcipnie [1]).

Przez te trzy lata (1873—1876) Bliziński stworzył mało, bo tylko napisał komedye: „Ojczulek” (późniejsi „Uczuciowi”) i „Mośkowe swaty” („Chleb ludzi bodzie”), oraz humoreski: „Pan Maciej,” „Polowanie na wróble,” „Kredyt sąsiedzki,” „Pajączek” i „Składkowy obiad,” pomyślany z powodu biesiady, wyprawionéj dla Ochorowicza, kiedy jechał do Lwowa na docenturę w 1876 r.

„Ojczulek,” napisany i wystawiony w Warszawie 1874 r., jako jednoaktowa komedya — nie doznał powodzenia. Po dziewięciu latach autor rozszerzył sztukę na dwa akty, nie zmieniając nic w treści;

[1]) „Kur. Warsz.” Nr. 208 z d. 22 września 1875.

pod tytułem: „Uczuciowi,” utwór ten nie podobał się również we Lwowie. Ostatecznie komedya ta wyszła z druku p. t. „Opiekun w zalotach.”

Akcya w téj sztuce prowadzona jest nierówno i zawiera dużo niespodzianek. W ciągu pierwszego aktu domyślają się czegoś, mówią półsłówkami: ma to być sposób zaintrygowania widzów, ale rezultat stąd mały. To, że ojczulek, albo opiekun albo jeden z „uczuciowych,” jak się sam nazywa, jest taką ciemną osobistością, która zagarnęła majątek swéj pupilki — dowiadujemy się z opowiadań. Działanie usunięte gdzieś na plan daleki, tak że go wcale prawie nie widać. Efektowi z listem przy końcu pierwszego aktu, kiedy opiekun widzi, że jego postępek wyszedł na jaw, brak dramatycznego umotywowania i jestto za raptowne. Drugi akt rozwija się także za prędko, niespodzianki spadają nagle, a rozwiązanie pędzi szybko ku końcowi.

Pojedyńcze figury noszą na sobie ślady twórczego talentu autora. Sama postać ojczulka, radcy, wykonana dobrze, o ile nie jest za zagadkową.

Zosia, pupilka, może trochę za egzaltowana — w każdym razie miłe wywiera wrażenie, dzięki swemu przywiązaniu do rodziny wujaszka. W jéj miłość do Karola wierzymy także, bo się objawia naturalnie.

Postać Karola rzucona w akcyę lekko, rysuje się na tle całości, ale każe o sobie pamiętać.

Kamila i Floryan, Generałowa i Grzmocki dopełniają galeryi. Z tych sylwetka Grzmockiego naszkicowana dobrze, zwłaszcza pod względem charakterystycznych wyrażeń z niemieckiego wziętych, jakiemi się posiłkuje.

Jednoaktówkę „Mośkowe swaty” albo „Chleb ludzi bodzie” odeodegrano w 1875 r. w Warszawie, w teatrzyku „Alhambra.” Treść zaczerpnięta z rzeczywistości, a w szczegółach obmyślana podczas wycieczki do lasu na poziomki. W ciągu trzech dni napisał komedyę tę Bliziński — znać, że płynęła z natchnienia, ale potrzebowała dłuższego opracowania. Daje się téż w przeprowadzeniu utworu spostrzegać trochę nerwowego sposobu pisania, lecz z drugiéj strony czuć tu lekkość i swobodę. Autor w kilku rysach odtwarza położenie spanoszonych karczmarzy, chcących przedzierżgnąć się w obywateli ziemskich.

Państwo Kiksiewiczowie nie godzą się na ślub córki Jadwigi, z pisarzem prowentowym, panem Onufrym, gdyż faktor Szwindelman stręczy jakiegoś gołego arystokratę. Mośkowe swaty się nie udają —

Jadzia idzie za Onufrego, a wieś, dzięki nielegalności w kupnie, zaledwie jako dzierżawa pozostać może w rękach Kiksiewiczów.

Dużo życia, werwy, dowcipu i ruchu nadaje krotochwili charakter pełen wesołości.

Stary Kiksiewicz swoją fizyognomią komiczną, swem nadymaniem się wywołuje śmiech w widzu, a jego małżonka z papierosem w ustach dobrze wygląda na nadętą szynkarkę. Szwindelman kręci się zręcznie, choć z rezultatem dla siebie nieszczęśliwym. Jadwiga i Onufry szkicowani są dość pobieżnie.

Komedyę przyjęto dobrze, najserdeczniéj zdał z niéj sprawę przyjaciel autora, Szymanowski.

Jak świadczy pamiętnik, oprócz wyżéj wymienionych utworów, nic w tym okresie nie wyszło z pracowni Blizińskiego, ale fantazya nie próżnowała. Już wtenczas myślał Bliziński nad swojém arcydziełem: „Panem Damazym,” który się miał pierwotnie zwać „Inocentym.” W głowie też były zarysy późniejszych komedyj: „Mąż w drodze” i „Mąż od biedy.”

Była to więc chwila, przygotowywująca rzeczy ważne — był to przeddzień świetnéj twórczości.

(D. n.) *Adam Dobrowolski.*



REFORMA
IZBY LORDÓW.

Dzieło emancypacyi społecznéj, ongi tak ospałe, tak powolne w świecie brytańskim, nie spoczęło prawie na chwilę od wielkiéj reformy 1832 r., a jeżeli spoczywać się zdawało to po to chyba, ażeby do dalszéj kampanii świeżych sił zaczerpnąć. Dopiéro co wyswobodzone warstwy narodowe coraz częściéj, coraz gwałtowniéj szturmują do owéj staréj twierdzy konstytucyjnéj, obwarowanéj przez wieki tradycyi i praw zwyczajowych. Demokracyi sił swoich świadoméj lekkie się już nawet przykrzą wędzidła i zwartym szeregiem idzie ona przeciwko przywilejom, gdziekolwiek je jeszcze na swéj drodze spotyka. Ruch jest wielostronny i trąbią do ataku jednocześnie na różnych placówkach, ale mimo tego jest plan jednolity w całéj téj akcyi postępowéj, i w oczach rozciekawionego świata powstaje i krystalizuje się Anglia przyszłych stuleci, całkiem od dawniejszéj odmienna. Im bliższą czuje się masa ludowa owego ideału równouprawnienia, do którego zdąża, tém niecierpliwszą się staje i tém goręcéj pragnie skruszyć dzielące ją odeń przeszkody. Najtwardszą z nich była izba lordów i o ten szkopuł rozbijały się w ciągu ostatniego pięćdziesięciolecia wszystkie upragnione reformy. Rzeczą jest tedy zupełnie naturalną, że reformatorowie społeczni przeciwko niéj siły sweześrodkowali i że pragną albo znieść ją całkowicie, albo przynajmniéj scentralizować, przekształcić w sposób czyniący niepodobnym w przyszłości systematyczny opór demokratycznemu postępowi. Oddawna przewidywana, logicznie nieu-

nikniona, kampania przeciwko izbie lordów naraz wysunęła się na pierwszy plan. Ustępujący z publicznéj widowni największy, najdoświadczeńszy z angielskich mężów stanu, Gladstone, w ostatniéj swéj mowie ministeryalnéj, rzucił rozentuzyazmowanemu narodowi to grzmiące hasło. Naród je pochwycił i jak iskra elektryczna rozbiegło się ono od jednego kresu państwa do drugiego, zjednoczyło duchy, nakreśliło ramy dla przyszłych zapasów.

Nie należy się łudzić nadzieją, ażeby reforma izby lordów mogła być dokonana bezzwłocznie: zadanie jest zbyt skomplikowane i najeżone trudnościami. Ale naród angielski taką żelazną posiada wytrwałość i wié tak dobrze, jak wielkie agitacye reformatorskie trzeba prowadzić, ażeby wydały owoce, że żadnéj wątpliwości miéć nie można co do ostatecznego wyniku téj kampanii. Nowy rapsod dodany zostanie do epopei, opiewającéj demokratyczną ewolucyę społeczności angielskiéj.

Zdawało się właściwém w chwili, gdy się do walki szeregują stronnictwa, przedstawić czytelnikom naszym stan téj kwestyi, przypomniéć im skład izby lordów i jéj historyę, określić jéj charakter i dojść do wniosku o konieczności reformy. Konieczność nosi w sobie w zawiązku możliwość. Agitacya chwili obecnéj, żwawa i hałaśliwa, znajdzie niewątpliwie sposób praktyczny rozplątania tego zagmatwanego węzła.

I.

Jeżeli konstytucyjny ustrój Wielkiéj Brytanii znajduje swój wyraz w parlamencie złożonym z dwóch izb, to hołd uznania i podziwu, jaki mu składa oddawna świat cywilizowany, ogranicza się do izby gmin, a bynajmniéj nie rozciąga się do izby lordów. Rzecz to ciekawa, że w całym niezliczonym szeregu komentatorów i krytyków, mężów stanu i publicystów, którzy badali organizacyę téj izby, nie znalazł się ani jeden, któryby ją uznal za nieposzlakowaną. Najpobłażliwsi uciekają się dla jéj obrony do tradycyi historycznéj i utrzymują, że pomimo téj anomalii, instytucye publiczne Anglii przodują wielu innym krajom. Hrabia Grey i Walter Bagehot, sir Henryk Maine i Tom. Erskine May, ba, nawet Goldwin Smith, porównywając izbę wyższą angielską z odpowiedniemi ciałami innych krajów, przyznają jednozgodnie, że zajmuje ona pod tym względem stanowisko poślednie i dla godności narodowéj upokarzające, a jednocześnie chybia całkowicie celowi, któremu rzekomo ma służyć.

Izba lordów składa się z członków duchownych, o liczbie ściśle

ograniczonéj i świeckich, których liczba może być większa lub mniejsza. Pierwszych jest 26, t. j. dwóch prymasów kościoła anglikańskiego, arcybiskupa Yorku i Canterbury i 24 biskupów, między którymi muszą być biskupowie Londynu, Winchesteru i Durhamu, a reszta dopełniona bywa po starszeństwie wyboru. Dwa punkta zwracają uwagę co do stanowiska lordów duchownych: pierwszym jest, że kardynałowie katoliccy nie mają pośród nich miejsca, tak samo jak nie mają go zwierzchnicy różnych wyznań szeroko rozpowszechnionych w kraju, ale nie należących do kościoła państwowego: drugim jest, że w razie sekularyzacyi takowego, co będzie niewątpliwie miało miejsce w ciągu przyszłych dziesięcioleci, cała ta kategorya lordów duchownych utraci dzierżony przez nią obecnie przywiléj.

Lordowie świeccy składają się z kilku kategoryi. Pierwszą stanowi 16 lordów wybranych przez Szkocyę, a 28 wybranych przez Irlandyę. Lordowie szkoccy są wybierani przez 37 członków parowskich rodzin na ciąg kadencyi parlamentarnéj, lordowie zaś irlandzcy są wybierani przez 89 parów tamtejszych dożywotnio. Liczba szkockich i irlandzkich lordów, jako wybieralnych i reprezentujących swój stan, jest ograniczona statutem. Druga kategorya, złożona z lordów sądowników, ograniczona do 6, wybierana z pomiędzy dygnitarzy ciała sądowniczego, otrzymuje godność swą dożywotnio. Trzecią nakoniec kategoryę stanowią lordowie zasiadający w izbie na podstawie listów nadawczych, uprawniających głowę rodziny do dziedzicznego krzesła. Ponieważ są rody, które wygasają, ponieważ są inne, których głową jest kobiéta, a zatém do zasiadania w izbie lordów uniezdolnione, ponieważ nakoniec korona posiada prawo nadawania tego dziedzicznego dostojeństwa, zatém liczba lordów dziedzicznych bywa mniejsza lub większa. Ale pomimo to, zawsze lordowie dziedziczni stanowią przeważną większość izby. Obecnie jest ich 491: z pomiędzy nich nie mniéj jak 330 otrzymali dostojeństwo to po roku 1830-ym. Pozostaje nakoniec powiedzićć, że żaden lord, dziedziczny członek izby wyższéj, nie ma prawa zrzec się swych przywilejów i nie ma prawa zasiadać w izbie gmin. Prawo to jednak służy lordom irlandzkim, jeżeli przez wybór swych parów nie zostali powołani do izby wyższéj. Jak wiadomo, lord Palmerston zasiadał w izbie gmin w charakterze lorda irlandzkiego przez cały ciąg swego zawodu parlamentarnego.

Pozostawiając tedy na stronie 26 lordów duchownych, 6 sądowników, mianowanych dla wykonywania funkcyi sądowniczych, i książąt krwi królewskiéj, zasiadających prawem urodzenia w izbie wyższéj, składa się ona przeważnie z przedstawicieli arystokracyi krajowéj. Ale jeżeli fakt ten jest prawdziwy sam w sobie, to nie należy wyciągać

z niego fałszywych wniosków. Bardzo często spotkać się można z dwoma całkiem błędnemi mniemaniami, mianowicie, że arystokracya a lordowie to jednoznaczniki, i że po za sferą izby lordów nie ma arystokracyi w Wielkiéj Brytanii.

Izba lordów nie jest bynajmniéj ciałem obejmującém wyłącznie potomków rycerstwa historycznego. Wygasło ono w ciągu wiekowych zapasów, jeszcze za wojen Białéj i Czerwonéj Róży i za dynastyi Tudorów. Wielkich historycznych rodzin o nieprzerwaném drzewie genealogiczném jest w obecnym składzie izby lordów nie wielu. Pięciu zaledwie wylegitymować się może z XIII, a sześciu z XIV stulecia. Dwa następne wieki, XV i XVI, liczą jedenastu i ośmnastu członków w izbie lordów. Wiek XVII-ty dodał do nich czterdziestu pięciu. Z pomiędzy blisko 500 dziedzicznych członków, zaledwie 87 reprezentuje tedy mniéj więcéj historyczne rody. Więcéj niż cztery piąte tych dostojników są *homines novi*, którzy otrzymali w dniu wczorajszym lub onegdajszym swoje przywileje od korony na przedstawienie ministrów, potrzebujących pozyskać sobie stronników dla przeprowadzenia tych lub owych celów. Nie oceniamy w téj chwili tego sposobu wynoszenia pewnéj liczby jednostek po nad poziom społeczeństwa, a zmierzamy jedynie do wykazania, że izba lordów nie może nawet w oczach jéj fanatycznych zwolenników być ciałem jednoznaczném z wyborowemi rodami historycznemi o krwi błękitnéj. Daleko prawdziwszém jest twierdzenie, że izba lordów zawiera w sobie pomiędzy wielu członkami, którzy do historycznych rodowych zasług i słynnych antenatów żadnych pretensyi rościć nie mogą, drobną ilość to rodowe odznaczenie posiadających. Wielki historyk angielski, Freeman, w swoim znanym *Essay on the Peerage* punkt ten sporny raz na zawsze wyświetlił. Jeżeli dzisiejsi demokraci angielscy, urągając śmiesznym pretensyom arystokratycznych dorobkowiczów, powiadają uszczypliwie, że zamiast wyrazu *peerage* należałoby używać *beerage*, bo jest wielu piwowarów i ludzi *ejusdem farinae* pomiędzy strojącymi się w czaple pióra kogutami izby lordów, to mimo tendencyjnéj przesady jest niezaprzeczona prawda w téj tezie, że ona nie może być bynajmniéj uważana za uprawnioną pasowania swych członków na rycerzy.

Z drugiéj strony jest pewném, że po za nią istnieje w Wielkiéj Brytanii arystokracya rodu. Jest w Anglii wiele rodzin staroszlacheckich, od wieków osiadłych w swych wiejskich rezydencyach, stanowiących dawną *yeomanry* i *gentry*, jest w Szkocyi cała organizacya klanowa o świetnéj rycerskiéj przeszłości i istotnie wielkości epicznéj, a ani tam, ani tu członkowie tych rodzin nie posiadają tytułów i nie są dziedzicznymi prawodawcami w złotéj izbie. Ale więcéj jeszcze uwi-

doczni się to istnienie arystokratycznych warstw po za izbą lordów, gdy się weźmie po prostu na uwagę ten fakt, że tylko głowie każdéj z owych 500 rodzin służy przywiléj, że tylko ojciec, a starszy syn po jego zgonie, wstępują do izby lordów, a że wszyscy ich młodsi bracia i synowie, chociaż są tego samego rodu i pochodzenia, chociaż posiadają nieraz tytuły szumne, prawnie im przysługujące, albo konwencyonalnie im nadawane, do izby lordów nie należą. Klasa arystokratyczna istnieje w Wielkiéj Brytanii i społeczeństwo jest na téj modle wyrobione; nie ulega to najmniejszemu wątpieniu. Lecz z izbą lordów znajduje się owa arystokracya w tak dalekim związku, że gdyby owo ciało zostało albo całkowicie zniesione, albo zreformowane w kierunku izb wyższych stałego lądu, idea arystokratyczna jako taka, i jéj zasada nie zostałaby przez to zniweczoną i co najwięcéj możnaby powiedziéć, że zmiana ta utorowałaby drogę stopniowemu przekształceniu świata brytańskiego i zoryentowaniu go ku demokratycznym ideałom.

Ażeby jednak rozróżnienie to uczynić i zrozumiéć, że przez swój skład współczesna izba lordów nie ma nic wspólnego z narodowym anglo-saskim wiecem, znanym pod nazwą Witenagemotu, zebrania baronów, trzeba posiadać wiadomości historyczne i prawne, których od masy społecznéj wymagać nie można. Nie dziwota tedy, że, mając przed sobą ciało o szumnym tytule, o olbrzymich przywilejach, otoczone zewnętrznym blaskiem, posiadające w swych ręku nadzwyczajne bogactwa ruchome i dwie trzecie części własności ziemskiéj, ogół identyfikuje je z arystokracyą rodową. Uszanowanie dla tradycyi rodu, poezya opromieniająca przeszłość historyczną, hołd dla bezinteresownéj działalności mężów stanu i sług narodu, protestacya przeciwko władzy plutokracyi, obrażającéj każdą szlachetniejszą naturę: oto dodatnie czynniki, które przemawiały nieraz silnie, a przemawiają jeszcze i dzisiaj nawet za nadaniem arystokracyi rodu stanowiska uprzywilejowanego. Ale były także i czynniki ujemne, zapominać o tém nie należy. Nie potrzebujemy ich wymieniać dla tych, którzy czytali niezapomniane *essay*'e W. Bagehota, znane pod ogólnym tytułem *The English Constitution.* Egoistyczna obawa jakiéjkolwiek zmiany, któraby mogła nadwerężyć indywidualne interesa, wstręt do przewrotów rewolucyjnych, snobizm czołgający się po lokajsku przed każdym o jeden choćby szczebel wyżéj stojącym na drabinie towarzyskiéj, nadzieja albo przedostania się samemu do tego uprzywilejowanego grona, albo przynajmniéj do obcowania z niém, do ociérania się o nie: takie są żywioły, które u przeciętnéj, niedalekko widzącéj masy przemawiają za izbą lordów i dają jéj niezrozumiałą po za obrębem

Wielkiéj Brytanii popularność. Jak słusznie zauważono jednak, dopóki arystokracya w Anglii była istotnie potężna — działała na naród i sprawami publicznemi kierowała nie przez izbę lordów, ale przez izbę gmin, która wtedy była jéj obrazem i narzędziem. Dopiéro od roku 1832, od bilu reformy, który wyemancypował średnie warstwy społeczeństwa z pod zwierzchnictwa arystokracyi, ta ostatnia, mając ścieśnione i utrudnione szranki działania publicznego, była zmuszona zamknąć się w izbie lordów: od téj téż to chwili datuje się jéj polityczny upadek.

Skoro społeczność angielska jest arystokratyczna i skoro pewne warstwy narodu posiadają tam historycznie, a przypuszczalnie za zgodą powszechną, stanowisko uprzywilejowane, zdawało się wielu politykom rzeczą całkiem naturalną, nieledwie elementarną koniecznością, że temu odrębnemu społeczno-towarzyskiemu stanowisku powinno odpowiadać odrębne położenie państwowe, uprzywilejowana pozycya zabezpieczona przez konstytucyę narodową. Izba lordów była podług tych teoretyków instytucyą normalną. Nie potrzeba jednak być głębokim mędrcem, aby na pierwszy rzut oka spostrzedz, iż z przesłanki takiéj bynajmniéj tego rodzaju wniosek nie płynie. Przypuściwszy nawet, że interesa warstw arystokratycznych są odrębne od interesów masy — co naturalnie potrzebowałoby być udowodnione naprzód! — nie wypada stąd bynajmniéj, ażeby obrona tych interesów powierzona być miała członkom téj klasy, członkom nie wybieranym *ad hoc*, ale zbierającym się po prostu z prawa urodzenia. Zamiast mieć uzdolnionych przedstawicieli i rzeczników, arystokracya może być doprowadzona do powierzenia swych losów niedołęgom, ludziom bez doświadczenia i wiedzy. *Nomina sunt odiosa*, ale wiadomo powszechnie, że jest pomiędzy owymi 500 członkami izby lordów, powołanymi na to dostojeństwo przez prosty traf urodzenia, wiele nicości, a że są co więcéj pomiędzy nimi osobistości ohydne i zbeszczeszczone, przynoszące zakał arystokracyi, jako ciału zbiorowemu. Gdyby tedy nawet istniała potrzeba zabezpieczenia dla pewnych warstw towarzyskich odrębnéj instytucyi politycznéj, co się wszystkim pojęciom nowożytnym sprzeciwia, jeszcze nie do takiéj izby lordów uciecby się należało. Logika i zdrowy rozsądek wskazują to już same. Ale daleko silniejsze argumenta daje historya. Idąc za nią, można zrozumiéć, dla czego doszła ona do tego politycznego bankructwa, w którém ją znajdujemy obecnie.

II.

Historya Wielkiéj Brytanii rozpoczyna się od podboju normandzkiego. Zdobywca dla ugruntowania swéj władzy, rozdaje ziemie swym rycerzom i stwarza system feodalny. Baronowie, dzierżący lenna królewskie, zwoływani byli na wspólne obrady do rady królewskiéj (*King's Council*). *Magna charta* zabezpieczyła im prawo być wzywanymi na te obrady. Wiadomo, jak ci potężniejsi baronowie przeistoczyli się stopniowo w izbę lordów a mniejsi w izbę gmin. Niepotrzeba przypominać, że w całym hierarchicznym ustroju feodalnym, stanowisko uprzywilejowanych wasalów było ściśle powiązane z należącemi do niego obowiązkami. Ale i ci, którzy żadnych publicznych obowiązków nie spełniali, otrzymywali nieraz od królów wezwania do uczestnictwa w ich parlamentach a następstwém tego było, że powstawały godności baronów nie powiązane z lennictwem ziemi i ze służbą publiczną. Im bardziéj władza królewska potężnieje, tém samoistniéj postępują sobie królowie mianując swych baronów. Tudorowie nie uciekają się już po sankcyę do swych wielkich wasalów. Po wyjściu z chaotycznéj epoki wojny Dwóch Róż, lordowie są mianowani przez nadawcze patenty królewskie. Powoływanie do téj izby biskupów, jako magnatów a jednocześnie jako posiadających niedostępną innym wiedzę, było rzeczą naturalną. Nie trzeba wszelako zapominać, że w ciągu całéj téj pierwszéj epoki nie było mowy o dziedziczności władzy publicznéj lordów i że każdy z nich otrzymywał osobiście swe listy nadawcze i patenty.

Epoka reformacyi, walka Henryka VIII-go z kościołem, konfiskata olbrzymich dóbr ziemskich przez króla i nadanie ich swym stronnikom i faworytom, wprowadziły na pierwszy plan nową uprzywilejowaną warstwę społeczną, która zastąpiła dawniejszą, sprowadzoną przez wojny i tak do drobnych rozmiarów. Liczba lordów była jednak i wówczas ograniczona: przy śmierci Elżbiety było ich wszystkiego 59. Gdy w początku XVII-go wieku Stuartowie wstępują na tron, liczba lordów szybko się powiększa: pozbawieni istotnéj władzy, bierne narzędzie w ręku królów zdążających do zdobycia dla siebie osobistéj, znaleźli się oni, wraz z instytucyą monarchii pochłonięci przez rewolucyę. Długi parlament znosi po prostu izbę lordów i za protektoratu Cromwela nie było jéj potrzeby. Gdy sztuczna organizacya konstytucyjna, utworzona za protektoratu, runęła jak dom karciany, zniknęła także owa nowa izba lordów, którą wskrzesiła przygotowująca się reakcya. Uprzednia powróciła w 1660 r. wraz z Ka-

rolem II-gim i po dziewięcioletniéj przerwie rozpoczęła ponownie swój byt jakby nieświadoma przerwy. Im cichszą i pokorniejszą była rola odgrywana przez lordów podczas rewolucyi, tém zapalczywszą i reakcyjniejszą była po ich niespodziewanym powrocie do dawniejszego stanowiska, a jeżeli restauracya Stuartów skończyła się niebawem ich wygnaniem i powołaniem na tron nowéj, hanowerskiéj dynastyi, to katastrofa ta w znacznéj części nastąpiła w skutek powolności i zachęty, jaką lordowie okazywali względem pogwałcenia praw i umów przez koronę. Moralnie izba lordów straciła za Stuartów niezmiernie wiele: 93 nowych listów nadawczych podniosło liczbę członków jéj do 153. Ale wiadomém było, że dostojeństwo to kupowano za brzęczące pieniądze, za haniebne usługi; tak utworzone ciało polityczne nie mogło rachować na przodowanie narodowi.

Nowa zasada wprowadzona została do izby lordów przez unię Szkocyi z Anglią w 1707 r. Oba kraje miały posiadać wspólny parlament i Szkocya uprawnioną została wówczas do 16 członków izby lordów. Byli oni wybierani przez swoich parów na każdą kadencyę parlamentarną. W ten sposób obok dziedzicznych lordów, dotychczas zasiadających w złoconéj izbie, znaleźli się inni, pochodzący z wyboru. Nowy duch nie wstąpił mimo to do tego ciała, choćby dla tego, że wybieralni lordowie stanowili liczebnie zaledwie garstkę. Jednocześnie ujawnia się tendencya ograniczenia nominacyi nowych członków i przez całe pół wieku pomiędzy 1700 a 1750 r. korona mianowała wszystkiego 42 nowych lordów dziedzicznych. Ale ze wstąpieniem Jerzego III-go na tron, gdy jego zachcianki do rządzenia samodzielnego krajem znajdowały w zależnéj od jego faworu izbie lordów giętkie narzędzie, liczba jéj członków rośnie jak na drożdżach. W téj smutnéj epoce drugiéj połowy XVIII-go wieku, epoce intryg, przedajności i rozkładu moralnego, izba lordów użyta została przez koronę do poskramiania i neutralizowania izby gmin. W téj ostatniéj whigowie rej wodzili i ażeby ewentualną ich liberalną politykę zniweczyć, król i Pitt, jego minister, wprowadzali z gorączkową szybkością jednych torysów po drugich do izby lordów. Od tego czasu datuje się nadanie temu ciału politycznego kolorytu, którego już odtąd nigdy nie zatraciło. 140 lordow nowych weszło w ten sposób jako dziedzicznych prawodawców.

W 1800 roku nowa faza się otwiera przez unię Wielkiéj Brytanii z Irlandyą. Ażeby unię tę przeprowadzić, trzeba było przekupywać ludzi politycznych i pozyskać ich stanowiskiem lorda. Dodano tedy do izby lordów odrazu 28 nowych członków. Irlandzcy lordowie są wybieralni wprawdzie jak szkoccy, ale wybierani na całe życie.

Raz wszedłszy do zachowawczego ciała, nie mają najmniejszego powodu dbać o interesa swego kraju, ale o interesa swéj kasty. Nie trzeba także spuszczać z uwagi, że korona zatrzymała sobie przywiléj mianowania szkockich i irlandzkich lordów lordami angielskimi [1]) co im udziela dziedziczną spadkobierczość prawodawczą, ale przez dziwną nielogiczność pozwala tym dwuziemnym lordom brać i nadal udział w wyborze swoich krajowych członków do izby lordów. Łatwo tedy zrozumiéć, iż ta ostatnia jest z każdém pokoleniem, z każdym rokiem bardziéj i wyłączniéj zaprzątnięta swoim kastowym interesem. Ministrowie, zarówno zachowawczego jak postępowego obozu, idą w ślady Pitta i mianują nowych członków do izby lordów. Zachowawcy stają się *ipso facto* reakcyjnymi do najwyższego stopnia; liberalni, gdy raz do téj atmosfery przywykną, zmieniają swą dawniejszą barwę. Jeżeli nie oni sami, to czynią to ich synowie. Przykładów takich apostazyi jest wiele. Pomiędzy najżarliwszymi przeciwnikami ostatniego pierwszego ministra, Gladstona, byli właśnie ci lordowie, których on do tego dostojeńswa wyniósł dla przeprowadzenia liberalnych projektów. Raz o swéj niepogwałcalności przeświadczeni, spieszą się ci potentaci pokazać niezależność swych opinii i charakteru.

Jest nieszczęściem izby lordów, iż w całym toku dziejów narodowych nie można pokazać ani jednéj doby, gdzieby ciało to wzniosło się po nad ciasny i egoistyczny interes klasy a stało się orędownikiem całego organizmu społecznego. Nie walcząc nigdy ani za całość ojczystych kresów, ani za swobody publiczne, ani o dobrobyt powszechny, nie uzyskała sobie izba lordów żadnych tytułów do wdzięczności ogólnéj, tytułów, któreby mogły ją osłonić i za nią przemawiać w chwilach zawieruchy. Nic trudno natomiast przeciwnikom téj instytucyi udowodnić, jaka była historya każdego rodu arystokratycznego, jak się wynieśli po nad społeczeństwo, jakie zbrodnie, łupieztwa i zdrady zdobyły im fortuny i fawory. To co się da powiedziéć o każdéj z rodzin, można naturalnie powiedziéć z większą jeszcze słusznością o historycznéj działalności ciała arystokratycznego, uosobionego, w izbie lordów. Pierwsza epoka ich bytu, epoka barbarzyńskiéj dziczy, trwająca przez cztery stulecia po normandzkim podboju, jest naznaczowana gwałtem i łupieztwem, i przez krew i żelazo, przez ucisk i okrucieństwa pewna ilość rodów wywalcza sobie stanowisko przewodnie. Wojny Dwóch Róż z epizodami, co je zaznaczyły, są bez naj-

---

[1]) 37 parów szkockich oraz 29 irlandzkich otrzymało dostojeństwo lordów angielskich i zostało zapisanych jako dziedziczni członkowie izby lordów do złotéj księgi.

mniejszego wątpienia jedną z najsromotniejszych kart w rocznikach ludzkości. Zuchwałe rycerstwo walczyło o lepsze z władzą królewską, ale gdy ta zatryumfowała, nie waha się ono ugiąć przed nią karku służalczo. Druga epoka działalności arystokratycznéj budzi więcéj jeszcze wstrętu. Wielkie rodziny, które się ugrupowały około tronu Henryka VIII-go i Elżbiety, Russelowie, Seymour'owie, Cecilowie, Cavendiche, Dudleye i t. d., ochotnie zaprzęgły się do dzieła reformy religijnéj, aby zrabować kościół i przywlaszczyć sobie jego skarby. Z dawnych zbrojnych rabusiów stali się złodziejami z religijną maską zamiast przyłbicy. Wstrętniejszą jest tu jeszcze komedya religijnego ferworu, gdy sobie przypomnimy, jak gotową była owa arystokracya protestancka za królowéj Maryi do powrotu na łono katolicyzmu. Ohydne kupowanie tytułów i godności dziedzicznych za Stuartów dopełnia obrazu moralnéj wartości téj wyborowéj warstwy społeczeństwa. Gdy za rewolucyi i Cromwella izba gmin motywując zniesienie izby lordów, ogranicza się do scharakteryzowania jéj, jako „nieużytecznéj a niebezpiecznéj”, nakazuje uznać łagodną formę swego wyroku, który historya gotowa jest daleko surowszém ochrzcić mianem.

Gdy minęła zawierucha rewolucyjna i lordowie ku własnemu swemu zdziwieniu ujrzeli się znowu na bezpieczném wybrzeżu, dominującą ideą ich staje się unieruchomienie rozwoju publicznego, wprzężenie wszystkich warstw narodu do swego rydwanu, zrzucenie na ich barki ciężarów fiskalnych i ekonomicznych, gdy sami stawali się pasorzytami. Raz, w 1719 r., przyszła im nawet myśl zreformowania izby lordów, ale zreformowania w kierunku wstecznym, tak, ażeby się ona stała organem drobnego kółka kilkunastu wielkich rodzin whigowskich. Oligarchiczna ta zachcianka była zbyt zuchwała na czasy, w których się wykluła i lordowie pogodzić się musieli z dotychczasowemi swemi przywilejami. Tém snadniejszém było to dla nich, że izbę gmin zapełniali ich klijenci i agenci, a dzięki wadliwemu prawu wyborczemu, w pięciu szóstych częściach bezpośrednio przez nich mianowana. Wszystkie zakusy emancypacyjne w sferze ekonomicznéj i politycznéj rozbijały się o niezłomną wolę lordów zmonopolizowania dla siebie samych korzyści jaknajdonioślejszych. Jak wewnętrzna tak i zewnętrzna polityka Wielkiéj Brytanii, prowadzona pod natchnieniem izby lordów, była nacechowana ciasnym egoizmem i bez najmniejszego wyjątku służyła sprawie reakcyi. Strata kolonii amerykańskich, wojny za utrzymaniem rządów despotycznych, zasiłki udzielane przedsięwzięciom, których bliżéj charakteryzować nie ma potrzeby—i tak Prusy otrzymały *subsidium* 2,400,000 f. szt. — oto rysy, charakteryzujące międzynarodową działalność Wielkiéj Brytanii.

Im więcéj zbliżamy się do ostatnich czasów, tém bardziéj rażącą staje się wśród społeczeństwa, pełnego energii i życia, oraz ujawniającéj się na każdym kroku sprężystéj inicyatywy indywidualnéj, szybko wzmagającego się bogactwa u klasy średniéj, a dobrobytu u niższéj; tém bardziéj rażącą, powiadamy, staje się anomalia owego ciała politycznego, stającego wpoprzek dążeniom i woli masy narodowéj. Zapytawszy się historyi o jego legitymacyę, zapytawszy rozumu stanu o prawo do przywileju, napotykamy jedynie negatywne odpowiedzi.

Praktyczni politycy wolą jednak pozostawiać historyczne początki oraz racyonalne ugruntowanie instytucyi na stronie i ograniczyć się pragną do zbadania stanowiska, jakie izba lordów zajmuje obecnie względem narodu i do rozstrzygnięcia pytania, czy ich przywileje oraz duch, jaki ich ożywia, dadzą się pogodzić z wymaganiami nowoczesnego bytu. Zużyty, oklepany frazes wysławia wysoki rozum zachowawczych klas angielskich, który nastraja je harmonijnie z dążeniami wszechspołeczności i uzdalnia do stopniowego przedsiębrania wielkich reform. Będzie tu właściwém przyjrzéć się, ile prawdy zawiéra się w tém twierdzeniu i jaki jest istotnie polityczny temperament izby lordów.

III.

Kolizye pomiędzy izbą lordów a izbą gmin, przedstawicielką narodu w jego całości, bywały w dawniejszych czasach rzadkie. Nie można się temu dziwić, gdy się weźmie na uwagę, czém była istotnie ta ostatnia. Z pomiędzy ludności, wynoszącéj blisko 30 milionów, jeszcze w pierwszéj ćwierci naszego stulecia zaledwie 15,000 posiadało prawo głosowania. Prawo wyborcze przepełnione było artykułami, których nam obecnie zrozumiéć niepodobna. I tak istniało 35 okręgów wyborczych, nie posiadających wyborców, ale wysyłających mimo tego 75 deputowanych do izby gmin. W 46 innych okręgach było mniéj niż 50 wyborców, a okręgi te mianowały 90 deputowanych. 97 deputowanych było poprostu mianowanych bez najmniejszéj formalności wyboru; 70 było pośrednio mianowanych przez lordów, 139 przez *commoner*'ów. Tak utworzona izba gmin, nie mogła doprawdy rościć najmniejszéj pretensyi do reprezentowania narodu i jednemu tylko dziwić się należy, iż w tém potworném ciele jakakolwiek samodzielność, jakikolwiek duch obywatelski mógł się wytworzyć. Z izbą lordów nie potrzebowała się taka izba gmin swarzyć: obie miały jednakowe początki i iść musiały jednakowym gościńcem. Jeżeli nawet i wtedy społeczność angielska posiadała swobody publiczne

i z nich korzystała, to nie parlamentowi i prawodawczéj jego działalności miała to do zawdzięczenia, ale samorządowi administracyjnemu, który razem z narodowém życiem krzewił się i rozwijał.

Lecz przyszła i przyjść musiała chwila, gdy społeczeństwo angielskie, zbogacone przez handel i przemysł, wyrobiwszy w swém łonie klasę średnią, mieszczańską, potęgi swéj materyalnéj i umysłowéj świadomą, uznało za konieczne zmienić tę organizacyę polityczną, nie odpowiadającą bynajmniéj dalszym jego potrzebom. Agitacya za reformą parlamentarną ogarnęła cały naród i stała się nieodzowną koniecznością, uznaną za taką przez każdego światłego męża stanu. Lordowie, zagrożeni w swym bycie, sami jedni stawili czoło narodowi i gdyby się byli opiérali dłużéj trochę, nie ma wątpienia, że doprowadziliby do przelewu krwi obywatelskiéj i rewolucyi. Bil reformy parlamentu przedłożony w 1831 r. przez hrabiego Grey'a, po otrzymaniu znacznéj większości w izbie gmin, został stanowczo przez lordów odrzucony; przedłożony im powtórnie był tak cynicznie wykoślawiony przez nich, że ministrowie woleli go wycofać i zażądali od króla Wiliama IV, ażeby ich upoważnił do jednorazowego mianowania liberalnych lordów w liczbie wystarczającéj do złamania upartéj opozycyi torysowskiéj arystokracyi, grupującéj się około księcia Wellingtona. Każdy z czytelników zna te doniosłe wypadki, które się wtedy w dramatycznym rozwinęły obrazie: wahanie się króla, groźby i protestacye lordów, wielkie meetingi i procesye, olbrzymie petycye do korony, sceny burzliwe uliczne i nareszcie zgodę króla na ryczałtową nominacyę lordów, przychylnie do reformy usposobionych. Wtedy dopiéro lordowie ulegli. Politycy radykalni, którzy oburzają się obecnie po upłynionych sześćdziesięciu latach na hr. Grey'a i lorda Johna Russell'a, że niekorzystali z owego momentu do gruntownéj reformy izby lordów, nie rachują się z czasem i okolicznościami. Reforma izby gmin była sama w sobie tak olbrzymim wypadkiem i pociągnęła za sobą takie przewroty w całym organizmie politycznym narodu, że nie było powodu utrudniać i komplikować sytuacyi przez inne przedsięwzięcie równie doniosłego rozmiaru. Ówczesne stronnictwo liberalne słusznie mogło mniemać, że skoro naród miał na przyszłość zabezpieczone w izbie gmin przedstawicielstwo prawdziwe, to przez organ ten wszelkie dalsze postępy i ulepszenia urzeczywistnić się dadzą. A jakkolwiek była spora doza optymizmu w takim sądzie, trzeba przyznać, że usprawiedliwiły go następne wypadki. Przeciwieństwo pomiędzy izbą lordów uosobiającą przywilej kilkuset osobistości, a izbą gmin, reprezentującą całe jądro narodu, stawało się z biegiem czasu coraz jaskrawsze. Im bardziéj się przeciwieństwo to uwidoczniało, im większe kroki ku demokraty-

cznéj równości czyniło mieszczaństwo, wyzwolone przez bil reformy 1832 r., tém mniéj wspólnych idei, zasad, sympatyi musiało być między obu izbami, tém mniéj siły, oporu posiadała ta, która nie dobro powszechne, ale swój osobisty interes przeciwstawiać mogła drugiéj.

A okazyi, świadczących o całkiem innym nastroju duchowym obu tych przyrodnich siostr, nie brakowało. Czasami izba lordów, postawiona wobec potężnych projektów jak np. wobec zniesienia cła od zboża, kapituluje prędzéj, aniżeliby się to przypuszczać dawało, czasami znowu wobec spraw maluczkich, jak np. bilu, dozwalającego wdowcowi poślubić siostrę swéj zmarłéj żony, okazuje się nieugiętą. Pod temi wybrykami pozornego kaprysu i na dnie ich całéj systematycznéj opozycyi, leży jednak niezaprzeczenie mniéj lub więcéj jawny, ale niczém niewyrugowany wstręt do zrównania praw, do wyswobodzenia religijnego, umysłowego, ekonomicznego i t. d. narodu z powijaków, co go krępowały dotychczas. Jakkolwiek chciałoby się identyfikować politykę izby lordów z obroną zachowawczych interesów społeczeństwa, to gdy się obejmie syntetycznym poglądem jéj całość w przeciągu ostatniego pół wieku we wszystkich dziedzinach i gałęziach działalności państwowéj, wypadnie przyznać, że nie jest to polityka zachowawcza, ale wsteczna: rzeczy całkiem odmienne.

W sferze reform parlamentarnych pozostała wierną do dziś dnia duchowi, który ją ożywiał w 1832 roku. Odrzucała jedne po drugich bile izby gmin, któremi ta chciała zabezpieczyć wybory od przekupstwa, tak samo, jak bile, rozszerzające prawo głosowania. Wprawdzie nowy bil reformy 1867 r. uzyskał jéj sankcyę, dlatego, że był przedłożony przez zachowawczy gabinet lorda Derby i Beniamina Disraeli, ale nie zapomniano reakcyjnych poprawek, któremi go oszpeciła. Ostatni wielki bil reformy Gladstona w 1884 r., który nadał prawo głosowania dwóm milionom obywateli, dotąd onego pozbawionych, został odrzucony przez lordów pod pozorem, że nie dołączono do bilu nowego podziału okręgów wyborczych. Trzeba było wielu ustępstw drugorzędnych ze strony gabinetu liberalnego, a przedewszystkiém trzeba było silnéj presyi opinii publicznéj, demonstracyi meetingów, powtórzenia nieledwie gwałtownych agitacyi 1832 roku, aby wymusić na nich strachem to, na co się nie zdobyli rozumem stanu. Na obecnéj sesyi nakoniec, gdy rząd oznajmił, że przedłoży nowy bil wyborczy, znoszący na przyszłość prawo rozporządzania kilku naraz głosami i kilka innych drobiazgowych punktów zabezpieczających szczerość głosowania, izba lordów przez organ liberalnego księcia Devonshire, oświadczyła, że się temu projektowi stanowczo sprzeciwi. Nie podobna tedy zaprzeczyć, że izba lordów nie może dotąd przeboléć straconego przywileju

narzucania społeczności jego przedstawicieli, że pragnie, przynajmniéj, o ile to jest w jéj mocy, utrudnić i sfałszować szczerość głosowania. W kwestyi, która pośrednio tylko jéj dotyczy, pokazuje się tém upartsza, że czuje, iż każdy krok dalszy ku głosowaniu powszechnemu władzę ich uzurpowaną ukróca.

W kwestyi religijnéj, nie potrzeba przypominać polityki izby lordów. Usamowolnienie kościoła katolickiego w Irlandyi było przez całe dziesiątki lat przedmiotem zapasów homerycznych i gdy nareszcie izba lordów zmuszona była do niego się przychylić, uczyniła to w sposób pozbawiający ją korzyści, jakieby wcześniejsze ustępstwo było jéj dało. Do dziś dnia katolicy w Irlandyi są wykluczeni od pewnych urzędów i zawdzięczają to wyłączenie uporowi lordów. Usamowolnienie żydów napotykało w przeciągu 25 lat, od 1833 do 1858 r. ciągłą nieprzejednaną opozycyę lordów. Większą jeszcze zawziętość okazali względem sekt protestanckich, nienależących do kościoła państwowego. Nie było upokorzenia, ograniczenia, prześladowania, któregoby oni oszczędzili. Lordowie wyłączyli ich z uniwersytetów, rzucili srom na ich akta małżeńskie, wykluczyli od administracyi prawa o biédnych, ciążyli nad uregulowaniem prawa o dziesięcinach i t. d. Nieustające przez całe ostatnie pół wieku kampanie izby lordów na korzyść przywilejów kościoła państwowego są obelgą dla elementarnego pojęcia tolerancyi i same jedne wystarczyłyby do napiętnowania ich znamieniem dawniejszéj epoki. Łatwo przewidzieć, jakie będzie ich stanowisko w wielkiéj kwestyi, która staje obecnie na porządku dziennym w dwóch jednocześnie krajach koronnych: księstwo Walii i królestwo Szkockie, domagają się usamowolnienia swoich kościołów i zniesienia przywileju, jaki posiada u nich, bez cienia usprawiedliwienia, kościół anglikański. Izba gmin nie omieszka bilów tych zawotować, lecz lordowie, solidaryzując się z przywilejami duchowieństwa anglikańskiego, będą mu się sprzeciwiać, dopóki znowu wielkie demonstracye siły ludowéj nie zmuszą ich do uległości. Powaga ich nowy cios poniesie, ale o to mniejsza.

Jak łatwo zrozumieć, wszystkie prawa, tyczące się municypalnéj organizacyi oraz oświaty elementarnéj — owych dwóch kanałów, przez które demokracya lepszą przygotowuje sobie przyszłość — znajdowały w izbie lordów ciężką do zwalczenia zaporę. Przy pamiętnym akcie 1836 r. reformującym municypalności, lordowie dla przewleczenia sprawy głosowali przeciwko swym własnym poprawkom, a pomijając już cały szereg reakcyjnych napaści na wszystkie instytucye, zależące od ciał municypalnych, dość będzie przypomnieć stanowisko, jakie zajęli przeciwko radzie hrabstwa londyńskiego. Skandaliczne odrzucenie

w roku zeszłym londyńskiego *Improvements Bill* przebrało jednak miarkę i wobec oburzenia, jakie wywołało, można bez żadnéj obawy o fałszywe proroctwo, zapowiedzieć, iż się w niedalekiéj przyszłości cofną, jak się dotąd cofali zawsze, gdy im groziła burza ze strony masy ludowéj. W kwestyi szkolnéj lordowie stanęli systematycznie przeciwko szkółkom państwowym, a po stronie tych, które są w zależności od kościoła państwowego.

Zajęłoby nam zbyt dużo czasu i miejsca, gdybyśmy przejrzéć chcieli rolę, jaką izba lordów odegrała w dziale prawodawczym, odnoszącym się do kwestyi robotniczo-socyalnéj. Bez najmniejszego wyjątku zabiérali oni zawsze stanowisko przeciwko interesom i aspiracyom masy robotniczéj, czy to szło o legalną pozycyę *Trades-Unions*, towarzystwa wzajemnéj pomocy, ubezpieczenia, czy téż godzin pracy, dozoru nad fabrykami i kopalniami i t. d. Gdy nie mogli odrzucić całkowicie bilów, starali się pozbawić je skuteczności przez dodatkowe artykuły, albo w najgorszym razie przewlekać wprowadzenie w czyn postępowych przepisów. W ten sposób udało się im niektóre ważne sprawy, które niepotrzebnie jątrzyły miliony ludności, przewlec o lat kilka, czasem kilkanaście.

Nie dotknęliśmy dotąd Irlandyi. Przedmiot to zbyt rozległy, a jednocześnie zbyt dobrze znany. Ma on dwie strony: gruntową i polityczną. W obudwóch izba lordów wykazała zaciętość i złą wolę, graniczącą ze mściwością. Ograniczona w swojéj działalności względem Szkocyi i Anglii, dała folgę sobie w Irlandyi, zostawionéj bezbronnie jéj na pastwę. Gdy się weźmie na uwagę, że od 1830 do 1842 r. sprzeciwiała się bilowi zaprowadzającemu drenowanie niskich i wilgotnych gruntów, to dziwić się nie można fanatycznemu oporowi, jaki stawiała wszelkim propozycyom polepszenia bytu czynszowników. O uwłaszczeniu mowy być nie może: arystokracya gruntowa uważa je nietylko za jednoznaczne ze stratą swego tradycyjnego położenia, ale przewiduje także rozbudzenie się téj samej kwestyi w innych krajach monarchii. Ażeby odwlec tę chwilę, wszystkie projekty, tyczące się stosunków gruntowych i rolniczych w Irlandyi, rozbijają się w izbie lordów albo wychodzą z niéj, pozbawione z góry żywotności. Co do kwestyi politycznéj, samorządu irlandzkiego, lordowie uwieńczyli wytrwale prowadzoną swą politykę, sprzeciwiającą się usamowolnieniu Irlandyi i postawieniu jéj na téj samej stopie, co inne części monarchii przez odrzucenie ostatniego bilu, przedłożonego przez ministeryum Gladstona w 1893 r., większością 419 głosów przeciwko 41. Całoroczną pracę izby gmin zniweczyli na czterech kilkogodzinnych posiedzeniach. Wotum to rzuciło, rzec można, rękawicę nietylko izbie

gmin, ale i narodowi całemu. Był to krok zuchwały, a jego następstwa nie dały na siebie czekać.

IV.

„Korona—pisze najznakomitszy z historyków krajowych, Henryk Hallam — została przezornie ograniczoną przez statuty i odpowiedzialność jéj doradzców. Izba gmin, gdyby przekroczyła swe szranki, zostaje zniweczoną przez rozwiązanie. Lecz przeciwko wyniosłości, lub, co jest o wiele prawdopodobniejszém, przeciwko przewrotnéj polityce izby lordów, konstytucya nie daje najmniejszéj rękojmi.” Nie można zaprzeczyć, że jest nietylko anachronizm, ale istotne niebezpieczeństwo w tym stanie rzeczy. Izba lordów jest ciałem, które nie ma względem narodu żadnych obowiązków, ale posiada jedynie prawa i przywileje. Jako misyę publiczną, miała aż do bilu reformy 1832 r. wyzyskiwanie kraju w interesie warstwy arystokratycznéj; od téj reformy ogranicza się do stawiania wszelkich możliwych przeszkód rozwojowi demokracyi. Naród w swéj organicznéj całości wypowiada swą wolę; wola ta jest paraliżowana przez 500 prawodawców, którzy zostali prawodawcami dlatego, że byli starszymi synami swych ojców. Jest, jak powiada Alfred Spalding, coraz widoczniejszą fikcyą współdziałanie obu izb w pracy publicznéj: lordowie ograniczają się do tamowania i wstrzymywania ruchu, a jedynym ich celem jest utrzymać władzę i wpływ, który raz na zawsze, jako kasta, stracili. Tracąc czas na tém daremném usiłowaniu powrócenia rzeki do swego źródła, naród angielski nie jest w stanie rozwiązać najważniejszych dla siebie zagadnień.

Coraz głębiéj tedy wyrobiło się w społeczności przekonanie, że wszelkie postępy życia publicznego zawisłe są od uprzedniéj reformy izby lordów. Idealna elastyczność ustawy angielskiéj pozwala przeprowadzić każdą reformę konstytucyi przez samą zgodę trzech organów, w których ręku spoczywa władza, t. j. korony i obu izb parlamentu. O zgodzie korony wątpić nie ma powodu. Zaniedbała ona oddawna użytkowania ze służącego sobie *veto* i moralna jéj siła i powaga spoczywa właśnie w przeświadczeniu, jakie posiada naród, iż nigdy woli jego sprzeciwiać się nie będzie. O zgodzie izby gmin można to samo powiedzieć. Wobec moralnego rozbratu, jaki między nią a izbą lordów istnieje, nie może ona czuć sympatyi do ciała, które prace jéj niweczy i przywłaszcza sobie atrybucye zwierzchnicze, nie mające podstaw. Od lat wielu ten lub ów członek izby gmin, w ostatnich czasach sir Wilfried Lawson i p. Labouchère, wnoszą propozycyę o zniesieniu całkowi-

tém izby lordów. Mężowie stanu o większym wpływie i znaczeniu, jak sir Karol Dilke, albo p. Józef Chamberlain, w epoce swego radykalizmu, takie same formułowali wnioski. Grono deputowanych radykalnych, robotniczych i socyalistycznych, które na każdéj sesyi je popiéra, wzmaga się na sile, ale nie posiada jeszcze niezbędnéj większości. Kwestya ta drzémała dotąd i izba gmin nie miała powodu brać jéj do serca. Ale z chwilą gdy naród jasno i dobitnie wolę swoją wypowie, albo za zniesieniem izby lordów, albo za jéj reformą, samo z siebie wynika, że izba gmin stanie się téj woli wyrazem.

Pozostaje tedy otrzymać zezwolenie lordów na reformę znoszącą ich byt, albo przynajmniéj ich przywileje i prawa. Trudność, ażeby nie powiedzieć niepodobieństwo, przedsięwzięcia, jest oczywista. Nawet Japończycy, według relacyi przybywających od nich podróżników, zaczynają okazywać coraz widoczniejszy wstręt do dobrowolnego rozpłatywania sobie wnętrzności mieczem; nie można się spodziéwać takiego ducha zaparcia i poświęcenia od izby lordów. Na każdą mocyę przedłożoną sobie co do rozwiązania się, odpowie naturalnie przez *non possumus*. Rezultat taki mógłby być jedynie osiągnięty drogą gwałtu i rewolucyjnego przymusu. Nie potrzeba takiéj ewentualności, równie opłakanéj jak do przewidzenia trudnéj, brać tedy w rachunek i kwestya sprowadza się do reformy organizacyi izby lordów usankcyonowanéj przez nią samą.

Reforma musiała, i nie mogło być inaczéj, znaleść nieraz we własném jéj łonie rzeczników. Skoro nie ulega wątpliwości z jednéj strony, że istnienie dwóch izb, wyższéj i ludowéj, nietylko nie staje na przeszkodzie normalnemu rozwojowi swobód publicznych, ale przeciwnie jest jego rękojmią, a z drugiéj, że izba lordów nie może rościć pretensyi do tożsamości z jakąkolwiek izbą wyższą w znaczeniu senatu kontrolującego, to myśl zbliżenia jéj do tego typu narzuciła się umysłom jasnym i rozważnym pomiędzy lordami. Zostawiając wszystkie inne propozycye reformy na uboczu, zatrzymamy się nad trzema główniejszemi. Autorem pierwszéj jest hrabia Russell, autorami dwóch drugich hrabia Rosebery i margrabia Salisbury.

Reforma przedłożona izbie lordów w r. 1869 przez hr. Russell'a ograniczała się do mianowania przez koronę 28 dożywotnich lordów, wybieranych z pomiędzy znakomitości narodowych rozmaitych kategoryi. Nie ma potrzeby wchodzić w szczegóły tego projektu, zmienianego i obcinanego w ciągu obrad przez samego jego autora celem zjednania dlań głosów i rozbrojenia opozycyi. Chociaż nadzwyczaj skromny i umiarkowany, miał on tę zaletę, iż przeciwstawiał potwornéj zasadzie dziedzicznego prawodawcy zasadę wybieralnych, i że mógł

stopniowo utorować drogę do stanowczego pod tym względem przełomu. Ale lordowie przy trzecim odczycie tego bilu odrzucili go większością 106 głosów przeciwko 76. Ta ostatnia cyfra, mniejszości, przemawia na korzyść lordów.

Następną propozycyę reformy przedłożył izbie lordów hrabia Rosebery w 1884 roku. Gdy młody, zaledwie 37 lat wieku liczący wówczas, lord Rosebery zaproponował swym kolegom mianowanie komisyi, któraby rozważyła sposób wprowadzenia do izby lordów wybieralnych członków, reprezentujących rozmaite żywioły zupełnie w jéj składzie nieuwzględnione, gdy ogólnikową tę propozycyę poparł mową pełną ironii i werwy, izba przeszła szybko do porządku dziennego, przegłosowawszy szybko tę propozycyę. Ale takie zduszenie nader umiarkowanego w gruncie rzeczy wniosku, nie przekonało bynajmniéj hr. Rosebery o jego niewłaściwości. Przeciwnie. Zaledwie cztery lata ubiegły, a po raz drugi staje w 1888 roku przed swymi dostojnymi kolegami z inną propozycyą, już nie tak ogólnikową, jak dawniejsza i daleko radykalniejszą. Nabiérała ona znaczenia już i przez samą osobistość wnioskodawcy, który pomiędzy pierwszą swą a drugą propozycyą, nabrał doświadczenia politycznego, piastował wielki ministeryalny urząd i był ukwalifikowany do wydania sądu o zadaniu izby wyższéj. Otóż zaproponował on nie mniéj, jak zamienienie izby dziedzicznych prawodawców na izbę wyższą wybieralną. Miała się ona składać z członków wybieranych przez rady hrabstw, wielkie municypia, izbę gmin, kolonie i korona miała prawo dodać do niéj pewną liczbę dożywotnich lordów, jako przedstawicieli władzy. Każdy lord miał miéć prawo zrzeczenia się swéj godności i mógł wtedy być wybieranym do izby gmin. Obie izby miały być uprawnione w pewnych orzeczonych sprawach do wspólnego obradowania i głosowania. Doraźny ten szkic reformy pokazuje już jéj donioslość i pozwala zrozumiéć osłupienie, w jakie wprawił szlachetnych lordów. Lord Salisbury znajdował się wówczas u władzy, izba lordów była mu niewolniczo posłuszna i wniosek zuchwały lorda Rosebery nie miał najmniejszego widoku być przyjętym. Wycofał go sam wnioskodawca, dopiąwszy swego celu, a było nim wskazanie lordom, gdzie jest dla nich zbawienie, gdzie sposób służenia nie ciasnéj prywacie, ale ogólnemu dobru.

Wymieniliśmy nakonice margrabiego Salisbury, t. j. urzędowego przywódcę zachowawczego stronnictwa torysów, jako autora propozycyi reformy izby lordów. Nie trzeba brać tego dosłownie. Wprawdzie już w r. 1869, gdy hrabia Russell ze swoją skromną propozycyą wystąpił, lord Salisbury wyraził swą sympatyę do idei mianowania pewnéj

liczby dożywotnich członków izby lordów, ale przy pierwszéj, a szczególnie przy drugiéj propozycyi lorda Rosebery, dobra wola jego mniéj energiczną się pokazała. Za jego wnioskiem odrzuciła izba lordów nietylko projekt lorda Rosebery, ale i projekty lordów Dunraven i Carnarvon, i oczekiwała jego własnéj propozycyi, którą im obiecał w imieniu rządu. W tymże 1888 roku lord Salisbury istotnie z obietnicy swéj się wywiązał i przedłożył nie jeden, ale dwa bile. Jeden miał na celu wykluczenie z izby lordów tych dziedzicznych jéj członków, którzy się skalali zbrodniami i wykroczyli przeciwko prostéj uczciwości: kilka skandalicznych spraw tego rodzaju drażniło właśnie wówczas opinię pod tym względem. Drugi bil proponował mianowanie 50 dożywotnich lordów, z których nie więcéj jak pięciu mogło być tworzonych w ciągu jednego roku. Mieli być mianowani z pomiędzy najwyższych dostojników sądownictwa, marynarki, armii, dyplomacyi, członków rady stanu *(Privy Council)*, oraz gubernatorów kolonialnych. Nie ma wątpliwości, że kategorye, z których owi dożywotni członkowie mieli być wybierani, były zbyt ciasne i nie stawiały izby lordów w żadném bezpośredniém zetknięciu z masą narodu. Ale nawet taki półśrodek byłby był niezawodnie ulepszeniem izby wyższéj. Pokazało się, niestety, niebawem, że lord Salisbury nie miał najmniejszego zamiaru wprowadzenia w wykonanie swego własnego projektu. Był to jedynie manewr strategiczny. Po drugim odczycie, zasłaniając się rzekomą opozycyą, jaką projekt jego miał spotkać u stronnictwa postępowego, szlachetny margrabia oba swe bile wycofał. Komedya się skończyła. Osobiście dla lorda Salisbury i jego historycznéj roli jest ona zakałą. Mąż stanu, dominujący nad swoją partyą, talentem, doświadczeniem, wpływem, zapewniony o niewolniczém jego posłuszeństwie, skoro sam uznał potrzebę reformy izby lordów, powinien był uważać za zadanie swego zawodu publicznego sprawę tę przeprowadzić i dać zachowawczym interesom narodu organizacyę logiczniejszą i silniejszą, aniżeli ją w obecnéj izbie lordów posiada. Zadanie to było nie łatwe może, ale godne wielkiego męża stanu, wierzącego w godło na swym sztandarze wypisane. Zaniedbał takowego, a nietylko zaniedbał, ale udowodnił raz na zawsze, że zostawiona sama w sobie, izba lordów wewnętrznéj swéj reformy nie przedsięweźmie.

Ażeby ją na niéj wymódz, potrzeba presyi z dołu, jak to już miało miejsce przy każdéj wielkiéj przeprawie, począwszy od bilu reformy 1832 r. Chwila do agitacyi przeciwko izbie lordów jest obecnie sposobna jak nigdy, i tyle nagromadziło się zarzewia, że nie ma wątpliwości, iż płomień wybuchnie niebawem.

V.

Wystarczyło zaiste przypomnieć sobie szkody, jakie zła wola izby lordów zrządziła dla sprawy postępu prawodawczego i publicznego w ciągu ostatniéj sesyi parlamentarnéj 1893 r., aby zrozumieć usposobienie względem niéj masy narodowéj. Zadarła ona z demokratyczną municypalnością hrabstwa londyńskiego, sprzeciwiając się przebudowaniu jednéj z dzielnic stolicy najgwałtowniéj przebudowania potrzebującéj, odraczając sprawę używalności publicznéj Lincoln Gardens, ograniczając kontrolę i udział miasta co do policyi na Tamizie, nakoniec sprzeciwiając się ujednostajnieniu rat podatkowych. Takie systematyczne poniewieranie wszystkich życzeń stolicy rozdrażniło przeciwko lordom miasto, którego temperament nie był dotąd rewolucyjny, ale przeciwnie, zachowawczy. Donioślejsza jeszcze była opozycya, jaką napotkały z ich strony projekty przedłożone przez liberalne ministeryum Gladstona. Zaczęła od odrzucenia prawa o swobodniejszém rozporządzaniu własnością gruntową, co byłoby pierwszym krokiem do zniesienia majoratów; następnie odrzuciła bil o samorządzie dla Irlandyi, wprowadziła takie reakcyjne poprawki do bilu zabezpieczającego robotników na wypadek poszkodowań poniesionych przy pracy, że rząd, ulegając presyi stowarzyszeń robotniczych, zmuszony był cały ten projekt, niecierpliwie oczekiwany przez warstwy pracujące, całkowicie wycofać. Nakoniec upiérali się lordowie do upadłego przy wielu ograniczeniach i restrykcyach bilu, nadającego rady wyborcze wszystkim gminom *alias* parafiom. Jedynie dla uniknięcia, ażeby cała sesya nie została zmarnowana bezpłodnie, rząd zgodził się na przyjęcie tych poprawek, ale protestował i zapowiedział, że ich zmiany zażąda przy pierwszéj sposobności.

Przypominając całą tę taktykę izby lordów, miał prawo Gladstone w pożegnalnéj swéj mowie przedstawić ją jako zaporę reform i postępu i zapowiedzieć, że nadeszła chwila takiéj zmiany ustawy konstytucyjnéj, któraby ją postawiła raz na zawsze ponad systematyczną obstrukcyą koteryi reakcyjnéj. Jak niebawem jego następca, lord Rosebery powtórzył, system polityczny Wielkiéj Brytanii, polegający na prawodawczém współdziałaniu dwóch izb, istnieje tylko w teoryi, ale nie w czynie. Gdy bowiem zachowawcze ministeryum znajduje się u steru, izba lordów żadnemu nadesłanemu sobie projektowi się nie sprzeciwia, bez dyskusyi daje mu sankcyę: nie jest to izba równouprawniona, ale po prostu *une chambre d'enregistrement*. Natomiast, gdy stronnictwo liberalne dzierży władzę, izba lordów staje się ro-

dzajem trybunału apelacyjnego sądzącego izbę gmin, jako przestępcę i bez przerwy ją potępia. Nie ma tedy pożytku z takiéj izby ani w jednym, ani w drugim razie i nowy pierwszy minister przyznał, że przedstawia ona „wielki kłopot, wielkie niebezpieczeństwo dla państwa”.

Jak się spodziéwać było można, naród, który przyjął słowa Gladstona za testament mądrości politycznéj, przyklasnął również pełnym obietnic słowom jego następcy. Przez usta obu stronnictwo liberalne sformułowało swój programat i postanowiło walczyć o swobody narodu przeciwko przywilejowi dziedzicznych prawodawców.

Entuzyazm całego kraju nie dał na siebie czekać i manifestacyi publicznych w tym kierunku nie brakło. Na zebraniu liberalnéj federacyi narodowéj (organizacyi, obejmującéj całe stronnictwo postępowe), które odbyło się w lutym r. b. w Portsmouth, rozległ się okrzyk wojenny przeciwko lordom w tém wyrazistém haśle: *end and not mend*, co znaczy, że nie o naprawę ich idzie, ale o całkowite ich zniesienie. Na licznych zebraniach publicznych i meetingach kwestya ta była podnoszona, i zawsze rezolucya do radykalnéj zmiany zdążająca miała zapewnioną większość. Na wielkim meetingu w Hyde-Parku, w marcu, *Trades-Unions* angielskie, pod których sztandarami ogniskują się miliony robotników, uchwaliły takie same wnioski. Lord Rosebery, który zażądał od narodu poparcia moralnego do walki, nie potrzebuje się na brak jego skarżyć. Zapał stronniczy oddawna go prześciga, ale nikogo to nie dziwi. Społeczeństwo angielskie wié dobrze, że kwestye polityczne są negocyacyą pomiędzy dwiema krańcowemi zasadami i że wzajemne ustępstwa są drogowymi słupami na gościńcu postępu. Nikt na seryo w Anglii nie pragnie zniesienia całkowitego izby lordów. Nawet radykaliści, jak ich prototyp, Karol Bradlaugh, ograniczali się do propozycyi zniesienia dziedzicznych prawodawców i zamienienia izby lordów na izbę wyższą, na senat, złożony z reprezentantów, wybieranych przez każde 100,000 mieszkańców z pośród ludzi, którzy pewną liczbę lat przebyli w izbie gmin. Ten lub inny projekt tego samego zakroju zyska poparcie skrzydła radykalnego. Izba gmin, która w zeszłym miesiącu marcu, w poprawce do adresu, zaproponowanéj przez p. Labouchère, wyraziła zgodę na zniesienie izby lordów, da się naturalnie do jakiego umiarkowańszego półśrodka doprowadzić. Nie będziemy chyba dalecy od prawdy, przypuszczając, że w ciągu agitacyi publicznéj, jaka się na wszystkich punktach kraju toczyć będzie, sprowadzi się reforma natychmiastowa do pozbawienia lordów prawa absolutnego *veto*. Gdy odrzucony przez nich bil zostanie ponownie przyjęty przez izbę gmin, bez ich sankcyi stanie się prawem obowiązującém.

Kwestya dziedziczności nie będzie odrazu rozwiązana. Będzie ją można bez obawy odłożyć do przyszłych czasów, gdy przy reformie praw, odnoszących się do własności gruntowéj, potęga arystokracyi ziemskiéj ostatecznie skruszona zostanie.

Ale reforma taka, jaka stanęła na porządku dziennym i do jakiéj zaprzęgło się całe stronnictwo postępowe, jest sama w sobie wielkiéj doniosłości i będzie stanowiła nową epokę w dziejach społeczeństwa angielskiego. Jak zwykle w dziejach, tak i tutaj powtórzył się obraz oporu upartego, ślepego, ciała uprzywilejowanego, które, nie zdając sobie sprawy, że się środowisko zupełnie zmieniło, nie dozwala na żadną zmianę. Reforma, któréj dobrowolnie i we właściwym czasie podjąć nie chcieli, staje się, samą siłą napotkanego oporu, głębszą i radykalniejszą. Sami lordowie walczą zresztą za swoje przywileje bez wielkiego zapału i animuszu i przewidują, że się chwila abdykacyi zbliża. Nie potrzeba lepszego symptomatu tego ukazującego się wśród nich samych nastroju umysłowego, jak manifest podpisany przez trzech dziedziców lordowskiego dostojeństwa, a należących właśnie do wielkich rodzin historycznych, manifest, w którym ci przedstawiciele nowego pokolenia protestują przeciwko istniejącéj organizacyi izby lordów i formulują w projekcie prawodawczym przeistoczenie jéj na izbę wyższą, w znaczeniu, jakie ona na stałym lądzie posiada.

Zanim wybije ostatnia godzina naszego stulecia, a może i prędzéj jeszcze, ta nowa zdobycz demokracyi uwieńczy dzieło reformatorskie niezaprzeczonéj wspaniałości.

Dr. M. E. Trepka.



BENIOWSKI

W ŚWIETLE NOWSZYCH BADAŃ.

Przeszło sto lat minęło od pierwszego pojawienia się w druku pamiętników Beniowskiego, a dotychczas jeszcze wartość osobista téj wybitéj postaci zeszłego stulecia, tudzież autentyczność miejsc i zdarzeń, opisanych — pozostaje kwestyą sporną. Jedni twierdzą, iż był to przewrotny intrygant, kondotier, nieuczciwy gracz, blagier, zmyślający niebywałe brednie; inni znów, może porwani heroicznym rozmachem dziwnych jego przygód, a równocześnie przejednani szlachetną prostotą tonu pamiętników — bronią go z całą wymową, na jaką stać ich pióra. Wśród tych przyjaciół głośnego bohatéra, czy też awanturnika, znalazło się nawet wielu, którzy w zapędzie życzliwości — niedźwiedzią oddali przysługę: przesadzając bowiem doniosłość czynów, wystawiając działalność jego i rycerskie cnoty w fantastycznéj jakiéjś aureoli, rzecz prosta, w niejednym wzbudzili nieufność i dali potężną broń w ręce przeciwnikom, odmawiającym mu wszelkiéj czci i wiary.

A miał on przeciwników licznych, zaciętych, posiadających, z ich przynajmniéj punktu widzenia—przyczyny do nienawidzenia go srodze, a zarazem i nielada wpływ na opinię cywilizowanego ogółu.

Niezwykły temperament, umysł wyższy, zdumiéwająca odwaga młodego wojaka, a nadewszystko niepowszednie jego losy — nic dziw, że barwnością swoją pociągały bujną wyobraźnię Słowackiego i wielu innych poetów, dramaturgów, powieściopisarzy różnych narodowości,

którzy kréślili o nim rymowane i nierymowane dzieła, po części i u nas znane w przekładach (dramat Kotzebue, powieść pani Mühlbach i in.). Od tych jednak wytworów wieszczéj imaginacyi, często za zbyt nieprawdopodobnie wyjaskrawionych, niemniéj zajmująco, a o wiele poważniéj przedstawia się Beniowski w krytyczném świetle rzetelnych, historycznych badań.

Maurycy August hrabia Beniowski pochodził ze starego, arystokratycznego rodu węgierskiego. Dalecy jego pradziadowie za czasów Karola Roberta, a naszego Władysława Łokietka, opuściwszy ziemię rodzinną, schronili się do Polski, gdyż będąc krewnymi Felicyana Zách'a, w ten tylko sposób zdołali uniknąć dzikiéj zemsty dumnego Andegawena, ścigającéj głowy najdalszych nawet powinowatych nieszczęśliwego przestępcy. Dwóch braci z młodszego już pokolenia wróciło do ojczyzny za Zygmunta Luksemburczyka; imiona ich były: Urban i Beniamin. Odznaczywszy się chlubnie w rozprawie z Turkami pod Nikopolem 1396 r., otrzymali od króla nietylko zupełną amnestyę, przywrócenie szlachectwa, ale i dobra dziedziczne na wybrzeżach rzeki Vágu. Oni to dali początek dobrze późniéj znanym na Węgrzech rodzinom Urbanyói'ch i Benyói'ch. Do dziś dnia istnieje wieś Benyó w komitacie trenczyńskim.

W pierwszéj połowie XVIII-go w. podobno znów osiadł u nas i nawet obejmował któreś starostwo jeden z hr. Benyói'ch, stryj młodego Maurycego; w niezupełnie przeto obce dla siebie strony przybył ten ostatni do Polski, zostawszy wygnany z kraju wyrokiem Maryi Teresy. Kara tak surowa spotkała go za słuszne wprawdzie, ale zbyt gwałtowne postąpienie sobie ze szwagrami swymi, którzy go podstępnie wyzuli z ojcowizny. Przybywszy tutaj, pokochał naród, przejął się żywo jego sprawami, a otrzymawszy indygenat, przezwał się z polska „Beniowskim" — i pod tém nazwiskiem zna go cały świat, tak go zowią nawet sami Węgrzy, wbrew właściwemu jego rodowemu nazwisku — Benyói.

Znane przysłowie, że nikt nie jest prorokiem we własnéj ojczyznie, sprawdziło się i tutaj. Kiedy bowiem już niemal wszędzie zagranicą istniały przekłady jego „Podróży i osobliwych zdarzeń", i w krótkim czasie doczekały się po kilka wydań [1]), w samych tylko Węgrzech, jeżeli były komu znane, to chyba w obcym języku. W Anglii

[1]) W Niemczech ośm wydań: 1790 r., trzy w 1791 r., daléj w latach 1793, 1796, 1797 i 1807. We Francyi dwa: w 1791 i 1863. Polskich wydań trzy: 1791, 1796 i 1807. Holenderskich dwa: w Haarlemie i Amsterdamie 1791 r. Szwedzkie jedno 1791 r. i jedno sławońskie w Preszburgu 1808 r.

i w Niemczech poważne, specyalne czasopisma podawały obszerne z nich wyjątki (*Monthly Review*, *Critical Review*, *Gothaische gelehrte Zeitung* i wiele innych); Węgrzy zaś zbyt mało przywiązywali do nich wagi i wiary, ażeby je uznawali za godne tłómaczenia. Jeden tylko z drugorzędnych poetów, hrabia Gvadányi, napisał o przygodach Beniowskiego patosem i przesadą tchnący poemat p. t.: „Życie węgierskiego żołnierza Pawła Rontó i hrabiego Moritza Beniowskiego" (Presburg, 1807),—i Horányi wzmiankuje o nim także w swoich życiorysach sławnych ludzi węgierskich [1]), ale są to wzmianki bardzo skąpe, aczkolwiek odznaczające się trafnością. Wyjątki z jego pamiętników, drukowane w 1816 r. małemi urywkami w czasopismach: *Közhasznu Ismeretek Tára* („Zbiór wiadomości ku pożytkowi ogółu") i *Nemzeti Plutarkus* („Narodowy Plutarch") nie podobały się nikomu, więc przez długie lata zupełnie przestano się nim zajmować.

Niedawno dopiéro, 1888 r., przypomniał go sobie Maurycy Ráth, księgarz i wydawca peszteński—być może, powodowany chęcią podniesienia uroku i sławy męża, rodem Węgra, który z dalekich krańców świata umiał jednakowoż dobić się rozgłosu w Europie i to w czasach, kiedy społeczeństwa europejskie miały niejedną ważną rzecz na głowie. Wydrukował więc swoim nakładem „Pamiętnik i opis podróży hrabiego Maurycego Beniowskiego" w przekładzie jakiegoś studenta, nb. pod firmą Maurycego Jókay'a. Sędziwy nestor pisarzy węgierskich nieszczególniéj jednak wyszedł na uprzejmém użyczeniu swojego nazwiska, przekład ten bowiem jest w wielu miejscach wadliwy, niekompletny (wypuszczono w nim mianowicie wszystkie opisy o podróżach lądem), a to oczywiście szkodzi nie komu innemu, tylko temu, kto się za tłómacza podpisał.

Z drugiém za to dziełem o Beniowskim lepiéj się udało Jókay'owi. Jestto w tymże samym 1888 r. wydana powieść p. t.: „Życiorys hrabiego Maurycego Beniowskiego", napisana do współki z Janem Jankó. Ten ostatni, podróżnik, lekarz i przyrodnik z powołania, a gorliwy szperacz historycznych dokumentów z amatorstwa, dostarczył wiele autentycznych szczegółów, skreślił sam w II-gim tomie kilka ważniejszych epizodów (przeszło 270 stronic) i tak rzecz ta, osnuta na tle stosunków Beniowskiego z uroczą panną Afanazyą Niłow, jest nietylko wysoce zajmującą, ale zarazem posiada przymiot niezaprzeczonéj wiarogodności.

Doktór Jankó poprzestał atoli wówczas wyłącznie na materyałach, jakie zebrać mu się udało na Węgrzech w bibliotekach publi-

---

[1]) Horányi Aleksius: „Nova memoria Hungarorum", Pest., 1792.

cznych i prywatnych; pojmując jednak całą ich niedostateczność, a wyjechawszy na czas dłuższy zagranicę, skorzystał z niewyczerpanych skarbów Muzeum brytańskiego i Królewskiego stowarzyszenia geograficznego w Londynie, tudzież Biblioteki narodowéj i Archiwów kolonialnych w Paryżu, by podjąć i przeprowadzić najściśléj dokładne poszukiwania wszelkich szczegółów, dotyczących Beniowskiego, jakoteż wszystkiego, co kiedykolwiek napisano o jego życiu i działalności. Kierowała nim chęć skombinowania prawdy z tu i owdzie rozproszonych o Beniowskim notat: odrzucenie licznych fałszów, podyktowanych przez stronniczość, służalstwo i osobiste widoki jednostek, a systematyczne, surowéj krytyce poddane ugrupowanie faktów, istotnie zasługujących na wiarę.

Rezultaty swéj pracy wydrukował najpiérw w czasopiśmie *Századok* („Stulecia") w Peszcie w 1891 r., poczém wyszły w oddzielnéj broszurze drukiem i nakładem tamecznego miesięcznika *Athnaeum* p. t.: *A gróf Benyovszky-irodalom anyagáról* („O materyałach do literatury o hr. Beniowskim") i o nich to właśnie, jako godnych uwagi szerszego ogółu, pomówimy tu słów kilka.

Wiadomo, że Beniowski zainteresował sobą świat naukowy głównie jako kolonizator Madagaskaru. Urodzony w 1741 r., po różnych burzliwych przejściach w młodości, dostał się 1769 r. na Kamczatkę, gdy stamtąd płynął do Francyi 1771 r., głównemi etapami jego podróży były wyspy: Formoza, Makao i Madagaskar. Pierwsza z nich tak go zachwyciła klimatem, pięknością przyrody, obfitością flory, fauny,— że zaczął myśléć o założeniu na niéj osady europejskiéj. Za przybyciem do Paryża przedstawił tę myśl Ludwikowi XV-mu; ten zaś, wysoko oceniwszy jego zdolności, poruczył mu uformowanie francuskiéj kolonii nie na Formozie wprawdzie, lecz na Madagaskarze. Beniowski, spragniony życia czynnego, nie zważając na zabójcze dla europejczyków powietrze téj wyspy, chętnie zadania się podjął. Zaciężyło mu ono jednak wkrótce, gdyż wstrętném było dla niego dobrodziejstwa cywilizacyi siłą autochtonom narzucać. Rozumném i pełném taktu postępowaniem zdobył sobie niebawem wielką ich miłość, tak, że postanowili swój los powierzyć jego rękom i ogłosili go władcą najwyższym wszystkich plemion, czyli t. zw. *ampansacabé*'m. Oczywiście położenie Beniowskiego stało się przez to nieco drażliwém: nie chciał zawieść położonego w sobie zaufania krajowców, ale z drugiéj strony szło mu także o wycofanie się z honorem z włożonych nań przez Francyę zobowiązań. Zobowiązania te, co prawda, moc swoją same przez się poniekąd traciły, wobec zazdrosnéj niechęci, jaką niemal od pierw-

széj chwili okazywał Beniowskiemu gubernatorski zarząd z Ile de France. Wbrew umowie, nie dawano mu stamtąd żadnéj pomocy, żadnych zbrojnych posiłków podczas krwawych zawichrzeń między plemionami Madagaskaru, w pierwszych latach jego tam pobytu, — a ilekroć zjawiła się odpowiednia ku temu sposobność, snuto przeciwko niemu intrygi.

Ażeby się usprawiedliwić z rozmaitych zarzutów, a bardziéj jeszcze dla tém skuteczniejszego poparcia sprawy dobrowolnych swoich poddanych, udał się Beniowski osobiście do Paryża, gdzie usiłował przekonać króla i ministrów, że misya ciwilizatorska o wiele szlachetniéj będzie przeprowadzona sposobami łagodnemi, bez krwi przelewu i bez nakładania na krajowców pęt zależności i wyzysku. Słowem, zaproponował Francyi w miejsce kolonii przymierze z Madagaskarem, tudzież przyjęcie nad tą wyspą zwierzchniéj opieki, patronatu w obliczu innych państw europejskich. Ale Francyi bynajmniéj nie chodziło o dopełnienie jakiegoś wzniosłego apostolstwa oświaty, — Francya poprostu chciała mieć korzystną osadę na Madagaskarze, nie potrzebującą w niczém rachować się z krajowcami, szerzącą nad nimi swój wpływ i przemoc bezwzględną, — a nadewszystko wielce dogodną dla polityki kolonialnéj z powodu żyzności tamtejszego gruntu i znakomitego położenia geograficznego.

Beniowski, dostawszy odprawę, pojmując dobrze, iż wobec rozbudzonego apetytu Francuzów, Madagaskar nie ostoi się bez protektoratu innego z mocarstw europejskich, zwrócił się ze swoim projektem gdzieindziéj. Ale chwila była po temu nieodpowiednia. Anglia i Austrya, na które najwięcéj liczył, czém inném były zajęte: Józef II-gi wprawdzie uchylił banicyjny wyrok Maryi Teresy, i zaszczycił go rangą pułkownika w swojém wojsku, lecz na plany jego nic nie odpowiadał. Zasmakowawszy w życiu mniéj powszedniém, a przytém czując w sobie prawdziwe powołanie kolonizatorskie [1]), udał się Beniowski jeszcze do Ameryki, chcąc szukać poparcia w Stanach Zjednoczonych. I tam jednakowoż niewiele uzyskawszy, wrócił na Madagaskar, z silném postanowieniem stawiania czoła wszelkim trudnościom, czemu nie-

---

[1]) Kapitan Stevens, który część życia przepędził na Formozie i jéj morzach, doskonale znał szczegóły pobytu Beniowskiego na téj wyspie, i potwierdza w swéj pracy: „Travels of Benyovszky, with his proceeding in Formoza" wszystko, co Beniowski o niéj pisał, a jego samego zwie żołnierzem pełnym honoru, mówiącym i piszącym zawsze rzetelną prawdę. Najważniejszy zaś nacisk czyni na to, że przy każdém zetknięciu się z obcym, nieucywilizowanym ludem, Beniowski marzył o założeniu wśród niego kolonii europejskiéj, i starał się przychylnie go usposobić do przyjęcia stosunków z europejczykami.

chętni Francuzi wzburzyli lud przeciwko niemu i zabili go 23-go maja 1786 roku.

Takim jest pokrótce opowiedziany przebieg tego życia, zdumiewającego niewyczerpanym zasobem pomysłów, odwagi oraz zapału dla dobra ludzkości. To, o czém inni najczęściéj tylko rozprawiać umieją efektownie, Beniowski naprawdę urzeczywistnić pragnął, z iście rozrzutnym nakładem sił własnych, zdrowia, trudów nieustannych i pasowania się z niezliczonemi przeszkodami.

Jasną jest rzeczą, że pierwszą i ostatnią przyczyną niepowodzeń Beniowskiego była zawiść Francuzów, gospodarujących na Ile de France. Mieli oni już i przedtém stosunki handlowe z Madagaskarem, lecz w stosunkach tych odgrywali rolę główną, przewodniczącą: z chwilą zaś, gdy ster kolonizacyi na wielką skalę Beniowski samodzielnie tam objął, — ogarnęła ich obawa, że Ile de France nie wytrzyma konkurencyi, ulegnie ruinie, a oni sami utracą wszelki osobisty wpływ i znaczenie w polityce kolonialnéj. Dlatego to, żeby temu przeszkodzić, jęli się nieuczciwego środka kłamliwych insynuacyi, które przesyłane do Francyi, niebawem znalazły posłuch, a po części i wiarę w całéj Europie.

Największe wrażenie wywarło powszechnie dzieło księdza Rochon'a, wydane w Londynie 1792 r., *A voyage to Madagascar and the East-Indies* (przekład z francuskiego). Wyglądało ono zupełnie jak gdyby odpowiedź na pamiętniki Beniowskiego, które ukazały się na rok przedtém: odpowiedź, twierdząca, że od początku do końca, zarówno w opisach podróży, jak pobytu na Madagaskarze — nie ma w nich ani słowa prawdy. Ks. Rochon, dłuższy czas przebywając na Ile de France, przejął się zupełnie dążnościami tamtejszego rządu, a przeto dzieło jego jest szczytem namiętnéj stronniczości, jak to już dowodnie wykazali nietylko angielscy pisarze: Copland, Ellis, ale i francuscy: Carayon, Lacaille [1]). Za Rochon'em poszedł wprawdzie ślepo współczesny jeszcze pisarz i podróżnik angielski, kapitan Oliver, w swojém dziele: *Madagascar, an historical and descriptive account of the Island and its former dependencies*, — ale świadczy to jedynie, iż nie przedsiębrał on żadnych samodzielnych studyów o Beniowskim; powoływanie się zaś jego na Copland'a najwymowniejszym jest dowodem płytkości, z jaką przedmiot traktował. Gdyby znał dzieło tego autora, nie

---

[1]) Samuel Copland, „A History of the Island of Madagascar", London, 1822; Rev. William Ellis, „History of Madagascar", London, 1838; Carayon L., „Histoire de l'etablissement français de Madagascar pendant de la restauration", Paris, 1845; Louis Lacaille, „Connaissance de Madagascar", Paris, 1863.

przytaczałby go na poparcie zdań Rochon'a, bo wszak Copland wyraźnie Beniowskiego broni.

Drugim autorem, odmawiającym Beniowskiemu wszelkiéj wiarogodności był Meusel [1]), profesor historyi w Erlangen. Zarzuty jego jednak, nieusprawiedliwione żadnemi dowodami, były zbyt powierzchowne i ogólnikowe, ażeby je można brać na seryo.

Oprócz tych dwóch głównych przeciwników, wielu innych jeszcze znajdowało upodobanie w zaprzeczaniu autentyczności żeglugi Beniowskiego wzdłuż wschodnio-południowych brzegów Azyi: istnieją jednak dokumenty, służyć mogące w tym razie za niezbite dowody. W pierwszym rzędzie postawić tu należy pisma Riumina i Stepanowa, towarzyszących Beniowskiemu od saméj Kamczatki. Stepanow wprawdzie, rozłączywszy się z nim na Makao, wspomnienia swoje spisywał dopiéro późniéj z pamięci, nie mogą więc one być bez pewnych niedokładności w datach, nazwiskach i różnych szczegółach, — a może nawet i umyślnie naciągniętych przekręcań (wiadomo bowiem, że Stepanow, płonąc afektami ku Afanazyi Niłow, osobiście nienawidził Beniowskiego, jako szczęśliwszego rywala), lecz niemniéj praca jego [2]) świadczy o tém, że podróż istotnie miejsce miała. Nierównie ważniejszym jeszcze dokumentem jest sprawozdanie kancelisty Riumina: ten bowiem towarzyszył Beniowskiemu do samego Paryża, a zanim przez Petersburg napowrót na Kamczatkę odesłany został, w czasie żeglugi sporządzony opis podróży doręczył ruskiemu posłowi w Paryżu. Rzecz ta wyszła po rusku w r. 1822, poprzedzona długim i zajmującym wstępem Berga [3]). Riumin, jakkolwiek odmawia Beniowskiemu trafności w jego niektórych opiniach o Syberyi, najzupełniéj jednak zgadza się z jego opisem miejsc, jakie razem zwiedzali, przygód różnych, tudzież zachowania się Beniowskiego w ciągu całéj przeprawy.

Największe niedowierzanie wzbudzał jego pobyt w Japonii, a to głównie dla czterech szczegółów, jakie w swoim pamiętniku przytacza: okolica, do któréj przybył, miała się nazywać Kami, przystań sama— Uzilpatkar, Japończycy mieli rzucać okrzyki: *ulán! ulán!* a narodową ich chorągiew zdobić miały dziwne jakieś znaki, z alfabetem ja-

---

1) Prof. K. Meusel, „Vermischte Nachrichten", Erlangen, 1816.

2) Stepanow z Makao dostał się na Batawię, gdzie w nędzy dokonał życia. Na krótko przed śmiercią wręczył on swoje pamiętniki duchownemu tamtejszemu, Metzlaerowi: ten streścił je w języku holenderskim, i wydrukował w jednym z tygodników amsterdamskich, skąd dostały się następnie do styczniowego numeru „Journal Encyclopedique", 1789 r.

3) Riumin. Записки канцеляриста Рюмина о приключеніяхъ его съ Беніовскимъ. Petersburg, 1822.

pońskim nic nie mające wspólnego. Nazwy te, wyrazy i znaki wydawały się wszystkim poprostu dowolną kompozycyą Beniowskiego: dr. Jankó jednak nader ciekawych udziela tutaj objaśnień. W paryskiém muzeum Guimet'a (historyi i wyznań wschodniéj Azyi) zbadał on te szczegóły z pomocą dr. Kavamury, gruntownego znawcy języka, historyi i stosunków japońskich — i obadwaj doszli do szczęśliwego rozwiązania tych zagadek. A mianowicie:

1) W spisie posiadłości japońskich z XVII w. znaleźli nazwisko Kami, odnoszące się do pewnego okręgu prowincyi Oosju; ta zaś znaną już była w Europie w XVII-ém stuleciu, a i samo Kami nawet wspominane było w początku XVIII-go stulecia w dziele Engelberta Kaempfnera: *Histoire Naturelle, civile et ecclésiastique de l'émpire de Japon.*

2) Trudniéj było wylegitymować pochodzenie nazwy Uzilpatkar. Istnieje wprawdzie w japońskim języku wyraz *Uzi* [1]), lecz pierwiastku *pa*—w całém narzeczu nie ma. „Nie zadawalniając się zatém źródłami japońskiemi—pisze dr. Jankó — przejrzeliśmy dokładnie pod jakiemi nazwami miejsce to figuruje na rozmaitych mapach. I cóż się pokazało: oto, że już na mapie Vries'a z r. 1643 wyraźnie stoi w danéin miejscu napis: Schilpads. Na późniejszych także atlasach Charlevoix'a, King'a, Broughton'a powtarza się ta nazwa w różnych przekształceniach,—Beniowski więc zmienił ją także po swojemu, dodając na początku krajowy, japoński pierwiastek (zamiast: *schil, syl — uzil*)."

3) Wyrazu „ulan" w całym słowniku japońskim wprawdzie nikt nie znajdzie, ale dr. Kavamura zapewnia, iż jestto ogólnie przyjęty u rybaków japońskich wykrzyknik: kończą się nim nawet zwrotki niektórych piosnek ludowych.

4) Co zaś do znaków na sztandarze — nie pochodzą one ani z japońskiego, ani z chińskiego alfabetu: tylko są to poprostu zjaponizowane, sanskryckie jakieś cyfry, przez budyjskich kapłanów do Japonii przeniesione, i używane w charakterze tajemniczych dewiz na chorągwiach, szablach, frontonach wspanialszych budynków i t. p. Wszystkich tych szczegółów nie byłby mógł Beniowski znać i o nich pisać, gdyby w Japonii nie był.

Niemniejsze wątpliwości ogarniały krytyków Beniowskiego co do odkrytéj przez niego wyspy Uzmay Ligon. Rzeczywiście nazwa ta na żadnéj mapie spotykać się nie daje, jestto bowiem—jak tego późniéj dowiódł Siebold (*Geschichte der Entdeckunden*, etc. Leiden,

---

[1]) Uzi w jap. języku znaczy okrąg, powiat: Kami-uzi, Simo-uzi i t. p.

1852)—miejscowe miano wyspy Ohosimy, największéj z archipelagu Liu-Kiu. Wspomina o niéj zresztą i Riumin, zowiąc ją po swojemu Batimskiem, co na poparcie tutejszych dowodzeń służyć może o tyle, że i Wiliam Damper w swojéj podróży naokoło świata opisuje wyspę Base, albo Basche, zaliczając ją do wyżéj wzmiankowanego archipelagu.

Podawano w wątpliwość pobyt Beniowskiego na Formozie nawet, tudzież na Makao—to jednak dostatecznie już wyjaśnił Stevens, a także i Nicholson, przytoczywszy we wstępie do „Podróży" kilka odnośnych dokumentów.

O ile pierwsza część „Pamiętników" Beniowskiego tyle wzbudzała niedowierzań, i dała powód do tak licznych polemik,—drugiéj, opisującéj pobyt na Madagaskarze, nikomu nie przyszło na myśl zarzucać kłamstwa (oprócz jednego tylko Rochon'a). Froberville, znakomity badacz Madagaskaru z pierwszéj ćwierci bieżącego stulecia, czyni słuszną uwagę, że wszystkie fakta, przytaczane przez Beniowskiego, muszą być prawdziwe, skoro nieodstępny jego tłómacz francuski, Mayeur, człowiek wręcz przeciwnych Beniowskiemu dążności, wspomina je także wszystkie bez wyjątku—tylko oczywiście stara się je wystawić w inném oświetleniu. Za to bardzo jest podzielona opinia co do sposobu, w jaki Beniowski wywiązał się ze zleceń Francyi: tu jednak przedewszystkiém upewnić się trzeba, jakiemi te zlecenia były—i właśnie w wykryciu prawdziwych punktów umowy Beniowskiego z rządem francuskim leży największa zasługa i pożytek badań dr. Jankó.

W Muzeum brytańskiém znalazł on trzy manuskrypta nadzwyczaj zajmujące—i co ważniejsza, rzucające niemało światła na czyny i zamysły Beniowskiego na Madagaskarze.

Najstarszym z tych zabytków jest francuski oryginał pamiętników jego. Tu zaznaczyć się godzi, iż nie jestto własnoręczne jego pismo: stwierdzał je tylko w różnych miejscach swojemi podpisami. Ta sama ręka, która cały pamiętnik kreśliła, dodała też ów szczegółowy wstęp o dziejach Beniowskiego przed wyjazdem na Kamczatkę (mylnie sądzili niektóry, iż wstęp ten jest pióra wydawcy Nicholsona: prędzéj już Magellana, który na Madagaskarze zawiązał bliskie stosunki z Beniowskim, — ale i to zdaje się wątpliwém). Porównywując rękopis ten z angielskim przekładem, dostrzega się w tym ostatnim mnóstwo większych lub mniejszych zboczeń od myśli autora, zboczeń, których cel stanie się zaraz zrozumiałym, gdy sobie przypomnimy, że tłómaczem i wydawcą był Anglik. Np. taka różnica:

w angielskiém wydaniu:	w oryginale:
„Zobowiązali się (krajowcy) dzielnie bronić osady“... i t. d.	„Zobowiązali się dzielnie bronić francuskiéj osady przed każdym innym narodem“... i t. d.

Nicholson i Magellan nie mieli ochoty uwydatniać, że obrona ta mogła była w danym razie i przeciwko Anglikom się zwrócić. W tym samym duchu przeprowadzone są wszystkie inne zmiany, a nawet — jak się to z drugiego, przez dr. Jankó znalezionego dokumentu okazuje — coś więcéj jeszcze, bo rozmyślne zmniejszenie ważności zadania Beniowskiego, wciśnięcie go w ramy ciaśniejsze, wbrew słuszności i prawdzie.

Drugi ów dokument jestto wspaniała, w ponsowy safian ze srebrnemi ozdobami oprawna księga z napisem na okładce: *Protocolle du Regiment des Volontaires de Benyovszky, créé en 1772*, i drugim na pierwszéj tytułowéj karcie rękopisu: *Mémoire sur l'expedition de l'île Madagascar, concernant la formation de l'etablissement royal en cette île, dont l'execution et le commandement en chef ont eté confiés par sa Majesté à Monsieur le Baron de Benyovszky colonel proprietaire d'un corps de volontaires l'an 1772.* Są to prowadzone przez Beniowskiego urzędowe sprawozdania, przeznaczone dla francuskiego ministeryum marynarki. Wśród wielu zajmujących i nowych szczegółów, punktem głównie w nich uderzającym są słowa: „Jego królewskiéj mości życzeniem było, ażebym założył na Madagaskarze francuską kolonię, któraby rozkrzewiając się stopniowo — całą tę wyspę w posiadanie Francyi oddała...”

Tutaj więc oto znajdujemy odpowiedź na pytanie, jakiemi były zlecenia, nadane Beniowskiemu przez Francyę, a rozwiązanie téj zagadki zmienić musi zupełnie punkt wyjścia wszelkich o jego postępowaniu krytyk; pokazuje się stąd, iż zadanie to było o wiele trudniejszém od tego, jakie Beniowskiemu przypisuje angielskie wydanie jego pamiętników. Dlaczego pierwszy ich wydawca wolał zamilczéć o niém, a w tekście pozmieniać istotne zasady umowy Beniowskiego z rządem francuskim—to łatwo pojąć: jako czystéj krwi syn Albionu, starał się on zniweczyć wszelkie ślady pierwszeństwa roszczeń Francyi do Madagaskaru, aby nigdy nie nasyconéj polityce kolonialnéj własnego kraju nawet drukowanéj nie stawiać zapory, i Francuzom nie przyznać ani na jotę więcéj praw do téj wyspy, jak co najwyżéj posiadania na niéj kilku drobnych osad handlowych.

Dziwném jest tylko, że francuskie wydania opisu podróży i przy-

gód Beniowskiego napowrót z języka angielskiego na francuski tłómaczoném zostało, zamiast wprost według oryginału być drukowaném; świadczą o tém powtórzone w niém identycznie te same błędy i zmiany, jakiemi się angielskie odznacza.

Z protokułu tego i to jeszcze się uwidocznia, że Beniowski nigdy nie miał najmniejszego zamiaru czynić Francyi naprzekór przyjęciem najwyższéj władzy nad plemionami Madagaskaru; był on tylko człowiekiem roztropnym i nie chciał się stać igraszką w ręku intrygantów. Gdy wskutek zmiany tronu we Francyi kółko jego nieprzyjaciół uzyskało większą niż poprzednio władzę i do tego już nawet doprowadziło, iż rząd wysłał na Madagaskar dwóch komisarzy z poleceniem złożenia Beniowskiego z urzędu, wówczas dopiéro nie mógł się on oprzéć chęci pokazania, że i sam przez się pewną siłę stanowi i niesprawiedliwie krzywdzić się nie da, czego téż w pewnéj mierze dokazał, gdyż Francya, wzgardziwszy przymierzem z ampansakabe'm Madagaskaru, utraciła nazawsze widoki samodzielnego panowania nad tą wyspą.

Trzeci rękopis, znaleziony przez d-ra Jankó, jest właściwie zbiorem wielu drobnych notat, listów, sprawozdań poszczególnych, odnoszących się do ostatnich dwóch lat życia Beniowskiego, czyli do epoki, o któréj dotychczas bardzo niejasne i pobieżne krążyły wieści. Cały spory ten pakiet przywieźli Anglicy prosto z *Ile de France* (już jako z wyspy Ś-go Maurycego) po odebraniu jéj Francuzom, zająwszy ją dla siebie. Z cennych tych materyałów do życiorysu Beniowskiego najbardziéj zajmującym jest trzy kartki objętości mający opis nieznanego autora p. t.: *Historique de Benyovszky* 1784—1786.

Dowiadujemy się z niego, że Beniowski, udawszy się pod protektorat Stanów Zjednoczonych, za staraniem Beniamina Franklina postawiony został na czele handlowéj ekspedycyi amerykańskiéj, z którą miał się udać na Madagaskar. Wypłynął z Baltimore w czerwcu 1784 r. na okręcie „Intrepide” o 450 beczkach i 14-tu 4-o i 6-o funtowych armatach. Żeglugą dowodził kapitan David.

Francuzi, dowiedziawszy się o tém, zdołali w Filadelfii przekupić kapitana, który też umiał tak zamanipulować, że w pobliżu Brazylii okręt uległ znacznym uszkodzeniom i omało, że nie osiadł na mieliźnie. Beniowski ochronił załogę od katastrofy, okręt wyreperował i daléj, nie ufając już Davidowi, sam żeglugą kierował. Przybywszy na Madagaskar, zastał krajowców w rozdwojeniu, przez co w początkach niemało ucierpiał przykrości; otruto mu np. ukochanego szwagra, Heńskiego. Zwołał jednak naczelników wszystkich plemion na walną naradę, podczas któréj tak się umiał postawić, że dawna sympatya ku

niemu odżyła i nanowo potwierdzono go jednomyślnie w godności ampansakaby.

Jako taki — zaproponował stosunki handlowe zarządowi *Ile de France*, zastrzegł się przeciwko wywozowi niewolników z Madagaskaru i odciągnął na swoją stronę przedstawicieli dwóch głównych domów handlowych z Foulepoint—drobnéj francuskiéj stacyi na południu Madagaskaru, pp.: Guisquet'a i Boulay'a.

Stało się to powodem zawziętéj nienawiści dwóch naczelników rządowych rzeczonéj osady: Dumaine'a i Robinet'a de la Serve. Starali się oni najpierw podburzyć na Beniowskiego najpotężniejszego z dowódców miejscowych plemion, Hiávi'ego, a gdy te usiłowania spełzły na niczém, zażądali pomocy z *Ile de France*. Tam oczywiście nie ociągano się z wysłaniem jéj. Na wojennym okręcie „Lujza" przybył do Foulepointu pułk pondiszeryjski pod dowództwem Larcher'a, a równocześnie w najbliższem otoczeniu Beniowskiego knuto brzydką zdradę: jego tłómacz francuski, Mayeur, jął wmawiać w krajowców, że nadpłynie flota z wielkiém wojskiem przeciwko Beniowskiemu, które wszystkich jego stronników co do nogi wytępi. Postrach ten jednak wśród ciemnych mas tamecznych mniejszy wywarł skutek, niż hojne rozdawanie im wódki i lichéj broni palnéj przez tegoż Mayeur'a. Temi to genialnemi wynalazkami cywilizacyi—istnych cudów dokazywać można z ludami Afryki. Krajowcy, nie mogąc się oprzéć tak rozkosznym pokusom — tłumnie przechodzić zaczęli na stronę Francuzów, opuszczając uwielbianego do niedawna ampansakabę.

I oto, dzięki przekupstwu i spirytualiom, weszli Francuzi w głąb kraju i po krótkiéj rozpaczliwéj walce, Beniowski z dwoma zaledwie wiernymi towarzyszami niedoli poległ od kuli armatniéj. Zamek jego spalono do szczętu. W trzy dni dopiéro potém życzliwa dłoń zapóźno z pomocą przybyłego przyjaciela, La Salle'a, pochowała zwłoki nieszczęśliwego „władcy władców" Madagaskaru i zasadziła na jego grobie dwie płaczące wiérzby, które podobno do dziś dnia jeszcze podróżni mogą oglądać.

Z tego wszystkiego wynika poniekąd, że Francuzi nieciekawą w téj sprawie odegrali rolę i kto wié, czy bliska już przyszłość nie wykaże jasno, iż ów „condotier", awanturnik i t. d. — był jednak mężem tęgiego charakteru, łączącym w sobie waleczność rycerza z podniosłemi ideami cywilizatora, ideami, o których wprawdzie nie deklamował szeroko w rozprawach ani poematach, ale za które młodość swoją, krew, a w końcu i życie położył w ofierze.

Doktór Jankó, dzięki swym poszukiwaniom, podziela to mniemanie; w tym celu zbiéra o Beniowskim jeszcze z innych krajów wiadomości, dotyczące głównie najwcześniejszéj epoki czynnego jego życia i zamierza skréślić o nim wyczerpującą monografię, któraby go wobec całego świata wzniosła na taki piedestał, na jakim już sto lat temu znakomity dyplomata Wadstrom ku jego pamięci wyryć kazał słowa: *Magnis tamen excidit ausis.*

B. Jaroszewska.



Z TEORYI I FAKTÓW PRZYRODNICZYCH.

Protoplazma i jądro. — Wpływ jądra na wzrost komórki. — Protoplazma z jądrem i bez jądra. — Wpływ jądra na ruch i trawienie komórki. — Złożoność komórki.— Komórka jajowa. — Rozwój i dziedziczność. — Teorya preformacyi i epigenezy. — Nowsze teorye. — Idyoblasty. — Teorya dziedziczności Hertwiga. — Jądro jako substrat cech dziedzicznych.

W organizmie żyjącym wszystkie dające się morfologicznie wyróżnić części składowe, koniecznie oddziaływać muszą wzajemnie w sposób określony, prawidłowy. Wykrycie tych zobopólnych wpływów stanowi zadanie nader trudne, któremu gorliwie oddają się spółcześni biologowie. Ostatnie lata przyniosły téż istotnie zadziwiająco bogaty plon naukowy na têm polu, tak iż nadeszła chwila, kiedy rosproszone rezultaty poszczególnych badań domagają się zespolenia, ugrupowania, w którém dojrzéć by można ogólne wyniki, a jednocześnie i luki, jakie w dalszym ciągu postępu wiedzy zapełniać wypadnie. Zwłaszcza pilną zwrócono uwagę na te elementarne, najprostsze objawy organizmów, których siedliskiem jest oddzielna komórka lub najwyżéj niewielki agregat komórek. Dzięki téż pracy botanika wiedeńskiego Wiesnera, posiadamy dzieło, które streszcza w sobie stan obecnéj wiedzy w dziedzinie morfologii komórki i tkanek [1]); anatomowi zaś berlińskiemu, O. Hertwigowi zawdzięczamy przedsta-

[1]) Wiesner, Die Elementarstructur und das Wachsthum der lebenden Substanz. 1892.

wienie współczesnych poglądów na anatomię i fizyologię komórki [1]. Na pierwszy plan w dziedzinie tych badań występują usiłowania dokładnego poznania udziału protoplazmy i jądra komórki. Jest to oś, do koła któréj większa część zadań się obraca, cel, do którego dąży przeważna liczba badaczów. Lecz gdy rola protoplazmy dość jasno się przedstawia i mniéj przeto przysparza nauce kłopotu, inaczéj jest z jądrem komórki. Ważny ten „organ" komórki był i jest ustawicznie przedmiotem tylu poszukiwań, podejmowanych z najrozmaitszemi celami i przy stosowaniu najróżnorodniejszych metod, że jednakże obecnie — choćby najogólniéj streszczając rezultaty odnośnych badań — można już sobie wyrobić pewne pojęcie o doniosłości jego i znaczeniu.

Z rozległych i niezmiernie ważnych poszukiwań Haberlandta wynika, że w młodych, rozwijających się komórkach roślinnych jądro zazwyczaj znajduje się w pobliżu miejsca, w którém wzrost najżwawiéj się odbywa lub trwa najdłużéj. Dotyczy zaś to nietylko wyrastania saméj komórki, lecz i otaczającéj jéj błony. Gdy zaś w komórce więcéj niż jedno miejsce wskazuje fazę intensywnego wzrostu, wówczas jądro przybiera takie centralne położenie, iż w przybliżeniu jednakowo jest oddalone od wszystkich ognisk téj przyśpieszonéj reakcyi życiowéj. Nie tylko wszakże wzrost, lecz i inne objawy osobniczego rozwoju komórki zachodzą przy widocznym i rostrzygającym udziale jądra. Można łatwo obserwować, jak z mniéj lub więcéj centralnego swego położenia jądro wypuszcza liczne wyrostki ku miejscom, w których odbywa się pobieranie pokarmu przez komórkę lub wydzielanie zużytych części składowych.

Długi szereg spostrzeżeń Grubera, Nussbauma, Verworna, Klebsa i innych skierowany był ku zbadaniu własności części komórek, w których pozostawiono jądra i takich, które jądra były pozbawione. W rozmaity sposób udaje się podzielić jednokomórkowy organizm tak, ażeby jedna część zachowała jądro, druga zaś składała się tylko z protoplazmy. Otóż jakkolwiek ta druga część — w badaniach Klebsa nad nićmi wodorostu Spiragyra — niekiedy pozostawała jeszcze przy życiu przez jakie sześć tygodni, to jednakże wskazywała przez ten czas objawy odmienne od części jądrowéj. Połówka z jądrem wzrasta w dalszym ciągu i wkrótce otacza się normalną błonką, bezjądrowa zaś pozostaje w kulistéj swéj postaci, nie powiększa się

---

[1]) Hertwig. Die Zelle und die Gewebe. Grundzüge der allgemeinen Anatomie und Physiologie. Wydany dopiéro piérwszy tom poświęcony jest wyłącznie anatomii i fizyologii komórki.

i nie jest w stanie wytworzyć błony. Pewne ważne dla życia zjawiska zachodzą jeszcze, co prawda, i w kawałkach pozbawionych jąder. Przyswajają one jeszcze pokarm, są w stanie tworzyć mączkę i skupiać ją w sobie, jeżeli tylko zachowały część wstążki chlorofilowéj. Lecz na tém właściwie kończy się całe ich życie. Jestto prawdziwa wegetacya osobnicza, w przenośném tego wyrazu znaczeniu; komórka nie rośnie i nie wydaje potomstwa, nie dzieli się i nie regeneruje utraconych organów, lecz powoli wyczerpuje swą energię życiową i wreszcie ginie. Podobne rezultaty otrzymano w analogicznych doświadczeniach z komórkami zwierzęcemi, z amebami, wymoczkami i korzenionóżkami Tylko te części komórek, w których pozostały jądra, odzyskują, wytwarzają nanowo to, co utraciły, regenerują się i powracają do pierwotnego stanu doskonale ukształconych organizowanych jednostek. Części natomiast bezjądrowe, choćby nawet były większe, niż jądrowe, nie są w stanie ani rosnąć, ani powrócić do stanu normalnego, ani rozmnażać się; wiodą one przez czas pewien niby letargiczne życie i wreszcie rozpadają się.

Twórcza przeto działalność protoplazmy przedewszystkiém zależy chyba od jądra; tylko pod wpływem jądra może zachodzić przyrost protoplazmy. Mniéj atoli pewném jest oddziaływanie jądra na inne czynności komórki: na jéj zdolności ruchowe, pobudliwość, lub procesy trawienia. W tym względzie poglądy rozmaitych badaczów dość są rozbieżne. Badając ameby, postrzegał Hofer, iż często bez jąder po dokonanéj operacyi ich odcięcia jeszcze przez 15—20 minut wykonywały dość normalne ruchy. Uczony ten upatruje w tém pewien następczy wpływ jądra, któremu przypisuje bezpośrednie oddziaływanie na ruchy protoplazmy. Gdy bowiem w następstwie część, któréj pozostawiono jądro, wyciąga swe nibynóżki i porusza się jak normalny osobnik, bezjądrowa tymczasem, skuliwszy się w kłębek, leży spokojnie i niekiedy tylko, po całogodzinnych pauzach, wstrząsa swém ciałem. Co się tyczy funkcyi trawienia, to i tutaj Hofer i Verworn spostrzegali duże różnice. Kiedy części jądrowe protoplazmy trawiły w sposób normalny, w bezjądrowych natomiast czynność ta znacznie słabła, zarówno co do czasu wymaganego na strawienie, jak i intensywności. Możnaby z tego wnosić, że pod wpływem i współdziałaniem jądra protoplazma energiczniéj wytwarza trawiące wydzieliny.

Nie dość wszakże, że jądro tak ważną odgrywa rolę w osobniczém życiu komórki, nie dość, że reguluje ono najważniejsze sprawy żywotne i rozstrzyga o istnieniu żywéj materyi w indywidualnéj jéj postaci, lecz nowsze spostrzeżenia i hypotezy przemawiają jeszcze za

têm, iż przypada mu także udział niezmiernie ważny w zjawisku dziedziczności.

Zdolność komórki do wykonywania ruchów, odpowiadania (reagowania) na najrozmaitsze bodźce — mechaniczne, cieplikowe, chemiczne i świetlne — zdolność do sprawiania najzawilszych reakcyi chemicznych i wytwarzania licznych produktów chemicznych — to wszystko przemawia za têm, że komórka jest ciałem bardzo skomplikowanie złożonêm, zbudowanêm z licznych, najdrobniejszych części, przedstawiającêm niejako elementarny organizm. W przekonaniu têm jeszcze więcéj utwierdza nas okoliczność, iż z połączenia komórki jajowéj i nasiennéj tworzy się podstawa dla rozwoju organizmu, który reprodukuje w sobie własności rodziców i to często w najdrobniejszych, indywidualnych rysach. W jajowéj i nasiennéj komórce muszą przeto być zawarte wszystkie warunki, niezbędne do wytworzenia ostatecznego produktu rozwojowego. Komórki płciowe muszą koniecznie być uposażone w liczne, ukryte dla nas cechy i własności, których współistnienie umożliwia powstanie nowego organizmu. Ukryte te, utajone właściwości komórek płciowych ujawniają się dopiéro w miarę postępowania precesu rozwojowego. Można wszakże powiedziéć, że dzięki nim właśnie, cały organizm tkwi niejako już w zarodkowym stanie w komórce płciowéj, że jest on tu zawarty *in potentia.*

W pewnêm stadyum rozwoju wszystkie organizmy niezmiernie są do siebie podobne, wówczas mianowicie, gdy przedstawiają pojedyncze komórki. Jajeczko ludzkie, jaje zwierzęcia przeżuwającego, a nawet niektórych zwierząt bezkręgowych nie są istotnie różne od siebie. Różnice pomiędzy niemi są w każdym razie znacznie mniejsze, aniżeli różnice pomiędzy jajeczkiem z komórką, nasienną jednego i tego samego organizmu, lecz przy bliższêm wejrzeniu takie podobieństwa i różnice formalne nie wielkie mają znaczenie. Skoro bowiem człowiek, zwierzę przeżuwające i bezkręgowe po zupełnêm rozwinięciu się przedstawiają liczne i bardzo głębokie pomiędzy sobą różnice, przeto i pochodzące od nich komórki płciowe, stanowiące zarodki wydoskonalonych stanów, w odpowiedni sposób różnić się muszą od siebie. Tych różnic my tylko dostrzedz nie potrafimy, gdyż znajdują się one na ukrytych dla nas terytoryach. Z drugiéj zaś strony zgodzić się trzeba na to, że komórki jajowe jednego i tego samego organizmu, tak na zewnątrz różne pomiędzy sobą, w istotnych swych właściwościach niewiele muszą się różnić, stanowiąc wspólnie zarodek przyszłego żywego tworu. Słusznie powiada Nägeli: „Komórki jajowe zawiérają w sobie wszystkie istotne cechy, podobnie jak i rozwinięty organizm i w postaci komórek jajowych organizmy nie mniéj różnią się od siebie, niż w stanie rozwinię-

tym. W jajku kurzém tak samo zawarty jest całkowicie gatunek, jak i w kurczęciu, a jajko kurze tyleż różni się od jajka żabiego, co kurczę od żaby."

Lecz oto nastręcza się nam z konieczności pytanie: jak téż wyobrażać sobie należy owe niewidoczne cechy komórek, dzięki którym powstaje złożony organizm ze wszystkiemi swemi właściwościami, w jakim pozostają względem siebie stosunku te utajone zarodkowe własności i cechy ostatecznie rozwiniętego stanu roślinnego lub zwierzęcego? Innemi słowy, chodzi nam o sformułowanie teoryi rozwoju i dziedziczności i tutaj właśnie nowsze badania znów zwracają naszą uwagę na udział jądra w życiu komórki. Zanim wszakże tę sprawę tu wyjaśnimy w świetle poglądów O. Hertwig'a, słów kilka jeszcze wprzódy o dawniejszych i nowszych teoryach rozwoju [1]).

Do początku naszego stulecia dwa wprost przeciwne stanowiska zajmowały: teorya preformacyi (dawniéj ewolucyi) z jednéj strony i teorya epigenezy z drugiéj.

Teoryi preformacyi hołdowali Swammerdam, Malpighi, Leenwenhoek, Haller i Spallanzani. Według nich, zarodek w budowie swéj najzupełniéj jest zgodny z doroslym organizmem i posiada od samego początku te same organy w tém samém położeniu i wzajemnym stosunku, co rozwinięty osobnik, lecz tylko w znacznie mniejszéj postaci. Nie ma przeto, według téj teoryi, właściwego rozwijania się całego organizmu z części o funkcyach odmiennych, niż w doskonałym osobniku, nie ma istotnego urabiania się organizmu; wszystkie organy istnieją od samego początku, powstają współcześnie i stopniowo, równolegle się rozwijają. Teorya epigenezy twierdziła natomiast, że na samym początku zarodek jest materyą nieorganizowaną, która dopiéro wskutek zapłodnienia powoli się organizuje podczas procesu rozwojowego. Jeżeli teorya preformacyi sama w sobie mieściła już zagadki, których ani dowieść nie było można, ani oprzéć na nich prawdziwie naukowego rozumowania, to z drugiéj strony i teorya epigenezy w pierwotnéj swéj formie nie mogła zadowolić umysłów krytycznych. Nie umiemy sobie w żaden sposób wytłómaczyć, jak przy pomocy znanych nam sił przyroda jest w stanie w ciągu kilku dni lub tygodni stworzyć organizm zwierzęcy z materyi nieorganizowanéj.

Dopiéro rozwój nauki o komórce wniósł nowe poglądy w dziedzinę omawianych tu badań i pozwolił nierozstrzygnięte zadanie rozwoju i dziedziczności — jeżeli nie rozwiązać całkowicie, to przynajmniéj jasno sformułować i wynaléść drogi, po których dalsze prace powinny

---

[1]) Oscar Hertwig. Aeltere und neuere Entwicklungstheorien. 1892.

były kroczyć ku należytemu wyświetleniu téj odwiecznéj zagadki. Z téj najnowszéj fazy dziejów wiedzy biologicznéj wymienić należy przedewszystkiém imiona Darwina, Spencera, Nägeliego, Hertwiga, Strasburgera, Weismanna i de Vries'a.

Liczne owe właściwości, jakie dostrzegamy w rozwiniętym organizmie, zawarte są w zarodkowym stanie w płciowych produktach. Przenoszą się one z rodziców na wytwór płodzenia i mogą być przeto uważane jako prawdziwa materya dziedziczna (idyoplazma Nägeliego). Każde płodzenie i każdy akt rozwojowy jest więc nie wytworzeniem czegoś zupełnie nowego, nie epigenezą, lecz przekształceniem, przeobrażeniem zarodka—t. j. substancyi wyposażonéj w siły potencyalne—w rozwinięty organizm, który znów z kolei wyrabia w sobie zarodki, podobne do tego, z którego sam powstał. W przeciwstawieniu do wydoskonalonego organizmu jako makrokosmu materya dziedziczna jest mikrokosmem, złożonym z licznych, prawidłowo ułożonych, różnorodnych cząstek, które obdarzone są specyficznemi siłami i są siedliskiem dziedzicznych właściwości. Podobnie jak roślina i zwierzę dają się rozłożyć na miliardy elementarnych cząstek — komórki, tak znów każda komórka znów składa się z niezliczonych, drobnych, hypotetycznych pierwiastków. Owe hypotetyczne jednostki obdarzone zostały oddzielnemi nazwami. W prowizorycznéj swéj hypotezie pangenezy Darwin nazywa je zarodeczkami *(gemmulae)*, Spencer w swych „Zasadach biologii" mówi o jednostkach fizyologicznych, Nägeli o cząstkach idyoplazmy (grupach micelowych), a de Vries o pangenach. Te hypotetyczne idyoblasty—tak je dziś ogólnie nazywają—nie dają się ściśle zdefiniować. Nie są to pojęcia tak jasne, jak np. pojęcia atomów i cząsteczek, któremi posługuje się fizyka i chemia. Hertwig porównywa je z literami alfabetu, które w różnorodnych swych kombinacyach tworzą wyrazy, z których znów przez różne kombinacye powstają zdania o rozmaitém znaczeniu. Można je téż porównać z tonami, których kombinowanie wydaje moc najrozliczniejszych syntez harmonijnych. Nägeli wyobraża sobie, że wszystkie cechy, organy, urządzenia, funkcye, które dostrzegamy dopiéro w bardzo złożonéj formie, rozłożone są w idyoplazmie na istotne pierwiastki, na najprostsze swe części składowe, na elementy.

Sprobujemy nabrać pojęcia o przybliżonéj wielkości (wymiarach) i liczbie tych nikłych idyoblastów. Muszą one oczywiście być niezmiernie drobne, skoro w jedném ciałku nasiennem mają być zawarte wszystkie dziedziczne zarodki zawile ułożonego organizmu, Nägeli wychodzi z założenia, że hypotetyczny wzór białka podawany przez chemików, a złożony z 72 atomów węgla, 106 atomów wodoru, 18 azotu, jednego atomu siarki i 22 tlenu, nie przedstawia istotnie jednéj

cząsteczki białka, lecz krystaliczną grupę micelową, złożoną z większéj liczby cząsteczek. Absolutny ciężar takiéj grupy wynosi trylionową część 3,53 miligrama. Ciężar właściwy białka wynosi 1,344. Wynika stąd, że jeden sześcienny mikromilimetr (tysiączna część milimetra zawiera w sobie 400 milionów grup micelowych. Nägeli oblicza daléj, że objętość takiego micelu równa się 0,0000000021 sześciennego mikromilimetra. Przypuszczając, że grupy micelowe mają pryzmatyczną formę i że od siebie oddzielone przez warstwy złożone z dwu cząsteczek wody, dochodzimy do wniosku, że na powierzchni 0,1 kwadratowego mikromilimetra znajduje się 25000 miceli. Podobne obliczenia nie mają wprawdzie zupełnie realnego gruntu, lecz bądźcobądź wskazują, że nie napotykamy w tym względzie na trudności dla naszego pojmowania większe niż te, z któremi mamy do czynienia w sferze atomów i cząsteczek. Przytém wszakże prowadzą do pewniejszego uzasadnienia molekularno-fizyologicznéj teoryi rozwoju i dziedziczności, co oczywiście z jednéj strony uprzystępnia umysłowi zjawiska biologiczne, z drugiéj podnosi urok współczesnego mechanicznego kierunku w badaniu objawów życia. Wszystko zaś to zdąża do mocnego utrwalenia w nauce poglądu na elementarną budowę ciała roślin i zwierząt i zmusza do bliższego wejrzenia w istotne fizyologiczne znaczenie już nie tylko części tkanek t. j. komórék, lecz składowych części tych ostatnich. I oto, idąc tym szlakiem naturalnego rozwoju poglądów na dziedziczność, kilku badaczów współczesnych dochodzi do wypowiedzenia mniemania, że w jądrze komórki szukać należy właściwego siedliska objawów dziedzicznych.

Oskar Hertwig stara się taki pogląd uzasadnić, powołując do pomocy kilka dowodów, które zapewne z czasem dopiéro dadzą się należycie ocenić.

Komórka jajowa i nasienna stanowią dwie odpowiadające sobie jednostki, z których każda obdarzona jest wszystkiemi cechami dziedzicznemi, właściwemi danemu gatunkowi i każda przeto przekazuje płodowi jednakową ilość dziedzicznéj masy. Dziecię jest produktem zmieszania obojga rodziców; otrzymuje ono od matki i od ojca jednakowe ilości idyoblastów czyli czynnych cząsteczek, które stanowią substrat dziedzicznych właściwości. Gdy wszakże zważymy różnorodność morfologiczną pomiędzy komórką jajową a nasienną, trudno nam będzie dojrzéć na razie w obudwu tych zasadniczych pierwiastkach przyszłego organizowanego tworu ów równy udział obojga rodziców. Jedynemi równowartościowemi elementami w jajku i ciałku nasienném są jądra i w nich przeto domyślać się należy materyalnego

substratu, przy którego pomocy rodzice przenoszą na dzieci dziedziczne swe własności.

To morfologiczne podobieństwo jąder daje się spostrzegać w ogóle w bardzo rozległym zakresie. Pomimo wielkiéj różnorodności w kształcie komórek, zależnéj od rozmaitéj ich funkcyi, jądra w ogóle bardzo się nieznacznie pomiędzy sobą różnią. Jeżeli istotnie są popomiędzy niemi różnice większe od tych, które obecnie dostrzegać się nam udaje, to jednakże sam fakt wielkiego ich podobieństwa nie staje na przeszkodzie do wygłoszenia hypotezy, która zgadza się z obecnym stanem naszych wiadomości.

W zjawisku dzielenia się komórek można dojrzéć drugi dowód popierający domniemanie Hertwiga. Normalne dzielenie się komórek rozpoczyna się od dzielenia jąder i to bardzo prawidłowego, a podział taki prowadzi do równomiernego rozmieszczenia mas dziedzicznych w mnożących się i coraz daléj różniczkujących komórkach. Jakości, cechy dziedziczne tym sposobem w postaci idyoblastów przenoszą się na całe ciało płodu i udzielają się najdrobniejszym jego składowym częściom.

Żywotność części komórek, które zachowały jądro, ich możność dalszego rozwijania się i rozmnażania czyli wytwarzania potomstwa podobnego do komórek macierzystych, niemniéj ważnym jest argumentem przemawiającym za omawianą hypotezą. Cały szereg doświadczeń, wykonanych przez Pflügera w pokrewnym kierunku, daje się doskonale pogodzić z tą uogólniającą myślą. Wszystkie nowsze badania, krytycznie zestawione w najnowszém dziele Hertwiga, mogą być powołane do pomocy dla uzasadnienia jego teoryi dziedziczności. Nie oznacza to wprawdzie jeszcze jéj absolutnego, ostatecznego tryumfu, lecz jest w każdym razie ważnym krokiem naprzód na szczęśliwéj drodze badań najskrytszych tajemnic życia.

Maksymilian Flaum.



NOWE STUDYUM
NAD
„PANEM TADEUSZEM".



(Arcydzieło poezyi polskiéj. A. Mickiewicza „Pan Tadeusz", studyum krytyczne Walerego Gostomskiego. Kraków. Nakład Spółki wydawniczéj, 1894, str. 266).

Przed laty dziesięciu skreśliłem w „Ateneum" (1885, t. II) zarys, przedstawiający stan owoczesny literatury naszéj o największym utworze Mickiewicza. Od tego czasu przybyło nieco rozpraw pomniejszych, rozjaśniających tę lub ową stronę arcydzieła, oraz studyum ogarniające jego całość. Ukazała się także znaczna liczba nowych oddzielnych wydań „Pana Tadeusza" i parę przekładów na obce języki. Można więc przypuszczać, że w miarę ułatwień w nabyciu dzieła, w jego rozumieniu i ocenie, znajomość jego musiała się wśród społeczeństwa rozpowszechniać i wywrzéć wpływ właściwy wielkim utworom natchnienia.

Chciałbym w obecnym artykule scharakteryzować przynajmniéj nowe nabytki krytyczne, które do pogłębienia świadomości estetycznéj w stosunku do arcytworu poezyi naszéj przyłożyć się mogą.

Ś. p. Antoni Bądzkiewicz podał w r. 1885 „Projekt nowego opracowania Pana Tadeusza", kładąc nacisk na potrzebę gruntownego i szczegółowego rozpatrzenia się w materyale językowym i stylowym, jaki przedstawia dzieło wielkiego mistrza słowa polskiego. Uważał on sprawę tę za pierwszorzędną, tak, że dopiéro po jéj załatwieniu należałoby, zdaniem jego, przejść do rozbioru kwestyi estetycznych.

Jakkolwiek projekt ten opracowany rozumnie i starannie zyskał wśród badaczów uznanie ogólne, do dziś jednak nie doczekał się urzeczywistnienia. Drobna jego cząstka tylko znalazła w zmarłym już także dzisiaj L. Radlińskim, lubo z innych motywów, niż te, które kierowały Bądzkiewiczem, gorliwego wykonawcę. Wydał on mianowicie w roku 1877 broszurę, zawierającą spis i objaśnienie 109 „Wyrazów obcych w Sonetach krymskich”. Autor ogłosił tę pracę głównie jako próbę, by usłyszéć zdanie znawców o metodzie i sposobie traktowania przedmiotu w układanym przez siebie „Słowniku etymologicznym języka polskiego”. Ze zdania znawców nie mógł już atoli skorzystać.

W r. 1888 p. Franiszek Krczek uzupełnił mój przegląd ocen „Pana Tadeusza”, ogłaszając wiadomość o „Najważniejszych sądach współczesnych”, jakie o poemacie tym wypowiedziano między rokiem 1834 a 1841-ym.

W tymże roku p. Wilhelm A. Bruchnalski dał wielce zajmujący przyczynek do oznaczenia wpływów, jakie na poetę naszego wywierało czytanie słynnych utworów obcych. W rozprawie p. t. „Reminiscencye w Panu Tadeuszu z Homera, Wergiliusza i Tassa” wykazał kilkanaście podobieństw nietylko pod względem pomysłów, ale i pod względem wyrażeń między „Iliadą”, „Eneidą” i „Jerozolimą Wyzwoloną” a najpiękniejszym poematem Mickiewicza. Zwrócił przytém uwagę, że nie wprost z oryginałów, lecz z przekładów polskich Dmochowskiego i Piotra Kochanowskiego reminiscencye owe pochodziły. Nie mogąc tu powtarzać szczegółów za autorem, zaznaczę jedynie punkta główniejsze. W porównaniach najczęściéj czuć się daje wpływ „Iliady”, w opisie bitwy najwięcéj dostrzedz można analogii z „Eneidą”; w przedstawieniu stosunku Tadeusza i Telimeny znać oddźwięk scen między Tankredem a Armidą w „Jerozolimie Wyzwolonéj”. Rozwijając szereg owych podobieństw, autor bardzo słusznie uprzedza, iż „obce myśli wynalezione w dziełach genialnego pisarza nie mogą ubliżać jego sławie, i owszem, należy uważać je tylko za świadectwo koniecznego związku, jaki istnieje na polu myśli ludzkiéj nowszych i dawniejszych czasów i na potwierdzenie zdania, które wypowiedział Goethe, że świat jest dzisiaj stary, a od tysięcy lat żyło i myślało tylu znakomitych ludzi, iż mało co nowego można znaleść i powiedziéć.” Jeżeli zaś wydzielimy z wielkiego dzieła „wszystkie te miejsca, które się w niém znajdują jako spuścizna po wiekach dawniejszych, to pozostała reszta jako owoc już osobistéj twórczości i zdolności autora, powinna przeważająco wpływać na ocenę jego stanowiska i znaczenia

w literaturze". A takiéj reszty u Mickiewicza wogóle, w „Panu Tadeuszu" zaś poszczególe znajdzie się podostatkiem.

Nie należy taić, że są przeciwnicy téj „policyi literackiéj", śledzącéj pochodzenie każdéj myśli i każdego wyrażenia, lecz ich protestacye muszą umilknąć wobec dążności dotarcia, o ile podobna, do rdzenia rzeczy, nie poprzestając na powierzchownym tylko przeglądzie piękna i prawdy. Mogą one conajwyżéj pohamować nieco zapędy hiperkrytyczne, zbyt pochopnie upatrujące pożyczkę tam, gdzie jest tylko nieunikniona spólność myśli, — ale powstrzymać rozpoczętéj już na dobre pracy analitycznéj nie zdołają.

W roku 1890-ym pojawiło się bardzo dużo artykułów i broszur o Mickiewiczu, w których naturalnie między innemi, a czasem i specyalnie, była mowa o „Panu Tadeuszu", o postaciach w nich występujących (mianowicie o Zosi), ale były to rzeczy popularne, okolicznościowe, które nie rościły sobie pretensyi do wskazywania nowych widnokręgów, lub do podejmowania niezbadanych dotąd i nieobjaśnionych zagadnień; mogą więc być na tém miejscu przemilczane.

W r. 1891-ym p. Roman Pilat ogłosił obszerne, z całą sumiennością i ścisłością naukową wykonane studyum p. t. „Autografy pierwszych trzech ksiąg Pana Tadeusza" z dołączeniem dwu podobizn. We wstępie bardzo trafnie przedstawił znaczenie takich poszukiwań, mówiąc, że za pośrednictwem autografów „możemy nieraz zajrzéć w zakulisową robotę poetyckiego tworzenia, zbadać pierwszy zawiązek i stopniowe kształtowanie się pomysłu, poznać lepiéj naturę talentu pisarza, uchwycić wiele drobnych a często tak charakterystycznych rysów jego wyobrażeń i pojęć — i w taki sposób dokładniéj i wszechstronniéj wyjaśnić ów związek, jaki łączy autora i jego dzieło z współczesnemi prądami literackiemi." Rozprawa p. Pilata jest tylko częścią obszerniejszéj pracy o rękopismach Pana Tadeusza, mającéj objąć wszystkie znane dotychczas autografy dwunastu pieśni poematu, a już dostarczyła kilku bardzo cennych wskazówek, potwierdzających faktami dotychczasowe domysły lub gołosłowne wiadomości podane przez przyjaciół poety. Wprowadza nas ona istotnie w dziedzinę téj „zakulisowéj roboty", o któréj p. Pilat wspomniał, i rzuca jasne światło nietylko na wyrabianie się stylu i wiersza, ale także pomysłu i układu poematu. Z dwu rękopismów rozpatrywanych przez autora jeden jest brulionem i ten oczywiście najciekawsze w sobie mieści dla badacza odmiany, ale niestety jest bardzo mały, bo z kilku zaledwie kart złożony i zawiera niecałą pieśń I-szą; drugi zaś jest kopią i obejmuje zupełny tekst trzech pierwszych ksiąg utworu. Z rękopismów tych przekonywamy się dowodnie, iż pierwotnie „Pan Tadeusz" miał być istotnie

„sielanką” tylko, t. j. obejmować stosunki życia rodzinnego i sąsiedzkiego, bez dotykania stosunków publicznych. Zmiana pierwotnego planu nastąpiła prawdopodobnie w czasie kończenia pieśni III-éj, lub może w ciągu jéj pisania. Nazwiska, urzędy, brzmiały pierwotnie inaczéj, np. Soplica był początkowo Saplicą lub Raplicą, Horeszko—Orzeszką, Wojski—Strukczaszym lub Rotmistrzem i t. p.

W r. 1890 i 1892 „Ateneum” drukowało dwa wyjątki z dzieła p. Walerego Gostomskiego, jeden o „Psychologicznéj genezie Pana Tadeusza”, a drugi o „Przyrodzie” w tym poemacie. Obecnie naturalnie znajdują się one w książce tego autora, świeżo wydanéj p. t. „Arcydzieło poezyi polskiéj”. Jest ona najobszerniejszą i z wielu względów najważniejszą pracą, jaka się od czasu wyjścia z druku studyum p. Biegeleisena (1884) u nas o tym przedmiocie ukazała. Obejmuje ona pogląd na całość poematu i szczegółowy rozbiór wszystkich jego części składowych; należy się jéj przeto dokładniejszą poświęcić uwagę.

Książka p. Gostomskiego wywołana została dziełem p. Biegeleisena. Autor bowiem dojrzał w niém braki ważne, domagające się koniecznie uzupełnienia i zadanie to spełnić postanowił nie w formie dodatków i sprostowań, ale w formie studyum ogarniającego wszystkie zagadnienia, jakie psychologia i estetyka postawić może w rozpatrywaniu arcydzieła.

P. Gostomski z wielkim naciskiem zarówno we wstępie, jak w samym tekście dzieła stara się wykazać nietylko błędy szczegółowe w utworze swego poprzednika, ale przedewszystkiém ułomność, jednostronność zasadniczego punktu widzenia, który „filologicznym” nazywa. P. Biegeleisen „przeniknął—słowa p. Gostomskiego — do wnętrza poetyckiéj budowli Mickiewicza, przejrzał jaknajdokładniéj wszystkie jéj zakątki, nie pominął najdrobniejszych szczegółów, gruntownie zbadał plan i układ całości, rozgatunkował starannie wszystkie składowe jéj części, rozpatrzył je i ocenił ze stanowiska wyrozumowanych zasad teoretycznych; — jedném słowem, dokonał sumiennego i szczegółowego niezmiernie rozbioru „Pana Tadeusza”; ale pominął całkowicie prawie jedną, najważniejszą jego stronę: mianowicie ożywiające go s a m o i s t n e n a t c h n i e n i e p o e t y. Z pracy d-ra Biegeleisena możnaby wnosić, iż Mickiewicz utworzył swój poemat niemal mechanicznie, wedle pewnych, ściśle określonych prawideł i przepisów, iż cała zasługa jego polegała na biegłości w swéj sztuce i mistrzowskiém stosowaniu jéj zasad. Takie wrażenie przeciwne zapewne intencyom krytyka, stąd, jak mniemam, wynika, iż w pracy jego b r a k z u p e ł n i e p o g l ą d u p s y c h o l o g i c z n e g o; nie ma w niéj

ani wyjaśnienia źródeł psychicznych różnych właściwości poematu, ani też rozbioru rozwiniętych w nim charakterów. Jestto studyum czysto filologiczne; jako takie, gruntowne bardzo, sumienne i wyczerpujące, ale tylko filologiczne. A sama filologia nie wystarcza już obecnie w badaniu dzieł poezyi" (str. 7).

Chociaż w swoim czasie rozbierając dzieło p. Biegeleisena, nie szczędziłem mu zarzutów, muszę tu jednak wziąć je w obronę wobec zbyt wielkiéj, mojém zdaniem, surowości sądu p. Gostomskiego. P. Biegeleisen wié to równie dobrze jak p. Gostomski, że filologia nie wystarcza już bynajmniéj przy roztrząsaniu utworów poezyi, gdyż wiadomość taka bynajmniéj nie jest czémś świeżém, nie jest wynikiem „psychologii nowoczesnéj", lecz sięga daty znacznie wcześniejszéj, bo doby romantyzmu. Wtedy-to najwięcéj uwzględniano podmiotowe usposobienie twórców i ich „samoistne natchnienia". Dopiéro właśnie w czasach nowszych i to na podstawie psychologii doświadczalnéj wzięto się do rozpatrywania przedmiotowych, zewnętrznych, po-za poetą będących warunków twórczości poetyckiéj i dokładnym ich rozbiorem usiłowano dotrzéć do źródeł „twórczéj pracy ducha ludzkiego." Zapewne, w dążeniu tém wielu analityków posuwało się może zadaleko, może zanadto dawano się opanować myśli, iż „człowiek jest sługą wiecznym", iż „nietylko zmysły, lecz i zdania jego od drugich zawisły"; może za mało uwzględniano siłę indywidualną twórcy, lub też zbyt szczupłe zakreślano granice zakresowi jéj działania; atoli krańcowości takie nie zdołały zachwiać podstaw saméj metody, która tyle światła rzuciła jeżeli nie na samą istotę tworzenia, to przynajmniéj na jéj uwarunkowanie. P. Biegeleisen posługiwał się metodą taką w swéj pracy, nie pomijając ani psychologii, ani estetyki. Można mu zrobić istotnie ten ciężki zarzut, iż nie dał psychologicznego rozbioru charakterów występujących w „Panu Tadeuszu" — i w tym względzie spostrzeżenie p. Gostomskiego, nie nowe zresztą, jest zupełnie trafne; ale trudno się z nim zgodzić, gdy utrzymuje, że praca jego poprzednika jest czysto formalistyczna, że w niéj ciągle poemat naszego wieszcza sądzony jest ze stanowiska epopei klasycznéj i t. p. Prawda, w dziele p. B. jest wiele sprzeczności, wynikłych najpewniéj z niedość starannego przejrzenia rękopismu, zanim go oddał do druku, lub też z niedostatecznie przed sobą samym wyjaśnionych trudności w rozwiązywaniu psychologicznych i artystycznych zagadnień; ale strącać pracę jego do rzędu tych, które tylko stronę zewnętrzną dzieł sztuki rozpatrywały, chociażby nawet jaknajsumienniéj, jest niesprawiedliwością.

Zdaje mi się, że p. Gostomski pomylił się wsposobie sformułowania stanowiska swego względem p. B. Nie o filologię chodziło tu właściwie, ani téż o psychologię, lecz o usposobienie analityczne i syntetyczne. P. Biegeleisen jest przedewszystkiem analitykiem i w tym kierunku dochodzi niekiedy rzeczywiście do krańcowości; p. Gostomski zaś, jak widać to ze wszystkich jego prac dawniejszych, zarówno jak i ze studyum nad „Panem Tadeuszem", lubuje się w syntezie tak dalece, że chociaż zna zasady metody rozbiorczéj, niechętnie się jéj wskazówkami kierować daje, niemiłe dla swéj syntezy wyniki jéj albo milczeniem pomija, albo téż stara się ich znaczenie umniejszyć. Lęka się jakoby, iżby praca rozbiorcza co najmniéj nie zeszpeciła pięknéj budowli artystycznéj.

Dowodów takiego usposobienia w p. Gostomskim nie braknie.

I tak pracownik analityczny, przychodzący po całym szeregu innych, uważa sobie za obowiązek poznać ich dokładnie i rozprawić się z ich opiniami krytycznie, mniejsza o to, czy dokonywa tego w sposób widoczny dla wszystkich, w osobnym wstępie, czy téż w sposób utajony, sam dla siebie, podając w dziele swojém rezultaty jedynie, do których doszedł po rozejrzeniu się w całym rozporządzalnym materyale Studyów, szkiców, artykułów o „Panu Tadeuszu" było już sporo przed pojawieniem się pracy p. Gostomskiego, ale on zna i uwzględnia drobną zaledwie ich cząstkę, biorąc oczywiście rzeczy najwydatniejsze, jakie się w druku pojawiły. Wyczerpanie literatuty przedmiotu bynajmniéj go nie obchodzi, bo nie zamierzył sobie napisać dzieła dla specyalistów, lecz dla najliczniejszego grona czytelników, którym pragnął wskazać piękności poematu, nie zaś zaznajamiać ich z różnorodnemi poglądami, jakie o nich w różnych czasach wypowiadano. Gdyby się wdawał w krytykę szczegółów, przedstawionych przez rozmaitych krytyków, zabrnąłby w taki las rozumowań, dowodzeń za i przeciw, iżby mu to symetryę dzieła popsuło i nie pozwoliło z całą swobodą rozkoszować się doskonałością uwielbianego utworu.

Z tego nieuwzględnienia literatury wynikają dalsze konsekwencye. P. Bruchnalski w rozprawie swojéj z r. 1888 wykazał szczegółowo i dowodnie reminiscencye z Homera, Wergiliusza i Tassa, znajdujące się w „Panu Tadeuszu". P. Gostomskiemu widocznie rzecz ta jest nieznana; on wié tylko, że p. Biegeleisen kładł nacisk na podobieństwa zwrotów i wogóle stylu między naszym poematem a Iliadą; o tém więc tylko mówi w swém dziele, milcząc o Wergiliuszu i Tassie najzupełniéj. Co do Homera zaś, stara się doniosłość tego wpływu osłabić, sprowadzając go do jaknajszczuplejszych rozmiarów. Powiada on mianowicie, że Mickiewicz „niekiedy wyraźnie naśladuje Homera; czy-

ni to jednak wyłącznie prawie w celu humorystycznym, podnosząc nadmiernie drobny szczegół poważną dykcyą". Jako dowód, przytacza między innemi, że przemówienie Wojskiego w księdze drugiéj poematu, godzące kłótliwych myśliwców, jest widoczną parodyą mowy Nestora, chcącego doprowadzić do zgody Agamemnona z Achillem, (w pierwszéj pieśni Iliady, w. 254). Przyznaje daléj, że opis serwisu przypomina nieco opis tarczy Achillesa, pojedynek zaś hrabiego z Rykowem zawiéra niektóre rysy z walki Menelausa z Aleksandrem. Zdradzieckie zerwanie zawieszenia broni przez majora, podmawiającego jednego z żołnierzy do zabicia Tadeusza, jako „parafrazę" zamachu Pandara na życie Menelausa, poczytuje autor za „bodaj jedyne miejsce w Panu Tadeuszu, gdzie naśladownictwo widzimy w poważniejszéj sytuacyi; choć i tutaj nie brak rysów humoru". Wskazawszy te analogie, kończy p. G. tém, od czego wywód swój zaczął, że naśladowanie Homera „zazwyczaj ma wyłącznie humorystyczny charakter i dotyczy podrzędnych szczegółów". Na takie ograniczenie wpływu epopei greckiéj krytyka ścisła zgodzić się nie może, gdy już p. Bruchnalski udowodnił, że porównania i przenośnie całkiem poważnie przeprowadzone w naszym poemacie mają nieraz bardzo wybitne odpowiedniki w Iliadzie, nawet zupełnéj jednobrzmienności sięgające (rozumié się, w przekładzie Dmochowskiego). Ale dla p. Gostomskiego byłoby to przykrém bardzo, gdyby miał wchodzić w takie drobiazgi, woli się więc nie informować nawet o nich.

Podobny przykład wielkiéj wstrzemięźliwości w poddawaniu krytyce drobiazgowéj tego, co na ogół za piękne każdy uważać musi, możemy przytoczyć w sprawie kompozycyi. Dzisiaj jest to już pewnikiem, stwierdzonym najdowodniéj, bo na autografie poety opartym, że „Pan Tadeusz" powoli z sielanki szlacheckiéj przemieniał się na epopeę. Jest to rzecz już tak powszechnie znana, że nie wspomnieć o niéj było niepodobieństwem. Mówi téż o tém oczywiście i p. G. w bardzo ogólnych zresztą rysach (str. 77), ale na wynikłe ze sposobu powstania poematu uchybienia kompozycyjne, na pewne drobne istotnie sprzeczności, nie robi takiego nacisku, jak jego poprzednicy, a doniosłość zarzutów, z tego względu formułowanych, stara się osłabić tą uwagą, iż kompozycya ma w nowożytnych utworach „stosunkowo małoważne znaczenie" (str. 75), chociaż powinien był dodać, że odnosi się to głównie do poematów „romantycznych" w ściślejszém znaczeniu tego wyrazu. Prawdziwie potężni twórcy poezyi nowożytnéj bynajmniéj nie lekceważyli kompozycyi. Dlatego téż nie zgodziłbym się na wzmiankowany punkt widzenia w ocenie układu „Pana Tadeusza", lecz raczéj zwróciłbym uwagę na błahość usterek kompozycyjnych, jakie w tym poemacie wy-

tknąć się dają. A w porównaniu „Pana Tadeusza” z Iliadą, wcalebym nie przystał na twierdzenie p. Gostomskiego, iż w nim „nie ma ani przejrzystéj architektoniki, ani doskonałego układu, które cechują arcydzieło greckiego eposu” (str. 81); te bowiem właściwości Iliady nie są dzisiaj tak powszechnie uznawane jak dawniéj w téj „estetyce szkolnéj”, przeciwko któréj p. G. walczy.

Jeszcze jeden przykład owego syntetycznego usposobienia krytyka. Pragnąc podać „genezę” poematu, rozwija przed nami jedynie i wyłącznie stronę wewnętrzną twórcy. Utrzymuje tedy bardzo słusznie, że w Mickiewiczu była zdolność wszechstronnego ujmowania zjawisk natury i wzruszeń duszy ludzkiéj połączona ze zdolnością ich harmonijnego wcielania w kształty słowa. Twierdzi następnie, również zgodnie z prawdą, że poeta dobrowolnie stanął na stanowisku téj szlachty, któréj życie zamierzył opiewać, z miłością patrzył na te strony i tych ludzi, których już nigdy oglądać nie miał; ale zajmując takie stanowisko, nie wyrzekł się wcale nabytków wyższego wykształcenia umysłowego i potrafił to w sposób sobie właściwy dać poznać w swoim utworze. Wreszcie posuwa się krytyk do niejasno sformułowanego paradoksu, wypowiadając zdanie, że „Mickiewicz jest najzupełniejszym typem indywidualnym natury ludzkiéj, jaki tylko w warunkach narodowo-polskiego życia mógł się rozwinąć, a przytém typem, który nie przekracza swemi właściwościami granic tego życia” (str. 36). Nie myślę tu wyzyskiwać wyrażenia: „typ indywidualny”; ale tego nie mogę pominąć milczeniem, że nazywając Mickiewicza najpełniejszym typem natury ludzkiéj w warunkach danego bytu narodowego, czyni z niego bohatéra, który w każdéj dziedzinie umysłowości i działania doszedł najwyższéj pełni rozwoju — co jest oczywistą przesadą; twierdząc zaś, że właściwościami swemi granic owego bytu „nie przekraczał”, zapomina, że, jak dotąd, mieliśmy tylko jednego poetę takiéj miary. Chcąc zatém wyjaśnić możność powstania arcydzieła poezyi polskiéj, doszedł krytyk z jednéj strony do zbyt wielkiego rozszerzenia sfery właściwości jego twórcy, a z drugiéj do rozpuszczenia właściwości tych w granicach bytu narodowego. I jedno i drugie byłoby niepotrzebném, gdyby krytyk obok procesu psychicznego w samym twórcy, uwzględnił był także wpływy zzewnątrz nań działające: a więc oczytanie w poezyi epicznéj, rozkochanie się w rozmowie i staroszlacheckim sposobie opowiadania Henryka hr. Rzewuskiego, poznanie i porównanie z sobą różnych stron kraju i różnych narodów europejskich i t. p. P. Gostomski wié naturalnie o tych wpływach, napomyka o nich pokrótce w dalszym ciągu dzieła, lubo krótko, za zwięźle nawet; ale w tém miejscu, gdzie kréślił „genezę” poematu, nie chciał

o tém wszystkiém wspominać, byle tylko całość arcydzieła wywieść wprost i wyłącznie z usposobienia, nastroju i umysłowości poety.

Szczegóły, jakie dotąd zaznaczyłem, nie mają na celu obniżania wartości dzieła, zdaniem mojém bowiem, mogą obok siebie istnieć z korzyścią dla literatury, różne metody badania i przedstawiania rzeczy, — lecz zmierzają do określenia sposobu, w jaki autor przedmiot swój traktował. Podrażniony pewnemi ustępami studyum p. Biegeleisena, mając z natury inny nastrój, zamierzył uwydatnić piękność całości arcydzieła i znaczenie indywidualnéj siły twórczéj jéj autora. Obdarzony jasnym, spokojnym, rozważnym umysłem, przejęty prawdziwą czcią dla ukochanego utworu, ale czcią, chcącą i umiejącą zdawać sobie sprawę ze swych wrażeń i uczuć, dokonał tego zamiaru w taki sposób, że czytelnik, zapoznawszy się z jego studyum, osiągnie jednolity pogląd na całość utworu i składowe jego części, potrafi ten pogląd argumentami odpowiedniemi poprzéć i zarówno przed sobą jak i innemi uzasadnić. Ponieważ miał do czynienia z prawdziwém arcydziełem, ponieważ umié odczuwać piękno w kształtach artystycznych, więc wywody i spostrzeżenia jego są prawie wszystkie trafne w ostatecznym swym wyniku, lubo nie zawsze uznać wypadnie za równie trafne te drogi, na których autor do wyników tych doszedł. P. Gostomski nie odznacza się ani niezwykłą dobitnością, ani nadzwyczajną barwnością stylu, owszem pełność jego przechodzi często w rozwlekłość, skutkiem czego nie zawsze to, co jest istotnie świéżym pomysłem autora, utkwi w pamięci czytelnika, gdyż tuż obok tych oryginalnych znajdzie dużo twierdzeń już spowszedniałych i w sposób powszedni wyrażonych. Ale niewątpliwą zaletą p. Gostomskiego jest jasność, przystępność i potoczystość jego stylu—wyborne zalety popularyzatorskie. One powinny zapewnić dziełu jego poczytność znaczną i rozpowszechnić wśród ogółu mnóstwo poglądów i rozumnych i ładnie wyrażonych.

Wyrażając takie ogólnikowe uznanie dla całego dzieła i scharakteryzowawszy sposób jego wykonania, dość będzie, gdy przy podaniu rozkładu poczynię uwagi czy to nad temi ustępami, które uważam za świeże. nowe, czy też nad takiemi, których za słuszne uznać nie mogę.

Całość składa się z 8 rozdziałów. Pierwszy, mniej właściwie nazwany „genezą poematu,” przedstawia w gruncie rzeczy tylko „nastrój indywidualny”, którego produktem był „Pan Tadeusz,” zawiera więc po większéj części trafną charakterystykę umysłu Mickiewicza wogóle, oraz stanu jego duszy w czasie powzięcia pomysłu i pisania swego arcydzieła.

Dawszy poznać podmiotowe warunki twórczości, przechodzi autor w rozdziale II-gim do zarysu przedmiotu, jaki poeta wziął do obrobienia. Zastanawia się więc wogóle nad znamiennemi rysami społeczeństwa polskiego, nad przewagą w nim żywiołu szlacheckiego, który z dodatniéj i ujemnéj strony na szerokiéj podstawie historycznéj odmalować się stara. Podaje następnie streszczenie „Pana Tadeusza" (str. 60—72), uwydatniając jego cechy specyalnie narodowe, tradycyjne, jako też pierwiastki nowszéj cywilizacyi, górujące w dwu ostatnich księgach poematu. Wreszcie rozprawia o kompozycyi utworu. „Składowe jego części — powiada autor — niezawsze są równomiernie i prawidłowo ustosunkowane, oraz w kilku punktach nie dość ściśle z sobą połączone; odnosi się to szczególnie do dwóch głównych części: czynów Jacka i miłosnych spraw Tadeusza. Na początku, drugi ten przedmiot naczelne zajmuje miejsce i przeważnie zapełnia sobą akcyę; dopiéro w dalszéj osnowie dążenia Jacka, oraz następstwa poprzednich jego czynów skupiają na sobie uwagę czytelnika. W skutek tego nie dość określone jest też stanowisko dwóch tych osobistości: Tadeusza i Jacka; początkowo Tadeusz zdaje się być głównym bohaterem, następnie jednak na pierwszy plan występuje Jacek i staje się najwydatniejszą postacią poematu" (str. 73). Po niezbyt szczęśliwie dobranych argumentach, któremi autor stara się osłabić doniosłość tych zarzutów, dochodzi on w końcu do przekonania, że poemat ma „wewnętrzną" łączność części składowych i że cała wada kompozycyi na tém polega, iż „ta jedność idealna osnowy nie zawsze ujawnia się w realnéj jedności akcyi i głównego bohatera" (str. 80). Odrzucając zaś porównania poematu naszego z dziełami malarstwa, sam podaje porównanie z symfonią muzyczną, osnutą na kilku zasadniczych tematach. Nie jestem znawcą muzyki, ażebym mógł należycie porównanie to ocenić; ale wydaje mi się ono piękne i przynajmniéj pod względem logicznego rozwinięcia myśli zupełnie zadawalniające. Dodać winienem, że jest to ustęp (str. 82—83) może najpiękniéj pod względem stylistycznym w całéj książce skreślony.

W rozdziale III-im rozbiera autor „obyczaje i stosunki życia," jak je przedstawia poemat. Mamy więc tutaj charakterystykę zajazdu, obrad, bitwy, sejmiku, stosunku szlachty średniozamożnéj do magnatów i szlachty zagonowéj, przymiotów i wad towarzyskich, urzędów i zajęć: wojskiego, woźnego, klucznika, stosunków rodzinnych, gospodarstwa, myśliwstwa, wreszcie objawów wpływu cudzoziemskiego w Hrabi i Telimenie. Wszystko, co autor mówi, oparte jest na dobréj znajomości i sympatycznem odczuciu życia i literatury naszéj; nigdzie téż myśl krytyczna, rozpatrując się w wywodach p. G., nie ma chęci

protestu, co najwyżéj mogłaby sobie życzyć w niektórych miejscach innego porządku w traktowaniu materyi; tak np. rzecz o rozmowie, traktowana w rubryce rozrywek, lepsze chybaby znalazła miejsce wśród wykazu właściwości towarzyskich i t. p.

Na tém tle obyczajowém rozwija autor (w rozdziale IV-tym) typy i charaktery występujące w „Panu Tadeuszu.” Nie podaje p. G. określenia różnicy między typem i charakterem, pozwala więc mniemać, że je bierze w znaczeniu jakiémś znaném, ustaloném. Niestety jednak, takiego znaczenia ustalonego dziś naprawdę niema; dawniejsza tylko estetyka mogłaby w téj mierze dać wskazówki. Ale ponieważ wiele się już w téj estetyce przestarzało, trzebaby było postarać się o nowe definicye. Nie miejsce tu na obszerniejszą w tym względzie dyskusyę, powiem więc tylko, na co niewątpliwe p. G. się zgodzi, że w „Panu Tadeuszu” nie ma wcale „typów” w dawném znaczeniu wyrazu, są tylko charaktery indywidualne. W charakterach tych mogą z większą lub mniejszą dobitnością przejawić się „typowe” rysy czy pewnéj warstwy społecznéj, czy pewnych zajęć; a zatém można rozprawiać o ich mniejszéj lub większéj typowości; nie wypadałoby tylko „typami” ich nazywać. Nie dobrze téż rozumiem, co autor nazywa „typem przeciętnym” (str. 120), chociaż autor na postaci Jacka stara się ten epitet wyjaśnić. O ile sobie z definicyi psychologicznych i estetycznych zdaję się sprawę, pojęcie „przeciętności” wyklucza pojęcie „typowości.” Co antropologowie mówią np. o przeciętnym wzroście, kolorze włosów i t. d. pewnéj ludności, tego przecież w żaden sposób nie podobna „typem” ludności téj nazwać w znaczeniu estetyczném, gdyż typ, było by to właśnie skupienie najbardziéj znamiennych cech w najświetniejszym ich rozkwicie. Jeżeli zaś p. G. poczytuje za typ — wyobraziciela ogółu „przeciętnych, pośrednich natur, składających główną masę społeczeństwa,” to słuszność takiego zapatrywania uznałbym jedynie ze stanowiska antropologicznego, ale nie estetycznego. Harpagon np. powszechnie jest uważany za typ skąpca; a czyż można go nazwać wyobrazicielem „przeciętnych, pośrednich natur” wśród wszystkich skąpców wogóle? — Pomijając atoli te i tym podobne zarzuty teoretyczne, jakieby zrobić można wywodom autora, powiedzieć można, iż charaktery w poemacie przedstawione objaśnił trafnie, z należytém rozumieniem intencyi poety. Rozpoczął od grupy charakterów ze szlachty średnio zamożnéj, jako najobszerniéj uwzględnionéj w poemacie, przeszedł następnie osoby pośrednie, zastanowił się nad zaściankiem, skreślił postaci arystokratyczne, a zakończył sylwetkami cudzoziemców i figur zcudzoziemczałych. Rozpatrując się w przedstawicielach życia szlacheckiego, robi p. G. uwagę, że w obra-

zie nakreślonym przez poetę, charakter Telimeny rzuca cień najgrubszy i uważa to za wadę utworu; zdaniem autora, „wobec ogromnéj przewagi ilościowéj typów męskich, wśród tych raczéj było miejsce dla najgrubszych cieniów". Na to odpowiedziéć można, że spostrzeżenie jest słuszne, o ile rzeczywiście wśród postaci kobiécych nie ma Telimena odpowiedniego równoważnika dodatniego i o ile rozpatrujemy jéj charakter domysłem na podstawie napomknień poety, nie zaś według tego, co w samym utworze plastycznie zostało odmalowane. Istotnie kobiét w „Panu Tadeuszu" jest zamało i dlatego postać Telimeny jaskrawo wpada w oczy; Telimena nie ma skrupułów moralnych, ale tę stronę jéj charakteru poeta zaledwie zaznaczył, szerzéj rozwijając jedynie już to komiczne właściwości, już to przyrodzoną dobroć serca. Otóż jeżeli chodzi o napomknienia tylko, toć przecie i wielce szanowna skądinąd postać Sędziego nie jest wolna od cienia nawet bardzo grubego. P. Gostomski nie wspomina o tym cieniu wcale, a przecież pochodzenie majątku Sędziego ma wielce niezaszczytne źródło; inna to niewątpliwie kategorya grzechów, aniżeli sprawki Telimeny, ale chyba cięższa jeszcze. Na podstawie zatém wzmianek możnaby figurę Sędziego bardzo obniżyć pod względem moralnym, tak samo jak na zasadzie jednéj sceny (ks. V), o któréj p. G. również przemilcza, Wojski w bardzo dwuznacznem świetle mógłby być przedstawiony. Nie sądzę zatém, ażeby uwaga krytyka, iż charakter Telimeny rzuca cień najgrubszy, był bezwzględnie słusznym.

Ogólna natomiast charakterystyka psychologiczna społeczeństwa, osnuta na rozbiorze charakterów, jest zupełnie trafną. Za najwybitniejszą cechę wspólną ich wszystkich prawie uważa temperament żywy i krwisty, oraz wynikającą z niego porywczość uczuć i popędów, silnie rozwiniętą wrażliwość uczuciową, słabe wyrobienie zdolności refleksyjnych. W nastroju uczuciowym towarzystwa soplicowskiego zaznacza autor całkiem słusznie brak żywiołów egzaltacyi i sentymentalizmu. „Uczucia tych ludzi są niekiedy silne i głębokie, ale nigdy wyegzaltowane, a tém mniéj sentymentalne. Te ostatnie formy uczuciowe są wytworem refleksyi i kontemplacyi umysłowéj, mogą się przejawić jedynie w naturach skupionych w sobie, żyjących przeważnie życiem wewnętrznem. Owóż nasi znajomi soplicowscy, podobnie jak cały ogół dawnéj szlachty, do takiego życia nie mają żadnego usposobienia; wszystkie poruszenia ich umysłu zwracają się przeważnie na zewnątrz; uczucia ich występują w swéj prostéj, czysto typowéj postaci, jako motory czynów zewnętrznych. Ogólnie biorąc, taki nastrój uczuciowy daje poznać natury stosunkowo mało wyrobione psychicznie, posiadające całą przyrodzoną świéżość i prostotę uczuć, nie zróż-

niczkowanych przez wpływ wyższéj kultury. Tacy też są we wszystkich swych właściwościach mieszkańcy Soplicowa i Dobrzynia; w tém tkwi wybitna ich oryginalność, w któréj przejawia się charakterystyczny, odrębny typ natury polsko-szlacheckiéj. Dodajmy wreszcie, iż, przy podobnym nastroju umysłowym, uczucia silne, o wybitnéj indywidualności powinny być rzadkiém zjawiskiem. Jakoż... głęboka i silna miłość Jacka dla Ewy jest objawem wyjątkowym i wyjaśnia się wyjątkowo głęboką i potężną jego organizacyą duchową... Możnaby tu wprawdzie przytoczyć jeszcze stałe przywiązanie Gerwazego do rodziny Horeszków i jego zaciekłą nienawiść względem Sopliców, oraz niezłomną wierność Sędziego dla pamięci zmarłéj narzeczonéj. Atoli pierwszy objaw wynika raczéj z zaciętości litewskiéj starego klucznika, niż z ogólno-szlacheckiego charakteru; drugi jest prędzéj dowodem pietyzmu w dochowaniu wiary zaprzysiężonéj, niż siły indywidualnego uczucia; płynie on więcéj z silnie ugruntowanych zasad etyczno-obyczajowych, niż z samodzielnego nastroju umysłu" (str. 163, 164).

Przedstawienie „obrazów przyrody" (rozdział V) w „Panu Tadeuszu" należy do najlepszych części dzieła. Jasne, bez przesady i deklamacyi uwydatnienie piękna w krajobrazach Mickiewiczowskich, umiejętne ugrupowanie szczegółów, odczucie szczere tego wszystkiego, co mówi o zaletach pomysłu i wykonania, nadaje temu rozbiorowi znamię sądu wytrawnego, a zarazem ożywionego ciepłem serdeczném. Parę tylko uwag pozwolę sobie zrobić nad dwoma punktami tego rozbioru. Najprzód, nie wydaje mi się, by twierdzenie p. Gostomskiego, jakoby Lessing zabraniał „wszelkiéj" opisowości w poezyi (str. 167) było uzasadnione. O ile zrozumiałem wywody Lessinga, szło mu właśnie o to, co krytyk w opisach „Pana Tadeusza" podziwia, iżby poeta przedstawiał swój obraz w ruchu, czyli wywoływał „w wyobraźni cały szereg obrazów, przechodzących stopniowo jeden w drugi, przyczém jednak muszą one przedstawiać się tak, jakby mogły być widziane z pewnego przypuszczalnego stanowiska" (str. 174). Toż Lessing roztrząsając opis tarczy Achillesa w „Iliadzie" podaje właśnie jako przymiot estetyczny tego opisu, iż poeta nie opisywał gotowéj już roboty, ale opowiedział, jak ona powstawała. Druga uwaga dotyczy niezbyt jasno przedstawionego stosunku Mickiewicza do przyrody w opisywaniu jéj zjawisk. Wyróżniwszy stanowisko przedmiotowe i podmiotowe względem natury, p. Gostomski mówi daléj: „A jeśli nie zajmujemy wobec przyrody żadnego z tych wyłącznych stanowisk? jeśli przyswajamy ją sobie, odczuwamy ją głęboko, ale odczuwamy ją w pełni jéj realnego życia, tak jak ono w niéj przedmiotowo istnieje? Wtedy znika wszelka różnica między podmiotem a przed-

m i o t e m, gdyż obydwa zlewają się w jednym ogólnym nastroju" (str. 184). Jeżeli ten wykład ma mieć jakieś istotne znaczenie, to jedynie w duchu panteistycznym; Shelley np. mógłby w takim razie służyć za ilustracyą. Ale Mickiewicz nie stapiał się przecież z przyrodą w tém panteistyczném rozumieniu; u niego przedmiot i podmiot nigdy się w „Panu Tadeuszu" nie zlewają w jedną nierozłączną całość; on zawsze jest widzem i obserwatorem, częstokroć mocno wzruszonym, ale nie tracącym swéj odrębnéj osobistości. Autor tymczasem, co prawda gołosłownie, usiłuje przekonać, że Mickiewicz traktuje przyrodę nie jako obcy sobie „martwy przedmiot", ale jako „żyjącą w *jego* własném życiu istność" (str. 185). Zdaje mi się, że na stwierdzenie takiego poglądu niepodobna byłoby wydobyć z „Pana Tadeusza" żadnego przekonywającego dowodu. I autor może inaczéj to rozumie, tylko niejasno się wyraża; gdyż w dalszym ciągu rozumowania podaje określenie przyrody w „Panu Tadeuszu", na które zgodzić się można, ale które panteistycznego charakteru wcale w sobie nie ma. Mówi mianowicie p. G., że „przyroda odtworzona w „Panu Tadeuszu" nie jest ani czystym duchem, ani bezduszną materyą, lecz jedném i drugiém zarazem: objawia się w pełni realnego życia, z ciałem i z duszą zarazem." Ależ od takiego stanowiska w przedstawieniu zjawisk przyrody do odczuwania jéj jako istoty żyjącéj we własném życiu poety jest jeszcze bardzo daleko...

W rozdziale VI-ym rozbiéra autor „podmiotową stronę poematu". Są tu z konieczności powtórzone niektóre myśli, podane już poprzednio w rozdziale pierwszym, gdzie była mowa o podmiotowych warunkach powstania utworu; ale ogół tego ustępu zawiéra w sobie treść nową. Charakterystyka uczuć poety w stosunku do przedmiotów opiéwanych, sposób, w jaki się one w poemacie objawiają, są bardzo ładnie przedstawione. W kwestyi tylko zasadniczéj, dotyczącéj tonu panującego w „Panu Tadeuszu", możnaby się z p. G. posprzeczać. Sądzi on, jak i niektórzy inni krytycy, że panującym owym tonem jest humor. Jego atoli określenie humoru odmienne jest od ogólnie w estetyce przyjętego. Przez humor rozumie p. G. „pewien j e d n o s t a j n i e p o g o d n y nastrój wewnętrzny, który nadaje charakterystyczny ton wszystkim poruszeniom umysłu, czy one będą smutne lub wesołe, poważne lub żartobliwe" (str. 214). Pod takie określenie humoru trudno byłoby podciągnąć utwory, powszechnie humorystycznemi zwane. Ani Swift, ani Sterne, ani Jean Paul, ani Dickens, ani Thackeray, ani Gogol, ani Prus, nie zmieściliby się w téj definicyi, zwłaszcza gdy do niéj dodamy następny komentarz: humor „z natury swéj znosi wszelką j e d n o s t r o n n ą w y b u j a ł o ś ć u c z u ć i łagodzi gwałtowne między niemi

kontrasty, czyli ogranicza wpływ indywidualizmu podmiotowego na sposób przedstawienia; jest on stanem podmiotowym, ale takim, w którym wszelkie wyskoki podmiotowości neutralizują się niejako i pozbywają barw jaskrawych" (str. 215). Zdaje się, że tak opisany humor bliższym jest przedmiotowego, realnego sposobu traktowania rzeczy, aniżeli jakiegokolwiek innego. Trzeba tylko pamiętać, by przedmiotowości artystycznéj nie utożsamiać z jakąś bezduszną, mechaniczną, fotograficzną dokładnością w odtwarzaniu natury i życia ludzkiego. Za klasyczne przykłady humoru w określoném przez siebie znaczeniu podaje p. G. „Don Kichota" Cerwantesowego i „Mizantropa" Moliera. Ani jeden, ani drugi przecież nie odpowiada wywodom autora: pierwszy dlatego, że zawiéra w sobie zadużo karykaturalności, drugi dlatego, że mieści w sobie zbyt dużo smutku i pesymizmu, oba dlatego, że nie odbijają wcale „jednostajnie pogodnego nastroju wewnętrznego". Określenie p. G. zastosować się może do bardzo niewielkiéj liczby dzieł twórczości poetyckiéj: „Wikary Wakefildzki", „Herman i Dorota", „Pan Tadeusz" mają rzeczywiście „jednostajnie pogodny nastrój", ale z nich pierwszy jedynie za dzieło istotnego humoru uważać można, gdy dwa drugie na wyższéj skali tonu pomieścić chyba wypadnie. To, co p. G. nazywa humorem, a co mojém zdaniem jest pogodną, słoneczną ironią człowieka wyższego, lecz nie wynoszącego się dumnie nad ogół ludzi, widać tu i owdzie w „Iliadzie" i „Odysei", spotyka się w „Hermanie i Dorocie", a podostatkiem znajduje się w „Panu Tadeuszu". I p. G. mówi trochę o ironii (str. 236), ale widocznie nadaje temu pojęciu bardzo ciasne granice. Wspomina téż o komizmie, a tylko dążności satyrycznéj w niektórych sytuacyach „Pana Tadeusza" zaprzecza, niezupełnie słusznie.

To, co autor mówi w rozdziale VII-ym o „stylu" w „Panu Tadeuszu", zawiéra dużo trafnych uwag co do epiczności lub nie-epiczności jego; uwydatnienie przeważnéj cechy dramatycznéj w rozmowach jest także zupełnie uzasadnione. Nie może naturalnie rozbiór ten stylu zastąpić szczegółowych wywodów w dziele p. Biegeleisena, lecz w swoim ogólnym charakterze spełnia swe zadanie dobrze. Szkoda tylko, że i p. Gostomski nie uważał za potrzebne rozpatrzyć sposobu traktowania sytuacyi przez Mickiewicza.

W końcowym ustępie mówi p. G. o „znaczeniu i wpływie" poematu, ale właściwie najwięcéj zajmuje się dowodzeniem, iż nazwa epopei nadana „Panu Tadeuszowi" powinna być utrzymana, oraz bardzo trafném zestawieniem naszego utworu z „Hermanem i Dorotą". To zaś, co mówi o wpływie „Pana Tadeusza" na wytworzenie w naszéj literaturze gawęd staroszlacheckich, musi być uważane za chybione w zasadzie, gdyż rodowód tych gawęd jest inny całkiem; ani Rzewuski

bowiem, ani Chodźko, ani Pol nie z „Pana Tadeusza” brali pochop i wzór do swoich opowiadań, lecz je niezależnie od siebie wysnuli, a te to właśnie utwory dały początek całemu rodzajowi literackiemu. Dziwimy się mocno, jak mógł autor taką popełnić omyłkę, która na ostatniéj karcie jego dzieła tak nie w porę się znalazła.

Nie chciałbym jednak pod tém ostatniém wrażeniem rozstawać się z bardzo staranną i bardzo ujmującą pracą p. Gostomskiego; wolę więc zaznaczyć, że końcowe jego słowa o arcydziele Mickiewicza są wyborném streszczeniem wszystkich wywodów krytycznych i w całości mogą być podpisane przez wszystkich wielbicieli „Pana Tadeusza”. „Jestto — powiada p. Gostomski — nietylko najpiękniejszy utwór naszéj literatury, ale także najprawdziwszy dokument naszéj przeszłości, w którym żywy głos tradycyi narodowéj na wieczne czasy został utrwalony w niespożytych kształtach poezyi.”

Piotr Chmielowski.



USTĘP Z ŻYCIA
FRYDERYKA II-go.

(Erneste Lavisse Le grand Frédéric avant l'avènement. Paris, Hachette, 1893).

Historyka-myśliciela, historyka pedagoga, który wyrzekł niedawno: *tout est psychologie en histoire*, rozumiejąc przez to, że sprężyną czynów ludzkich jest ich wewnętrzna strona, a zbadanie onéj kluczem do zrozumienia wypadków i ducha czasu, musiał zastanowić taki charakter, jak Fryderyka II-go. Osobistość ta, należąc dziejowo do pierwszorzędnych, acz niesympatyczna, narzuca się niejako uwadze uczonego i wychowawcy młodzieży, dla którego, jak sam wyznaje, badanie początków w urabianiu się państw i jednostek, stanowi źródło niepowszedniéj przyjemności. Przytém malarska strona przedmiotu, że się tak wyrażę, mogła znęcić utalentowanego pisarza. Trudno bowiem nagromadzić naraz więcéj rozmaitości i kontrastów. Dwór królewski, a na nim tryb życia chaotyczny i mieszczański. Ojciec i syn, dwa wybitne charaktery i dwa sprzeczne usposobienia, które, naturalnym niejako rzeczy porządkiem, znalazły się z sobą w antagonizmie. Obok nich tłum postaci najróżnorodniejszych: ministrów, posłów, oficerów, pijaków, błaznów. Przy brutalstwie i braku taktu gospodarza, a płytkości umysłowéj i braku dobroci gospodyni, ważne sprawy, niskie intrygi toczą się bez względu na nikogo, brudną stronę życia objawiając młodziutkiemu księciu w całéj swéj szpetności. Sceny komiczne, burzliwe, bolesne — na porządku dziennym. W takich warunkach ciekawą

niezmiernie rzeczą było studyowanie charakteru bohatéra, wpływów otoczenia, wychowania, dziedziczności i t. p. Autor wyzyskał przedmiot z wielką sumiennością i przenikliwością w pierwszym tomie dzieła *La jeunesse du Grand Frédéric* (które omawiano na tém miejscu w maju 1892 r.). Tom drugi zawiéra nie mniéj ważny ustęp z jego życia duchowego, bo wyrobienie się ostateczne, umysłowo-moralne, podczas tych lat kilku, które spędził zdala od spraw publicznych po ożenieniu się z księżniczką Elżbietą von Bevern w 1733 r., do wstąpienia na tron w 1740 r.

Jeśli prawdą jest, że człowieka lepiéj poznać można z zabawy, aniżeli z pracy, bo bawi się jak mu najmiléj, a pracuje nieraz, bo musi i tak, jak musi, i jeśli w istocie najlepszém wychowaniem i wykształceniem jest to, które sami sobie nadajemy, to siedmioletni pobyt Fryderyka II-go w Neu-Ruppin i Rheinsbergu, gdzie się bawi i kształci według własnéj woli, ciekawych wskazówek może dostarczyć.

Wprawdzie swoboda, jakiéj przyszły dziedzic korony używa, bardzo względna. Dochody jego wielce ograniczone skąpstwem rodzica; od czasu do czasu musi odbyć jaką z tych wielkich robót pańszczyźnianych, które Fryderyk Wilhelm I prowadził z zamiłowaniem około zaludnienia i podniesienia dobrobytu krajowego (np. obrachować dochody jakiego obwodu, lub odbyć podróż dla obejrzenia spustoszonych prowincyi), nadto ma przy sobie mentora, bo ojciec, zawsze niedowierzający, trzyma ciągle syna na munsztuku, ale ściąganie cugli słabnie powoli i w Rheinsbergu Fryderyk mało się czuje skrępowanym.

Ożenionego Fryderyka II-go król mianował pułkownikiem załogi, stojącéj w Neu-Ruppin i Nauen, a w kilka tygodni po ślubie nowożeniec przybył samotny na miejsce swego pobytu, bo w téj r e z y d e n c y i brakowało stosownego pomieszczenia dla dwojga. Mieścina, „przez długi czas stolica panów na Ruppinie, którzy jedni wyglądali na wielkich panów śród bardzo ubogiéj szlachty brandeburskiéj", przeszła w XVI w., po bezpotomnej śmierci ostatniego z hrabiów, w posiadanie elektora bardzo małego wówczas książątka, dla którego to dziedzictwo było wielkiém szczęściem". Dziś jest jeszcze w nomenklaturze tytułów króla pruskiego wymieniony i tytuł hrabiego na Ruppinie.

Mieścina, odbudowana po pożarze z pretensyą do wielkości, posiada bardzo szerokie ulice z niskiemi domami po obu stronach i rynek, mogący pomieścić wielkie tłumy, które się tam nigdy nie zbiegną. Gdy kolegium na wakacyach, a załoga na ćwiczeniach w polu, Neu-Ruppin wygląda jak miasto, którego mieszkańcy wybrali się w podróż." Miejscowość płaska i mało urozmaicona: „rzeczułki, niepewne swéj drogi, zaledwo mają dostateczną przyczynę zwrócić się w lewo

raczéj niż w prawo, do Elby i m. Północnego, niż do Odry i Baltyku. Gdzieniegdzie rozléwają się w jeziorka i usypiają w nich. Grunt ubogi, jak biédny człowiek i jak on, okryty rozmaitemi niepodobnemi do siebie szmaty. Tu pustynia pod bladém niebem, owdzie wsi, grzęznące w piasku, z ogrodami, w których wiatr potrząsa nędzne gałęzie śliw i kwaśnych wisien, daléj łąki, pola uprawne i zwierciadło stawów, otoczonych wzgórzami. Neu-Ruppin wznosi się wśród tych kontrastów." Na południe jezioro, za którém zielenią się łąki i gaje, ku północy piaszczyste wzgórza, zwane Łysemi górami *(Kahlenberge)*, spokój wielki wokoło, jak w pustce.

Spokoju tego i ciszy potrzebował Fryderyk do odetchnięcia po strasznych przejściach swego dwudziestoletniego zaledwie żywota; nadawały się téż one do skupienia się, do rozpatrzenia w sobie i drugich. Jakoż tu się rozpoczyna owa, jak ją autor nazywa, „nadzwyczajna i, zdaje się, bezprzykładna historya. Fryderyk zamierza dać sobie wykształcenie, jako człowiek i jako książę, a prowadzi oba ze spokojem i pewnością metody filozoficznéj. Z umysłem wolnym od wszelkich marzeń i złudzeń" roztrząsa pokolei wielkie zagadnienia ludzkości, dociéra do tego, co n i e z n a n e, a przekonawszy się, że go odgadnąć nie zdoła, zatrzymuje się, streszcza, wyrokuje i wybiéra.

„Z jakiéj epoki ten młodzian? Zdaje się, że z żadnéj? Z jakiego kraju? Zdaje się, że z żadnego; nie mówi nawet swym rodowitym językiem. Czy nie zagraża niebezpieczeństwo, że nie pojmie rzeczywistości i w niéj się zabłąka?...

Nie. Uchroni go od tego jego geniusz polityczny, którego pierwszą zaletę—w i d z i é ć r z e c z y t a k i e m i, j a k s ą, posiada w wysokim stopniu, a z drobiazgową stroną interesów państwa poznajomi go praktyczność ojca, który celował w przeprowadzaniu ważnych reform administracyjnych, ekonomicznych, wojennych, za pomocą dokładnie obmyślanych szczegółów.

Z czteroletniego w Neu-Ruppinie pobytu, acz niewiele wybitnych danych, bo Fryderyk nie rozporządza jeszcze sobą samowolnie, wydobywają się przecież na wiérzch pewne rysy znamienne, które się z wiekiem tylko rozwiną i zaakcentują. Niewygodne swe mieszkania otacza parkiem, zdobi go w posągi, które do dziś przetrwały, choć poturbowane czasem i klimatem, pokoje stroi we freski, a wszystko nacechowane pretensyonalnym smakiem XVIII-go stólecia, zaprawne pseudoklasycyzmem, sztukujące się alegoryami, napozór wdzięczne, wgruncie chłodne. Inteligentnego, dystngowanego towarzystwa brakuje mu zupełnie; poprzestaje na obcowaniuze swymi brusowatymi podkomendnymi i z nimi dopuszcza się fars, dowodzących, że temu niepospolitemu

umysłowi i wykwintnym gustom towarzyszy brak uczuć szlachetnych i dobrego serca [1]). Czytaniu, namiętności swéj od dzieciństwa, poświęca wolne wszystkie chwile i noce; grywa na flecie, bawi się w wierszoróbstwo, marzy o przyszłości, tworzy plany, a choć pisze i mówi, że ceni nadewszystko mierność i swobodę, choć się wyśmiéwa z ojcowskich zleceń i wojskowego rzemiosła, w istocie ceni potęgę swą królewską, postanawia ją wzmocnić i wsławić i gdy przyjdzie pora, okaże się lepszym od ojca administratorem i wojakiem [2]), bo Fryderyk jest niejako dalszym ciągiem usposobień i tradycyi rodzicielskich, tylko zmodyfikowanych praktycznym geniuszem i przeprowadzonych rozumniéj na większą miarę. Główne rysy charakteru Fryderyka Wilhelma I-go w nim się odnajdują: zamiłowanie wojskowości, zmysł administracyjny, dbałość o szczegóły, brutalność, skąpstwo [3]), brak mu tylko uczciwości ojcowskiéj; téj elementarnéj cnoty, tego niezbędnego przymiotu każdemu, nie posiada on ani jako człowiek, ani jako władca.

Gdy przygotowano dla młodéj pary stosowne *locum* w Rheinsbergu, przeniósł się doń następca z żoną w lecie 1736 r. Rheinsberg (prywatna jego własność, kupiona przez ojca, lecz spłacana w części skromnym posagiem księżniczki von Bevern) mniejsza mieścina od

---

[1]) Kapelan pułku pragnął bardzo obiadować u Fryderyka; w tym celu zjawiał się w stosownéj porze u Fryderyka, przymawiał się, przypominając, że u dawnego pułkownika zawsze dlań było nakrycie na stole; ale Fryderyk, jeśli znosił narzuconych przez ojca natrętów, nielitościwym był dla innych. Pastor nie został nigdy zaproszonym. Zemścił się też za to, przyrównywając na kazaniu księcia do Heroda, który tanecznicy Herodyadzie ofiarował głowę św. Jana. W niejaki czas potém, wśród czarnéj nocy, prezbyteryum zostało otoczone, okna powybijane a pana pastora z panią pastorową, wywleczonych z pościeli, wyniesiono na dziedziniec i rzucono w gnojowisko".

[2]) Ktoś dobrze i zbliska znający Fryderyka, gdy był tylko następcą, na zapytanie cesarskiego ministra: *Le prince royal aimerat-il le militaire?* odpowiedział *Oui, et plus solidement que son père.*

[3]) Skąpstwo jego — znane zresztą skądinąd, a które kłótnia z Wolterem uczyniła głośném, ilustruje drobny fakcik z pobytu w Neu-Ruppin. Fryderyk, jak się rzekło wyżéj, musiał poprzestawać na garnizonowém towarzystwie. Zabawiano się w niewybredny sposób, grywano w karty, obiadowano razem, ale gdy poczta z Hamburga dostawiła specyały wykwintne, gdyż Fryderyk lubił kuchnię delikatną, ucztowano w bardzo małém kółku uprzywilejowanych. Gospodarz mawiał, że nie jest dość bogatym, aby napaść 10 osób tak drogiemi przysmakami. Jest coś dziecinnie śmiesznego i małostkowego w tém odosobnieniu się od towarzyszy broni dla spożycia małego pasztetu, lub wypicia butelki przedniego wina; coś brzydko lekceważącego w odzywaniu się, że go nie stać na p a s i e n i e dziesięciu kolegów trochę lepszém, więc kosztowniejszém przyjęciem. Tylko małoletni łakomcy podobnie się chowają z ciastkiem przed rówieśnikami.

Neu-Ruppin (2,000 mieszkańców), lecz podobnie jak on, odbudowana po pożarze „w stylu rezydencyi", posiadała to, czego tam brakowało: dom mieszkalny, przerobiony według wskazówek nowego pana ze starego zamczyska, tak, że jest on i dokumentem historycznym, świadczącym o guście swego właściciela. Jestto elegancki czworoboczny pałacyk z dwoma wieżycami po obu skrzydłach połączonemi podwójnym szeregiem korynckich kolumn z galeryą. Trochę posągów i urn zdobi mury na zewnątrz, a wewnątrz sufity rzeźbione i malowane; pilastry żłobkowane, rysunek miękki, tematy mitologiczne pomieszane z bohatérami starożytności. Tak chce francuska moda XVIII-go wieku, panująca samowładnie na tym książęcym dworze pruskim. Ale naśladowanie świetności Wersalu i Trianonu nie zawsze szczęśliwe. Zamiast marmuru — gips; zamiast pierwszorzędnych mistrzów pędzla i dłuta — drugorzędne talenty; w scenach erotycznych mniéj wytworna natura nie potrafiła zachować eleganckiéj dyskrecyi.

Malutki dwór młodéj pary składał się z osób wybranych przez króla i z tak zwanych przyjaciół, wybranych przez księcia, gdyż pierwsi nie odpowiadali zupełnie jego umysłowym potrzebom. Opowiadają o jednym z tych dygnitarzy, von Morien, iż jakiś lord angielski, polecając mu hr. Essex, który pragnął się przedstawić królowéj pruskiéj, zakończył swój list tym żartém: „Możesz pan być pewny, że to nie ten hr. Essex, któremu królowa Elżbieta kazała uciąć głowę". Sumienny von Morien, przyzwyczajony przez króla-sierżanta do pedantycznéj dokładności, wygłosił z należytą powagą na posłuchaniu: „Najjaśniejsza Pani! hr. Essex... ale mogę zapewnić Waszą Królewską Mość, że to nie ten, któremu królowa Elżbieta kazała uciąć głowę".

Sąsiedztwo, jeśli mamy wierzyć Fryderykowi, to wzory do komedyi lub do karykatury. On sam zostawił opis jednéj z wizyt zrobionych i oddanych, którą tu przytoczyć warto, „jako zabawny rozdział z opowiadań o Rheinsbergu, a przytém malujący ton domu".

W pobliżu Reinsbergu mieszkał książę Karol Ludwik Fryderyk Mirow, pan na Mirowie, brat panującego księcia w Meklemburg-Strelitz. Pewnego pięknego poranku Fryderyk wybrał się doń w odwiedziny konno, w towarzystwie tylko jednego adjutanta i, przybywszy do Mirowa, zostawił konie na poczcie, a sam pieszo udał się do zamku.

Na zwodzonym moście, prowadzącym do rozsypującéj się w gruzy wieży, grenadyer stojący na straży, odpasawszy ładownicę i odłożywszy strzelbę na bok, robił pończochę na drutach.

— Skąd i dokąd idziesz? — woła (straż), zobaczywszy obcego człowieka.

— Przychodzę z poczty, a idę na drugi koniec mostu—odpowiada Fryderyk.

Grenadyer wystraszony tak niezwykłym w Mirowie wypadkiem, woła kaprala. Kapral, błogiego używający wczasu, wybiegł na alarm boso i w bieliźnie, prosto z łóżka. I jemu widok obcych ludzi w nieposzlakowaném umundurowaniu wydał się nadzwyczajném zjawiskiem.

— Dokąd idziecie?—pyta.

Fryderyk, pomijając pytanie milczeniem, wkracza na dziedziniec. Prawdopodobnie jestem u celu—mówi do siebie, przypatrując się ruderze, ozdobionéj dwoma herbowemi tarczami. Puka raz, i drugi, i trzeci; wreszcie ukazuje się na progu stara baba, podobna do czarownicy, a spostrzegłszy nieznajomego przybysza, zamyka mu drzwi przed nosem. Fryderyk jednak nie zraża się niefortunnym wstępem i szuka daléj gospodarza. Idzie do stajni. Tu wreszcie dowiaduje się od stajennego, że Jego Wysokość udała się do Neu-Strelitz z żoną i całym dworem.

Neu-Strelitz leży o dwie mile od Mirowa i Fryderyk, postanowiwszy dopełnić obowiązku grzeczności sąsiedzkiéj, wziął konie na poczcie i pognał tam, gdzie się spodziéwał nakoniec spotkać gospodarza. „O południu odbył wjazd do stolicy, która się składała z jednéj tylko ulicy, zamieszkałéj przez dworzan, urzędników i służbę". Ks. Mirow był właśnie na obiedzie w Konowie u matki, o pół mili drogi daléj. Widocznie złowrogie omen uwzięło się na Fryderyka. Głodny, dał się zaprowadzić przez swego adjutanta do jakiegoś jego znajomego na śniadanie, ale zachował *incognito*. Rozmawiano naturalnie o panującym, który celował w szyciu kaftanów. Ten szczegół zachęcił Fryderyka do zaznajomienia się z Książęcą Mością o tak nieszkodliwych dla europejskiego pokoju upodobaniach. Przedstawiony pod obcém nazwiskiem, został uprzejmie przyjęty, tylko nie wiadomo, jakby się toczyła rozmowa, gdyby radca nie podszeptywał odpowiedzi swemu władcy, który miał być do najwyższego stopnia nieśmiałym. Po audyencyi obaj nasi podróżnicy puścili się do Konowa, czyli tamecznego Wersalu, to jest wiejskiego domu myśliwskiego z młynem. Fryderyk wstąpił do młyna i kazał się zaanonsować.

Mistrz dworu przyszedł go powitać w imieniu ks. Mirowa i zaprosił do pałacu. Była pora obiadowa i wszyscy zasiedli do stołu, ale kuchnia odpowiadała pałacowi i biédny gospodarz zażenowany, sklecił naprędce bajeczkę, że najlepszy kucharz właśnie złamał sobie rękę, wracając z miasta ze sprawunkami i że wszystkie wiktuały zepsuły się... Trudno zgadnąć, z jakiéj przyczyny... bo chyba nie dlatego, że kucharzowi przytrafił się wypadek. Za przedmiot do rozmowy służyły

genealogie znakomitych rodzin prowincyonalnych, a wywody swe popiérał amfitryon gęstemi kielichami wina.

Rewizyta odbyła się w ciekawy téż sposób, a Fryderyk znów sobie pozwolił na jeden z tych konceptów, któreby nigdy nie przyszły na myśl dobrze wychowanemu człowiekowi.

Ks. na Mirowie zapowiedział swe przybycie sztafetą; Fryderyk postanowił go przyjąć, na drwiny, tak uroczyście, jak gdyby to był cesarz. Gdy przed pałacem żołnierze prezentowali broń, a generał witał gościa u bramy, Fryderyk oczekiwał nań w sali otoczony całym swym dworem. W tém otwarły się podwoje i generał zaanonsował:

— „Oto książę Kajuka.”

Wszyscy parsknęli śmiechem i Fryderyk musiał wysilić swój dowcip, aby zatrzéć na przybyłym niemiłe wrażenie wywołane niewczesnym żartem swego dworzanina, któremu zresztą nie wziął tego za złe. Wogóle cała wizyta była nieustannemi drwinami; w końcu Fryderyk zaproponował strzelanie do celu, dlatego że dészcz padał i niszczył ubranie; on zaś chciał widziéć, z jakiém usposobieniem znosić będzie ks. Mirowa uszkodzenie swego wizytowego stroju.

Podobnych znajomości i stosunków wystrzegał się Fryderyk jak ognia, to téż grono tak zwanych przyjaciół, których sobie dobrał, składało się z ludzi inteligentnych, wykształconych, miłych. Myliłby się jednak ten, ktoby w téj przyjaźni widział jakąś duszną potrzebę, jakiś cieplejszy objaw serdeczny. Fryderyk chciał urządzić sobie życie wygodne i przyjemne, oraz wyzyskać cudzą wiedzę dla własnéj korzyści. Ten elegancki młodzian, bawiący się w „przyjaciela ludzkości”, to jeden z największych egoistów, który nie zapomina nigdy o sobie. Towarzystwo domowe w Rheinsbergu nie było liczne; gdy się znajdowało w komplecie, nakrywano do stołu na jakie dwadzieścia osób. Zgromadzano się dwa razy dziennie u stołu, zastawionego delikatną kuchnią francuską; pito wino francuskie, rozmawiano po francusku. Rozmowa toczyła się—jak powiada sam Fryderyk w jakimś wierszyku — „o filozofii, o zamiłowaniu prawdy, o astronomii, poezyi, malarstwie, historyi, starożytnościach, talencie, geniuszu, Grecyi, Włochach, wreszcie o miłości, rozkoszy”, o wszystkiém, jedném słowem, a w duchu i w tonie jakie przedstawiał Wersal i Wolter. Co wieczora bywał koncert, albo amatorski teatr, czasem balowano i urządzano maskarady, raz nawet hulano tak, aż się popito i potłuczono szklanki, ale popito się szampanem i potłuczono kieliszki z całą gracyą *des petits maîtres* i pasterek.

Taka jedna strona medalu; wdzięczna, efektowna, godna pędzla

francuskiego pastelisty; druga za to poważna i surowa, jak życie i jego obowiązki.

Na szczycie jednéj z wież—pozostałości po starém zamczysku — znajdował się obszerny gabinet, do którego nie dochodziły żadne głosy, ani z zewnątrz, ani z wewnątrz domu; przez trzy okna w grubym murze widać szczyty drzew, wody jeziora i sklepienie nieba. Tu Fryderyk spędzał większą część swego czasu. Zwykle, wstając od stołu, po niedługiéj chwili odchodził do siebie, by pracować. Rzadko kiedy odbył przechadzkę z którym ze swych przyjaciół, prowadząc wtedy poważną całkiem rozmowę. Z pościeli zrywał się o 4-éj i czytał przez 6 godzin z rzędu; przez dwie następne streszczał swą lekturę i wypisywał ustępy. Po obiedzie znów pracował, nieraz do 2-éj w nocy. Próbował nawet nie sypiać wcale, lecz omal nie przypłacił życiem téj próby. Sceptyk ów bez serca jedną miał tylko namiętność — intelektualną; pragnął obszernéj wiedzy — i w Rheinsbergu oddał się jéj całkiem. „Filozofia, historya, literatura, matematyka, fizyka pociągały go. Miał wprawdzie swe predylekcye, ale się chciał poinformować o wszystkiém. Za obowiązek swój uważał pojąć wszystko, co się pojąć daje, uczył się dla saméj przyjemności uczenia się, dla miłości wiedzy, ale szukał swéj korzyści w naukach, które na pozór wydają się najbezinteresowniejszemi. Zaś we wszystkiém zachowywał przedziwny porządek.”

Owa praca, urabiająca Fryderyka II-go takim, jakim się okaże przez czterdziestosześcioletnie swe panowanie, jest najważniejszym momentem w jego życiu: tu on przychodzi do samopoznania, do zdobycia przekonań, do obmyślenia planów na przyszłość i sposobów w ich przeprowadzeniu. Trudno o większą jednolitość teoryi młodocianych z czynami późniejszych lat. Ten człowiek nie był nigdy młodym duchowo. W rannéj dobie życia przygotowywał to, co miał wykonywać jako mąż dojrzały aż do podeszłego wieku. Zaiste, nadzwyczajna to historya, można powtórzyć za autorem, i warto ją, według niego, choć w krótkich słowach przedstawić czytelnikowi. Z jednéj strony jestto wzór samodzielności, z drugiéj—wzór wybornego studyum psychologicznego na podstawie dokumentu. Nie wiem, czy wiele tego rodzaju i téj wartości prac znajdzie się w historyczném piśmiennictwie francuskiém; możnaby tylko rzec, iż to jest raczéj studyum pedagogiczno-psychiczne, autor bowiem zajmuje się przeważnie tém, czego się jego bohatér uczy, jak się uczy i czego się nauczył, czyli jaki się z niego wyrobił człowiek? Ale właśnie zadaniem najwyższém pisarza jest odtworzenie człowieka. Że zaś w danym razie idzie o dziejową postać, owo

studyum pedagogiczno-psychiczne jest zarazem dziełem historycznėm i, dodać można, niepospolitém dziełem.

Wiadomo, że Fryderyk II-gi pisał wiele (jego poważniejsze prace i przeogromna korespondencya, wraz ze wszystkiemi próbami wierszy i prozy wynoszą 30 tomów) i że prawdomównością nie grzeszył. Ów Machiawel północy zaczął od zbijania Machiawela południa; bawił się w „przyjaciela ludzkości", opiewał rozkosze mierności majątkowéj, krótko mówiąc: kłamał tak, że go chyba jeden Wolter prześcignął, który (powiada Brunetière) kłamał jak nikt w świecie *(Jamais personne au monde, n'a menti comme Voltaire. Etudes critiques)*. Wydobycie zatém na jaw prawdziwych rysów przedstawiało nie małe trudności. Autor uprościł sobie zadanie, badając kolejno główniejsze przedmioty studyowane przez swego bohatéra, w których tenże złożył „swych myśli przędzę i swych uczuć kwiaty", przędzę zwikłaną umyślnie, kwiaty blade i bezwonne, -- ale bystrość umysłowa, finezya, dar intuicyi pomogły dziejopisowi przez wczytanie się w materyał, przez zestawienie zdań z sobą, porównywanie najsprzeczniejszych z logicznėm postępowaniem lat dalszych — odszkicować wizerunek wewnętrzny o tyle podobny, o ile jest podobném odgadnięcie czegoś tak tajemniczego, tak zmiennego i przeobrażającego się jak wewnętrzna istota nasza.

„Fryderyk, będąc literatem w duszy, ale nie mniéj pragnąc posługiwać się wpływem piśmiennictwa, postanowił zostać pisarzem." Ćwiczy się w wyrobieniu stylu, podobnie jak się inni ćwiczą w grywaniu gam na fortepianie, a że, według tego największego z królów pruskich, tylko j ę z y k f r a n c u s k i zdoła godnie wyrazić myśl ludzką, zaczyna się go uczyć w Rheinsbergu. Choć ma na swym dworze Francuzów i korektora czy kopistę, to mu nie wystarcza; Wolter jest jego ideałem; u niego rady zasięga, a ten, jakkolwiekby wolał tylko schlebiać i komplementami karmić swego dostojnego korespondenta, nie może się uchylić całkowicie od jego żądań. Ze znaną swą zręcznością dworaka, przysyła mu od czasu do czasu jaką uwagę okraszoną dowcipem i galanteryą, ale i tego dość dla pojętnego ucznia, który nietylko że doszedł do władania obcą mową jak własną, ale przejął się duchem swego mistrza.

W literaturze Fryderyk ceni najwięcéj to, co rozrywa i zajmuje, co bawi; jako filozof „nie cofa się przed poważnėm zagadnieniem, ale myśli wraz z Wolterem, że lepiéj być wesołym w gorączce, jak smutnym w zdrowiu. Nie odznacza się téż estetycznym smakiem, który sam określił najlepiéj tym wierszem:

„de la brillante poésie
Au poids de la raison je pèse les beautés.“

A że uczucie poetyckie i poczucie artystyczne nie dadzą się zważyć czy zmierzyć tym sprawdzianem, że na to potrzeba, jak radzą mistrze „mieć serce i patrzéć w serce”, bo *„l'esprit a beau faire du chemin, il ne va jamais aussi loin que le coeur”*, a kto zrozumiéć wieszcza chce, musi dotrzéć do wieszczéj krainy *(Wer den Dichter will verstehen, Muss in Dichters Lande gehen)*, przeto z kronprinza nie tęgi poeta i znawca. Przenosi np. „Henryadę” nad „Iliadę” i „Odysseę”, literaturę łacińską nad grecką, nie rozumié ani Shakespeara, ani Dantego, ani nawet swego kraju; powiada, że nigdy nie będzie dobrych książek w Niemczech. „Żaden Francuz nie był bardziéj Francuzem i klasykiem, jak ów pruski następca tronu”, dla którego nic istnieje ani odrodzenie się włoskie, ani wieki średnie, ani reformacya. Prawdomówny autor, który wytyka przy każdéj sposobności wady narodowe, by je wykpić, dodaje *à propos* téj nieświadomości Fryderyka: *par là il nous appartient encore et son ignorame est du classiquè le plus pur.*

Jeśli z pedantycznego zamiłowania reguł i regułek w dziedzinie piękna, do tego stopnia, że zimnego Boileau nazywa „boskim” (!), a od poezyi żąda, aby została nauczycielką ludzi *(le bien et le repos de la société font le principal but du poème)*, poznajemy jedną stronę umysłu kronprinza, a nawet wnioskujemy o oschłości serca, niezdolnego odczuć rzeczywiste piękno, to w jego studyach filozoficznych i pismach poważnych znajdujemy podstawę do wyrokowania o nim.

Już przed zamieszkaniem w Rheinsbergu religijność Fryderyka była mocno nadwerężona, tu znika zupełnie; niejednokrotnie powstaje on przeciw dogmatom i Pismu św., religię „nie dość że odrzuca, lecz nią pogardza”, bo w każdéj widzi okowy dla myśli ludzkiéj. Ale jeśli nie cierpi wyznań, uważając za resztki barbarzyńskiéj ciemnoty, „jeśli nie pojmuje wcale godności uczucia religijnego”, zna dobrze siłę kościołów i nie wejdzie im w drogę.

„Dzieje mu powiedziały, że nie należy się mieszać do sumienia ludów” i że książęta zapominający téj prawdy źle na tém wyszli. On nie zapomni jéj nigdy.

„Tu właśnie się zapowiada jedna z osobliwości przyszłego panowania i jedna z rzadkości dziejowych. Acz nie chrześcianin, a wolnodumiec, Fryderyk prześladować za wiarę nie będzie i zachowa sobie swobodę postępowania, jakiéj nie znał żaden z jego poprzedników.

„Wprawdzie dążyli oni do niéj stopniowo. Elektor Joachim zwiększył swą władzę w dniu, w którym przeszedł z katolicyzmu na

luteranizm, najpotężniejszy bowiem książę katolicki nie jest panem u siebie... Nawrócenie się na kalwinizm jego następcy Jana Zygmunta, było nowym ważnym w historyi pruskiéj wypadkiem. Poddani jego byli po większéj części luteranami, musiał zatém szanować ich przekonanie, lecz nawzajem zmusił ich do szanowania swego; w ten sposób tolerancya stała się koniecznością w tém państwie... Fryderyk Wilhelm tworzy sobie wyznanie na poły luterskie, na poły kalwińskie", ale to fanatyk i nieuk, który znieważa katolicyzm, a wyśmiewa naukę. Syn jego „jest po za obrębem wszystkich kościołów, toż żaden z nich nie ścieśni ani jego rządów, ani jego polityki. Na wszystkie sekty spogląda on z wyżyn filozoficznéj bezstronności, do któréj się domieszało trochę politowania, a daleko więcéj lekceważenia dla słabości ludzkiéj. Będzie zatém wyrozumiałym dla tych kalek". A w wolności sumienia i wolności umysłowéj widzi on zarodki postępu, i marzy o przyszłéj stąd sławie Berlina, który prędko po jego zgonie nazwano „miastem inteligencyi". Przepowiada on niemal wielką szkołę berlińską, tę dziwną potęgę, to miejsce wolności filozoficznéj w kraju karnym, wolności względem wszystkich, nawet względem Boga, tylko nie względem króla."

To też można powiedziéć, że „Fryderyk, rozmyślając w Rheinsbergu nad religią, pracował bardzo skutecznie dla króla pruskiego".

Do negatywnych wniosków przyszedł i w filozofii, a zawód ten snać był mu niemiły, bo się wyraża o nim z goryczą. Chcesz-li stworzyć jaki systemat?... Uwierz sam w siebie, zaimponuj drugim, ogłoś, żeś zrobił największe dla dobra ludzkości odkrycie, wywodom swoim nadaj cechę prawdopodobieństwa — a nowa szkoła filozoficzna założona...

W religii—niewiara. w filozofii—negacya, sceptycyzm we wszystkiém, toż to czynniki rozkładowe, zwiastuny śmierci... Zapewne, dla istot nerwowych, słabéj woli jak Płoszowski lub Dorsenne, ale Fryderyk posiada dzielną wolę i dzielną głowę, więc z rozbicia duchowego ocala pewne skarby.

Z przedziwną bystrością autor pochwycił ten ciekawy proces wewnętrzny i streszcza go żywo a jasno.

Prawda, że „surową i ponurą jest filozofia Fryderyka", ale napotykamy w niéj kilka punktów, które za drogoskazy służą; więc najpierwszy: „co jest najrzeczywistszego w nas, to życie". — Ale, jeśli reszta jest niepewném i niejasném, czy się nie będzie żyło w ciemnościach?... Nie: „jeśli nie możemy zgłębić przedmiotów abstrakcyjnych, posiadamy jednak dość światła, by się rządzić w świecie". Czy mamy na to wolną wolę? „W polityce, zamiast badać, czy mamy lub

nie mamy wolnéj woli, powinniśmy wyrabiać roztropność i przezorność". Na co się zdała przezorność i roztropność, skoro wypadków przewidzieć nie można? „To się dość rzadko zdarza i te przykłady nie uwalniają od przezorności i roztropności", wreszcie konkluzya: „Nie o to idzie, by ciągnąć do późnego wieku leniwe pasmo niedołężnych dni, ale o to, by jak najwięcéj się zastanawiać, jak najwięcéj spełnić czynów pięknych i pożytecznych — tym tylko sposobem żyje się właściwie".

„Zatém wszystko, co mogło szkodzić działalności *(activité)*, zostało usuniętem... jeśli się pokruszyły systematy filozoficzne, pozostał duch filozoficzny i metoda do kierowania się w życiu". Zdobycze te służyć mu będą w ciągu całego panowania, do którego wymienione zasady przygotowują go zawczasu. Podobnie, jak z kodeksem postępowania, zrówną bystrością znajomi nas autor z teoryą polityczną Fryderyka. Wiadomo, że książę, udając „przyjaciela ludzkości", odpiérał zasady Machiawela, ale bardzo by się omylił ten, ktoby uwierzył w szczerość jego protestów. Wszak powiada, że wojny obronne są słuszne, następnie, że wojny o utrzymanie pewnych praw i roszczeń są nie mniéj od pierwszych słuszne, daléj, że zaczepne są również sprawiedliwe, w końcu i wojny z przezorności, to jest te, w których się uprzedza przeciwnika, mają zupełną racyę bytu. Powiada daléj, że życie jest pewnego rodzaju grą, w któréj się natrafia na oszustów, i że się trzeba nauczyć oszukiwać, by nie zostać oszukanym samemu — a choć dowodził, że książęta powinni ściśle dochowywać traktatów, dodaje, że się trafiają okoliczności, w których potrzeba je zerwać.

Pomijając dalsze wywody, z tych kilku widać jednozgodność zasad, między Machiawelem a Fryderykiem, i można odgadnąć kardynalną podstawę przyszłéj polityki króla cynika; podstawą tą będzie: interes własny, a prawem—prawo mocniejszego.

Jakim jest człowiekiem ten pisarz-klasyk, ten przebiegły i przewidujący za młodu polityk, jak wytrawny stary dyplomata? Nie wiem, czy nie po raz pierwszy zadano tak jasno tego rodzaju pytanie? Czy nie po raz pierwszy zidentyfikowano zalety władcy z zaletami prywatnego człowieka? Autor bowiem twierdzi stanowczo, że jedne dają się tylko wytłómaczyć przez drugie i że „historya nie powinna lekceważyć domowego życia wielkich ludzi, *car ils n'ont pas deux façons de vivre*, jednakowo się zapatrują na swe sprawy i na sprawy publiczne". Fryderyk sam odróżnia księcia od człowieka; znajdujemy w jego pismach to zdanie: „panujący, którzy byli wprzód ludźmi, zanim zostali królami". Ma on nawet rozwinięte to poczucie, gdyż zna swą wartość; wié, że bez korony znaczyłby sam przez się, ale nie jestto człowiek do-

bry i szlachetny, jakiego wzór kréśli religia i filozofiia. Wprawdzie zaręcza, że moralność chrześciańska jest zasadą jego postępowania, że ma tkliwe sarce, że kocha ludzkość, ale to są słowa, „a słowo tylko, to marna połowa..." Prawda, że o łzy mu nie trudno, ale ludzie skłonni do płaczu, zwykle pocieszają się bardzo prędko... Wyléwa się w zapewnieniach czułości, ale to stylistyka ówczesna... Kocha swych przyjaciół—ależ sam przyznaje, że „my, książęta, jesteśmy interesowani" [1]). Kółko, jakie urządził sobie w Rheinsbergu, jest téj maksymy potwierdzeniem. Potrzebował budowniczego, malarza, muzyków, oficerów, kopisty, któryby jednocześnie był krytykiem i żywym dykcyonarzem, więc dobrał ich sobie, korzystał z nich, i w dodatku darzył swém przywiązaniem", ale jednocześnie i wyśmiéwał tych swoich ukochanych. Zbiéra autografy Woltera, ale zbiéra i paszkwile nań pisane. Nie szczędzi hołdów „boskiéj Emilii", a jednocześnie z niéj szydzi; zapewnia o swym szacunku ludzi, którymi pogardza; przed ojcem się płaszczy, ludzkością, którą kocha, pomiata, żonie, miłéj i zacnéj kobiécie, która go kocha, powié (przez jakąś okrutną mściwość za to, że z rozkazu ojca ją poślubił) w dniu, gdy zostanie królem, bywaj pani zdrowa!... Czy więc jest on dobrym?...

— Nie, nie jest dobrym—odpowiada autor stanowczo.

Ma przecież wielkie zalety: stałość w przeciwnościach, wytrwałość w przedsięwzięciach, pracowitość, umiarkowanie, tylko brak mu serca. Jest on raczéj mędrcem, niż dobrym, szlachetnym człowiekiem.

Na wyrabianiu się jako człowiek i kierownik ludów mija kronprinzowi czas w Rheinsbergu. Jeśli do wymienionych zajęć literackich i filozoficznych dodamy pilne śledzenie polityki, badania nad ówczesnym stanem Europy, przyznać trzeba, że owe lata w samotności spędzone, są pracowitym zasiewem przyszłych plonów. We wszystkich czynach króla znajdziemy zasady księcia. Systematyczność naukowa przeniesiona zostanie na pole działalności praktycznéj, rozwaga, zachowywana w życiu praktyczném, powtórzy rządach państwa i t. p.

Bardzo trafnie charakteryzuje Larisse swego bohatéra: „Żadna strona jego działalności umysłowéj—literatura, filozofia, polityka—nie zapowiada geniuszu, nie olśniewa, ale jest pewnym rodzajem geniuszu, bardzo rzadkiego, równowaga tych stron. Geniusz Fryderyka zimny, jak czysty rozum, pewny siebie, pan siebie, szczery względem siebie i tém zdolniejszy do oszukiwania drugich; wolny od upodobań, od prze-

---

[1]) Nous autres princes, nous avons tous l'âme interessée, et nous nefaisons jamais de connaissances que nous n'ayons quelques vues particulières et qui regardent directement notre profit.

sądów i namiętności, bezstronny — co znaczy obojętny na wszystko, co nie jest nim i korzyścią Prus; niezłomny do bohatérstwa, niezmiernie śmiały, ale nie awanturniczy, nie rojący o niepodobieństwach, świadomy swych celów i sił — będzie żądać wszystkiego, co otrzymać może; lecz nie nadto. Nie popełni błędów, bo umysł jego nie zna słabości, a jego wyobraźnia nie zna zachcianek. Umysł to zimny, jak lody północy, choć odziany wdziękiem młodości, podobny do tych wiosen Rheinsbergu, gdzie wiatr, lecący od Baltyku i ogromnéj wschodniéj równiny, mrozi nagie posągi greckie i smutno szumi w jodłowych lasach."

Dnia 28 maja 1740 r. Fryderyk Wilhelm I i Fryderyk II spotkali się może po raz pierwszy w życiu, bez rozgoryczenia i niechęci wzajemnéj. Ojciec zrezygnowany w pewności bliskiego zgonu, syn niepamiętny przeszłości w takiéj chwili: *ils s'aimaient enfin in extremis...*

Dnia 31 maja tegoż roku rozpoczęły się nowe rządy i w pierwszych rozporządzeniach dostrzedz się dało znakomite przygotowanie się młodego króla do przypadłéj mu roli. Charakterystyczny, zgodny z powziętemi zamiarami i przekonaniami, jest pierwszy jego krok na europejskiéj widowni.

Było to w jesieni. Fryderyk zapragnął raz jeszcze odwiedzić Rheinsberg i raz jeszcze porozmyślać w ulubionéj samotni. Pewnego ranku przy końcu października, przyleciał kuryer z depeszą wielkiéj wagi. Król był chory na gorączkę i leżał w łóżku; zrazu adjutant nie śmiał wejść, ale po niejakiem wahaniu się zdecydował się otworzyć drzwi i podać papiéry. Bez najlżejszego wrażenia w milczeniu przyjął król pruski wiadomość o śmierci cesarza Karola VI-go. Dlaczegóżby miał się wzruszać? Pisze tylko do Woltera z niejaką uroczystością, że to „jest owa skała Nabuchodonozora, spadająca na twarz czterech kruszców i niszcząca je..." ale do przyjaciela swego, Algarottiego, mówi: Taka drobnostka, jak śmierć cesarza, nie wymaga wielkich wysiłków. „W s z y s t k o b y ł o p r z e w i d z i a n e i u ł o ż o n e..." A w pięć tygodni potém, jak przewidział i ułożył, śmiały, jak bohatér, spokojny, jak filozof, wzniecał król pruski pożar w Europie..."

Taką jest w pobieżném sprawozdaniu treść niepospolitego dzieła Lavisse'a *Le grand Frédéric avant l'avenement*, którego pierwsze rozdziały (jak: *L'horizon de l'esprit* i następne, do: *La veillée du règne*, albo: *La critique des jugements de Frédéric)* są pod względem artystycznym ślicznemi klejnotami, pod względem naukowym mistrzowskiém badaniem duchowéj istoty człowieka. Jeśli zaś i tu, podobnie jak w poprzedniém na tém miejscu, omawianiu dzieł tegoż autora, szukać

zechcemy jego poglądów i metody historycznéj, natrafimy na dwa zdania, dopełniające dawniejsze: pierwsze (zacytowane wyżéj), to nacisk na doniosłość dziejową wartości indywidualnéj danéj jednostki, objawiającéj się w życiu prywatném; podniesienie tego życia do godności faktu historycznego; drugie (wyrzeczone na publiczném posiedzeniu)—to jego teorya estetyczna, ściśle związana z tąż metodą: „Celem ostatecznym nauk wyższych — powiada on w przemowie do swych słuchaczy—jest znajomość człowieka i współzawodniczą z sobą inteligencye narodów w wypowiedzeniu téj świadomości w filozofii, w literaturze, w historyi. Zaś ludzkość wdzięczną jest tym, którzy ją pouczają o niéj-że saméj; przyznaje im pewną wyższość umysłową, ale ta wyższość nietylko jest chlubną, lecz i pożyteczną tym ludom, które ją posiadły."

Jakoż pokusił się o odtworzenie typu egoisty oświeconego, nie z literackiego amatorstwa, lecz — jak powiada — z ciekawości, którą w nim budzą i początki tworzącego się państwa i urabianie się charakteru człowieka. Odmalował dzieciństwo Fryderyka II-go, jego życie prywatne i zatrzymuje się na jego wstąpieniu na tron. Poznaliśmy człowieka,—teraz występuje król na scenę... Dalszego ciągu monografii Fryderyka II-go nie będzie.

Litawor.

Paryż, 1894. Marzec.



NAJNOWSZY WYNIK BADAŃ LINGWISTYCZNYCH.

(„Vermenschlichung der Sprache." Von Dr. J. Baudouin de Courtenay. Hamburg 1893).

Jak wiadomo, w przeciągu ostatniego stulecia powstał cały szereg nauk i umiejętności, o których przodkowie nasi z ubiegłych wieków ledwo niejasne mieli przeczucie. Do liczby takich młodych nauk należy i lingwistyka.

Nauka staje się umiejętnością, nauką ścisłą, czyli raczéj względnie ścisłą, dopiéro wtedy, gdy w tłumaczeniu i objaśnianiu zjawisk posługiwać się zaczyna pewną metodą, która usuwając wszelką dowolność i czysto racyonalistyczne zachcianki, daje wyniki najbardziéj zbliżone do prawdy, t. j. względnie prawdziwe. Tak np. w naukach przyrodniczych teorya ewolucyjna Darwina nie jest bynajmniéj żadnym pewnikiem, lecz tylko hypotezą wielce prawdopodobną, którą może być z czasem zastąpiona przez inną, jeszcze prawdopodobniejszą. Do umiejętności zaliczyć już obecnie trzeba takie nauki jak historya polityczna, historya literatury, językoznawstwo, etnologia z najmłodszą swą gałęzią folklorystyką i inne; nie nie są to jeszcze nauki ścisłe jak matematyka, ale są na drodze ku ścisłości, jak np. nauki przyrodnicze. Każda z nich wyrobiła już sobie pewną metodę badania; każda ucieka się nieraz, przy ojaśnianiu zjawisk, do innych nauk pomocniczych. Jak historyk państw bez socyologii, historyk zaś literatury bez wykształcenia filozoficznego obejść się nie mogą, tak dla językoznawcy, oprócz anatomii i fizyologii organów mownych oraz akustyki, niezbędną i główną

nauką pomocniczą jest psychologia. Nie trzeba bowiem zapominać, że język jest zjawiskiem psychiczno-społecznem, nie zaś przyrodniczém, jak twierdzili niektórzy badacze (Schleicher, Maks Müller, u nas Kruszewski i inni).

Przed laty niespełna trzydziestu począł się nowy kierunek badań językowych, którego koryfeuszami są obecnie Leskien i Brugmann w Niemczech, De Saussure we Francyi, oraz rodak nasz Baudouin de Courtenay. Lingwiści ci i inni ustalili następującą zasadę metodyczną, do któréj się badacze języka odtąd stosować muszą: Wszystkie zjawiska językowe w pewnym języku w pewnéj dobie dadzą się wytłumaczyć pewnemi stałemi prawami [1]), t. zw. wyjątki są to albo przyswojenia z innego języka, albo zjawiska szczątkowe z innéj doby historycznéj języka, albo też są to twory analogiczne, czyli powstałe przez asymilacyę. Gdy np. obok *ująć, podjąć, wyjąć, zdjąć* i t. p. mamy *wziąść* zam. *wziąć*, to „wyjątek" ten nieprawidłowy powstał w skutek upodobnienia do siąść, prząść i t. p.; forma *ręku* w wyrażeniu „w swoich ręku" (obok w swoich rękach) jest zjawiskiem szczątkowem, formą pozostałą z dawniejszéj liczby podwójnéj; *u* na miejscu nosówki w sm*u*tny (obok smętny) da się wytłumaczyć tylko przez przyswojenie; wyraz ten (i smutek) jest w saméj rzeczy zapożyczony z języka czeskiego.

Jedném z głównych zadań lingwistyki jest śledzenie wpływu języków obcych na pewien język. I tutaj możemy postawić twierdzenie, że wyrazy obce przyswajane nieświadomie podlegają stałym, jednakowym przemianom; zboczenia sporadyczne są spowodowywane albo czynnikiem psychicznym czyli t. zw. etymologią ludową (t. j. upodobnieniem do wyrazu swojskiego), albo czynnikiem akustycznym, t. j. niedokładném uchwyceniem obcego wyrazu (przesłyszeniem), albo téż są to pożyczki z innego języka lub narzecza [2]).

Najdonioślejszą zdobyczą na polu badań porównawczych języków indo-europejskich w pierwszéj ćwierci naszego stulecia było odkrycie przez Raska i Grimma prawa stałéj odpowiedniości dźwięków w różnych językach téj grupy; jest to t. zw. przez prof. Baudouina de Courtenay zasada k o r e s p o n d e n c y i różnojęzykowéj, czyli

---

[1]) Jako „prawo" rozumieć tu należy przyzwyczajenie czy nałóg językowy danego narodu; t. j. używanie wyłączne pewnych dźwięków (lub połączeń dźwiękowych) i form.

[2]) „Wyrazy niemieckie w języku polskim pod względem językowym i cywilizacyjnym." Warszawa 1893. (Odb. z t. IV Prac Filolog.).

jak ją zwą Niemcy, *Gesetz der Lautverschiebung.* Np. gdzie mamy w sanskrycie *bh*, tam — w morfemach etymologicznie spokrewnionych — języku starogreckim znajdziemy φ, w łacińskim *f* (lub *b*), w niemieckim, litewskim i słowiańskich *b*. Tak sanskr. na*bh*as odpowiada etymologicznie greck. νεφέλη, łać. ne*b*ula, niem. Nebel, litew. de*b*esis, pol. niebo; sanskr *bh*avati — grec. φύω, łać. *f*ui, niem. *b*in, litew. *b*uti, pol. *b*yć i t. d. — „*Die Auffindung der Gesetze der ersten Lautverschiebung*" powiada Brugmann, „*war für die gesammte Sprachwissenschaft insofern epochemachend, als sie klar stellte, dass jede besonnene historische Erforschung einer einzelnen Sprache mit der Frage beginnen müsse, wie die einzelnen Laute dieser Sprache sich zu denen der verwandlten Sprachen Verhalten. Sie war das Hauptbebel für das im Lauf der Zeit immer bewusster hervortretende Bestreben, das Lautsystem der indogermanischen Ursprache zu ermitteln und das Verhältniss des Lautbestandes jeder Einzelsprache zu diesem festzustellen.*"

Odkrycie to doprowadziło w końcu, po całym szeregu badań lingwistycznych, do ważniejszego jeszcze a niespodzianego wyniku, popierającego po części teoryę ewolucyjną pochodzenia człowieka. Doszedł do niego niedawno prof. Baudouin de Courtenay. Już w wykładach swoich uniwersyteckich wypowiadał on myśl o stopniowém przesuwaniu czynności narządów głosowych z gardła ku końcowi języka. Myśl tę sformułował ostatecznie, jako stopniowe uczłowieczenie mowy ludzkiéj, w artykule; „O ogólnych przyczynach zmian językowych," ogłoszonym w t. III „Prac filologicznych" (1890). Ale rzucona mimochodem w piśmie mało popularném, przeszła niepostrzeżenie. Obecnie odkrycie to swoje podaje prof. B. do wiadomości uczonych zachodu w broszurze napisanéj po niemiecku, zamierzając w przyszłości szczegółowiéj rozwinąć tę swoję hypotezę.

Rzecz się ma tak. Wiadomo, że jednym z głównych objawów zewnętrznych odróżniających człowieka od zwierzęcia, jest zdolność wydawania głosów artykułowanych. Gdy więc zwierzę może się posługiwać tylko głosami nieartykułowanemi, skoncentrowanemi w krtani, jak ryk, szczekanie, wycie, mruczenie, rżenie, bek, skowyczenie, gdakanie i t. p., — człowiek nietylko umié krzyczéć, jęczéć, stękać, śmiać się, chychotać, chrząkać, chrapać i t. p., ale może nadto mówić, t. j. artykułować dźwięki w jamie ustnéj. Ze spostrzeżeń naszych wiemy, że dziecko zaczyna mówić z chwilą gdy przestaje chodzić na czworakach i trzymać się zaczyna prosto; więc i narządy jego głosowe w szyi zawarte, tchawica i krtań,

przechodzą w położenie pionowe, co ułatwia artykułowanie. Wiemy również, że ptaki mogą naśladować mowę ludzką, czworonożne zaś nie.

Na podstawie świadectw pewnych, historycznie stwierdzonych, możemy już wykazać, że pierwotne spółgłoski przydechowe (*aspiratae)*, jak *ph*, *th*, *kh*, *bh*, *dh*, *gh* i t. d. zastąpione zostały stopniowo, z biegiem czasu, we wszystkich językach aryoeuropejskich przez spółgłoski nieprzydechowe, czyli że działalność krtani (t. j. strun głosowych w krtani) zmniejszyła się na korzyść działalności jamy ustnej (organów mownych w jamie ustnéj). Tak np. pol. ru*d*y, niem. ro*t*, łać. ru*b*er odpowiadają sanskr. ru*dh*iras, starogr. ἐρυθρός; pol. *b*yć, niem. *b*in, łać. *f*ui — sanskr. *bh*ávati, starogr. φύω i t. d. W językach sanskryckim i starogreckim istniały więc jeszcze przydechowe.

Następnie w jamie ustnéj zobaczymy stopniowe przesuwanie czynności wymawiania od tyłu ku przodowi, t. j. na miejsce działalności tylnojęzykowéj, występuje coraz bardziéj działalność przedniéj części języka.

Twierdzenie to popierają wnioski antropologów, oparte na odkryciach paleontologicznych. Prof. Baudouin de Courtenay powołuje się na badania Hamy'ego, Mortillet'a, Topinard'a i Renard'a, które udowodniły fakt, że przeddziejowy człowiek jaskiniowy nie posiadał wystającego podbródka *(tuberculum mentale)* i w związku z tém mięśnie, regulujące poruszenia przedniéj części języka, były krótkie i nierozwinięte; wskutek tego koniec języka człowieka jaskiniowego słabo był ruchomy.

Jeżeli się zwrócimy znowu ku dowodom lingwistyki porównawczéj przekonamy się, że t. zw. welarne, czyli najgłębiéj powstające tylnojęzykowe spółgłoski *k*, *g* w językach greckim, łacińskim, celtyckim i germańskich labializują się, czyli następuje tu przesunięcie czynności mownych od tyłu języka ku wargom. Np. pierwotne *g*iw— (skąd słowiańsk. żyw— odpowiada łać. *v*ivus, greck. βίος, niem. *qu*eck. W grupie zaś języków aryoeuropejskich azyatyckich (indyjsk., irańsk. czyli persk., armeńsk.) oraz w jęz. słowiańskich, litewskim i albańskim, mamy znowu przesunięcie drugiego szeregu (przedniejszego) tylnojęzykowych spółgłosek *k*, *g* od tylnéj części języka ku przedniéj. Weźmy np. pol. pro*s*ię, *s*łoma, *z*iarno, *z*nać i zestawmy te wyrazy z łać. por*c*us; greck. κάλαμος, niem. *h*alm; łać. *g*ranum, niem. *k*orn; łać. *g*nosco, niem. *k*ennen. Podobnie w języku francuskim: *ch*ien, *ch*ambre = łać. *c*anis, *c*amera, czyli *k* zastąpione zostało przez *sz*. Widzimy więc, że w obu razach

działalność tylnojęzykowa zmniejszyła się na korzyść warg i przedniéj części języka.

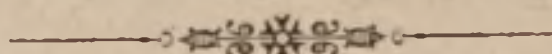
To samo potwierdza t. zw. palatalizacya czyli zmiękczenie spółgłosek pod wpływem sąsiednich samogłosek *e*, *i*: t. j. gdy na miejscu *ke*, *ki*, *ge*, *gi* i t. d. znajdujemy *cze*, *czi*, *że*, *żi* lub *ce*, *ci*, *dze*, *dzi* i t. d. np. to*cz*yć, mno*ż*yć (to*k*, mno*g*i); w jęz. włosk. *c*enere, *ci*ttà, *g*enere, *gi*nnasio; w franc. *c*endre, *ci*té; *g*enre, *gy*mnase, które zastępują łać. *ci*nis, *ci*vitas (t. j. *k*inis, *k*ivitas), *g*enus *g*ymnasium; w jęz. angiel. *ch*urch, *ch*ild odpowiadają niem. *Ki*rche, *K*ind. Do tej saméj kategoryi zmian językowych należy téż błędne, przez Niemców wprowadzone wymawianie starołacińskiego *k* jak *c*: zamiast *Kik*ero, *kek*ini, fa*k*it i t. p. — Cicero, cecini, facit.

A więc mamy tu znowu przesunięcie prac fizyologicznych od tyłu języka ku przodowi. Ten sam proces spostrzedz możemy w językach semickich. Do takiegoż wyniku doprowadzą prawdopodobnie, zdaniem prof. Baudouina de Courtenay, głębsze badania języków innych szczepów.

Wszędzie więc możemy stwierdzić stopniowe przesuwanie czynności wymawiania od dołu ku górze, czyli z krtani do jamy ustnéj i od tyłu ku przodowi, czyli od tylnéj części języka ku końcowi jego. Wszędzie działalność jamy ustnéj zwiększa się kosztem działalności krtani. „Jeżeli teraz pomyślimy, są słowa prof. Baudouina, że im daléj w szeregu wieków cofamy się wstecz, tém więcéj ludzkość mówiąca pracuje, przy wymawianiu, gardłem i wogóle tylnemi i niższemi organami mownemi; jeżeli nareszcie pozwolimy sobie przyciągnąć do porównania zwierzęta, których wszystkie głosy rodzą się dzięki czynnościom samego tylko gardła, to koniecznie będziemy musieli przyjść do wniosku, że to stopniowe przesuwanie czynności mownych z dołu ku górze i od tyłu ku przodowi, jest jedną z zewnętrznych cech ciągle postępującego c z ł o w i e c z e n i a mowy ludzkiéj, jak znowu wewnętrzną cechą tego postępu jest coraz to bardziéj rosnąca abstrakcyjność języka."

Rodzaj ludzki musiał w kolei rozwoju swego wyrobić w sobie zdolność artykułowania dźwięków; dopóki bowiem potrzebował tylko wyrazić uczucia swe lub spostrzeżenia, wystarczały mu mimika i głosy nieartykułowane; skoro jednak w umyśle człowieka powstawać poczęły pojęcia, abstrakcye, już mu pierwotny sposób (środek) porozumiewania się nie mógł wystarczyć. Jak więc przekonaliśmy się z wywodów prof. Baudouina de Courtenay i lingwistyka może potwierdzić hypotezę zwierzęcego pochodzenia człowieka.

G. Korbut.



ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

„Roślina i wyraz. Chmiel.“ Przez Erazma Majewskiego, Warszawa, 1893 r.

Odkąd nauki weszły na grunt realny, wyrugowawszy z pomiędzy swych środków pomocniczych wyobraźnię, spotykają się one na drodze do wspólnego celu, jakim jest odkrycie prawdy, a w razie potrzeby zdolne są okazywać sobie wzajemną pomoc. W tym bowiem koncercie nauk jedna z nich posiada częstokroć pod dostatkiem to, czego właśnie w zasobach drugiéj brakuje. Za wymowny dowód téj myśli może posłużyć przytoczona tu na czele praca pana Majewskiego, znanego przyrodnika i miłośnika archeologii. Autor stara się odnaleść ojczyznę chmielu i pochodzenie jego nazwy, a nie znajdując w literaturze botanicznéj żadnych wskazówek, wzywa na pomoc historyę, językoznawstwo i etnografię. Przewodnia nić jego wywodu da się ustalić w sposób następujący. Nazwa chmielu szła z Aryjczykami od wschodu. Najstarszą jéj formą jest wyraz *haoma*, oznaczający w kulcie irańskim bóswo, roślinę wijącą się i napój. U Indów toż samo wyraża *soma*. Na drodze Aryjczyków do Europy w języku ormiańskim spotykamy wyrazy, trzymające pod względem etymologicznym środek między *haoma* i słowiańskiém chmiel, a które oznaczają pojęcia pić, pijak; po nowo-persku zaś chmiel nazywa się hymel. Przyszedłszy do Europy, Aryjczykowie nie zastali nazwy dla chmielu, widocznie więc nie było tu i samego krzewu. Krzew ten już w X-ym wieku występuje u Słowian, jako oddawna znany, a wzmianki o nim w ich pieśniach i obrzędach wykazują ślady kultu irańsko-indyjskiego. Tymczasem w zachodniéj Europie spotykamy w IX-ym wieku zaledwie skąpe wzmianki o chmielu. Wobec tego wszystkiego przychodzimy

do wniosku, że ojczyzną téj rośliny musiały być okolice morza Kaspijskiego. Dodawszy do powyższych okoliczności to, że chmiel we wszystkich językach słowiańskich nazywa się, wogóle mówiąc, jednakowo, z czego pokazuje się, iż nie był to wyraz zapożyczony z zewnątrz, a z drugiéj strony zważywszy, że nazwy naszéj rośliny, które spotykamy po różnych miejscach Europy, są w etymologicznêm pokrewieństwie z słowiańskim wyrazem chmiel, — przekonamy się, że narody zachodnie zapożyczyły swą nazwę dla chmielu od Słowian.

Studyum pana M. jest pracą poważną, którą autor dobrze się zasłużył nauce, rozszerzając jéj widnokrąg. Dla dopięcia swego celu zmuszony on był zgromadzić mnóstwo szczegółów, które, umiejętnie użyte, doprowadzają go, zdaniem mojém, do zamierzonego celu. Piękną pracę p. M. czyta się z wielkiém zajęciem: z jednéj strony zajmują nas wysoce interesujące szczegóły, z drugiéj zaś, widząc małe środki a śmiałość założenia autora, z natężoną uwagą obserwujemy jego posuwanie się do celu. Wykład jasny, prawie popularny, nie pozwala czytelnikowi gubić się w szczegółach, całość więc wypada zupełnie przejrzystą. Nie można się jednak zgodzić na zdanie p. M. (str. 15), że obecność jednakowéj nazwy u plemion słowiańskich może dowodzić zapożyczenia (przez wszystkie plemiona?) wyrazu z zewnątrz. Nie pisałbym się również na zdanie, że wiersz w pieśni o chmielu: „Oj w górę, oj i na dół" należy objaśniać przez wspinanie się chmielu po tyczkach, albo (co nie wykazuje żadnego związku z chmielem) przez skakanie w dniu Kupały. Wolałbym zostać przy zdaniu p. Glogera, widząc dla niego nie dwuznaczny dowód w waryancie „To w izbie, to w komorze", albo w wyrazach: „nie robiłbyś z panienek niewiast", oraz w gwałtownym, namiętnym rytmie odmianek wiersza, o który chodzi.

Niech mi będzie wolno, kończąc swoje uwagi, dodać do pracy p. M. kilka słów od siebie, celem silniejszego zaakcentowania ważnéj myśli, która u niego zdaje się przebijać z pomiędzy wierszy.

Napróżno myt pra-aryjski otacza świętością napój haoma-soma, który miał darzyć nieśmiertelnością, a więc przypominał amrytę i ambrozyę, oraz dawał wesołość umysłu, siłę, animusz i odurzał. Nieśmiertelnością bowiem oczywiście nikogo nie obdarzył, a ze sposobu przyrządzania go, opisanego w Rig-Vedzie, przekonywamy się, że był to poprostu rodzaj naszego miodu do picia, albo piwa. To też Grecy moc udzielania nieśmiertelności pozostawili mytycznéj ambrozyi, a w winie, którém zastąpili w pra-aryjskim kulcie haomę, widzieli inne własności tego ostatniego napoju, własności, jakie rzeczywiście wino

posiada. U Słowian amrytę-ambrozyę zastępuje, według podań, ż y w a w o d a, a trunkiem, posiadającym inne własności haomy i występującym u nich w szczątkach pra-aryjskiego kultu, był domniemamy (według pracy p. M.) napój chmiel. Tym sposobem przekonywamy się, że rozmaite ludy, otaczając swoje napoje powagą kultu, przypisywały im cudowne własności. Oprócz siły tradycyi, mogła się tu ujawnić, albo przynajmniéj podtrzymać tradycyę, jednostajność praw myślenia wszystkich mieszkańców ziemi, po wszystkie czasy, którą najnowsi etnografowie objaśniają podobieństwo do siebie objawów twórczości ludów. Taka jednostajność poglądów ujawniła się i przy pojawieniu się wódki, którą średniowieczna łacina nazwała *aqua vitae* (por. ż y w a w o d a, a m r y t a, a m b r o z y a, oraz nasze k r o p l e ż y c i a, k r o p l e d ł u g i e g o ż y c i a), a wyraz s p i r i t u s, użyty za nazwę alkoholu, w klasycznéj łacinie wyraża i to, co, z wyłączeniem nieśmiertelności, daje haoma-soma, t. j. odwagę, animusz, zuchwalstwo, zapał.

Władysław Niedźwiedzki.

Adam Krechowiecki. „Jestem", powieść, Warsz., nakładem Gebethnera i Wolffa, 1894 roku.

Twórczość artystyczno-literacka autora „Szarego wilka" coraz szersze obejmuje widnokręgi. Po paru tomach drobnych, ulotnych, lecz pełnych wdzięku nowelek, ukazał się cykl poważnie pojętych i szeroko nakreślonych powieści historycznych, daléj powieść społeczna („Najmłodsi"), w któréj łatwo odnaleść wiele rysów trafnych, a charakteryzujących pewne odłamy towarzyskie, wreszcie dziś pokusił się p. Krechowiecki w swéj najnowszéj pracy pod oryginalnym tytułem „Jestem" o rodzaj ze wszystkich najtrudniejszy: analizę serca ludzkiego.

Ta obszerna skala pomysłów i działalności, sama już przez się stanowi wymowne świadectwo bogactwa i różnostronności bujnego talentu, który, rwąc się naprzód, w ciągłéj pracy i pogoni za możliwą doskonałością, krystalizuje się, nabiéra siły, spokoju, pewności.

Powieść, którą właśnie omawiamy, posiada prócz zalet artystycznych, nadzwyczaj sympatyczną myśl przewodnią; przewija się ona po przez kartki książki nakształt nici złocistéj, nadając erotycznym konfliktom, podkład głębszy i podnioślejszy. Autor pragnie dowieść, że dopóki artysta nie jest w zgodzie z samym sobą, dopóki przez pracę, cierpienie i wielkie, podnoszące duszę ludzką uczucie nie dojdzie do zupełnéj równowagi moralnéj, do całkowitego uświadomienia swego

jestestwa — dopóty talent jego nie osiągnie swego zupełnego rozwoju i nie stworzy arcydzieła.

Tezę swoją wcielił p. Krechowiecki w osobę młodego malarza, Augusta Oreckiego. Natura to niepospolicie obdarowania, trochę miękka, chwiejna, a miejscami może nawet nie dość jasno tłómacząca się. Wychowany przez starego, skąpego wuja, dziwaka, który oddanie się artystycznéj karyerze uważa za rodzaj lekkiego obłędu, walczy August przez cały kilkoletni okres pobytu w Monachium, niemal z niedostatkiem. Zmuszony do pracy dla chleba, trawiąc czas nad kopiami i tworzeniem drobnych obrazków, które ciągle zapowiadają mu sławę, nie przysparzając jéj przecie, nie mógł młody artysta rozwinąć skrzydeł do szerszego lotu. Studya w Pinakotece pozwalają mu poznać, a następnie zbliżyć się do pięknéj, zalotnéj, śmiałéj Janiny Woryskiéj, córki, głośnéj z urody i skandalicznego życia awanturnicy. Janina zmęczona koczowniczą egzystencyą i wstrętną atmosferą domową, zwraca się chętnie ku Augustowi, pociągnięta wspólnością upodobań, gdyż i ona jest malarką, a nadto siłą jego świéżego uczucia, szlachetnością dążeń i aspiracyi. Autor szkicuje piórem zdobném w tęczowe blaski i barwy prześliczną sielankę dwojga młodych artystów, których miłość na tle sztuki i natury cudownie się rozwija. W stosunek ten August kładzie całe serce, wszystkie marzenia przyszłości — Janina chwilowy szał tylko, wśród którego jednak umié ocenić należycie korzyści, jakie przedstawia małżeństwo z bogatym obywatelem Leszczycem.

Można szczerze powinszować p. Krechowieckiemu téj sylwetki niewieściéj, traktowanéj z niezwykłą prawdą, życiem i plastyką. Postać ta jest tak żywotnie pojęta, że wszystkie sceny, w których Janina występuje, zdają się falować przyśpieszoném tętnem krwi młodéj i gorącéj, dlatego téż cała pierwsza część książki, któréj jest ona wyłączną niemal bohatérką stanowi skończenie piękny, tak pod względem rysunku, jak i kolorytu, epizod powieściowy.

W drugiéj części spotykamy Augusta uleczonego z niebezpiecznéj choroby mózgowéj, o jaką przyprawiło go brutalne zerwanie stosunku przez Janinę; powróciwszy pod opieką nagle rozserdecznionego wuja do kraju, przychodzi do sił fizycznych i moralnych w jego pełnéj sielskiego wdzięku Rosnówce, a potém osiedla się we Lwowie. Do najlepszych ustępów powieści, zaliczyć należy krótką lecz dosadną charakterystykę tego miasta apatycznéj biurokracyi, tak mało sprzyjającéj rozwojowi talentów, tudzież stosunków tutejszéj kolonii artystycznéj, przedstawiając jéj ambicye, małostki i gorycze. Pan Krechowiecki złożył dowód trafnéj obserwacyi psychiki ludzkiéj, odtwarzając

upojenie, w jakie wprawia Augusta rzucenie się w wir eleganckiego, arystokratycznego świata, który porywa go swym czarem, nieznanym mu dotychczas zupełnie. Za to autor zna go doskonale i ślizga się z pełną wykwitnego niedbalstwa lekkością wśród wytwornych salonów, szkicując je zaledwie powierzchownie.

Zapoznanie się z idealną, pełną nieziemskich cnót i uroków Jadwigą—stanowi przełom w życiu Augusta, a zarazem trzeci niejako moment opowiadania. Jadwiga—to istota dziwnie przez los doświadczona; młodziutka dziewczyna poślubiwszy ukochanego człowieka, który z wysiłków pracy umysłowéj uległ atakom epilepsyi, a potém zupełnego dostał obłędu, teraz z daleka, wśród zmudnych zajęć pracy nauczycielskiéj oczekuje, aż mąż w zakładzie odzyska rozum i zdrowie, by daléj pełnić przy nim obowiązki żony, a raczéj opiekunki. W imię wysoko pojętego obowiązku, nie chce ona starać się o odzyskanie wolności, choć namawia ją do tego matka, świat, a wreszcie najwymowniéj August, płomienną dyalektyką zakochanego. Pod błogosławionym Jadwigi wpływem dochodzi młody malarz do skończonéj samowiedzy artystytycznéj, uduchowniony i udoskonalony również jako człowiek. Pięknie i wymownie zaznacza tu autor wszechpotężny wpływ, jaki szlachetna kobiéta na serce, życie i działalność artysty wywrzéć może. August dochodzi do wyżyn, na jakich go Jadwiga, powracająca do zestarzałego, schorowanego męża widziéć pragnęła; ale siły fizyczne nie odpowiadają mocy zahartowanego cierpieniem ducha. Dręczony piersiową chorobą umiéra, kreśląc wyraz — Jestem, u stóp arcydzieła swego życia, wielkiego obrazu, do którego natchnęła go miłość i postać Jadwigi.

Zakończenie to niezmiernie efektowne, rozmija się cokolwiek z prawdą życiową, nie zawsze bowiem — na szczęście — pogwałcone uczucie sprowadza śmiertelną chorobę, lub śmierć samą. Trudno się jednak spierać z autorem, który widocznie stronie erotycznéj zaznacza pierwszorzędne życiowe znaczenie, gdyż zarówno stary wuj Sapiński, jak i upadły moralnie malarz Warsz, to rozbitki wyrzucone burzliwą falą namiętności, która na całe ich życie zgubne wywiera piętno.

Druga część powieści wypadła wogóle cokolwiek blado, zwłaszcza w porównaniu z pierwszą, kipiącą życiem i siłą. Dokoła postaci Jadwigi zgromadził autor tyle barw jasnych, że utworzyła się od nich promienna aureola robiąca z niéj raczéj świętą męczennicę, niż z kobiétę z krwi i kości. Sceny malujące piękności przyrody są w powieści nadzwyczaj wdzięczne, znać w nich pisarza, estetyka i artystę, który jednak po za tém odczuwa bóle szarpiące duszę ludzką. Ze współczu-

cia tego zrodziły się i filozoficzne refleksye, podnoszące niemało wartość saméjże powieści. *Nit.*

NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

= *Stanisław Graybner.* **Na warszawskim bruku. Szkic powieściowy** i **Drobiazgi**. Lwów-Warszawa, 1894. — Z nazwiskiem p. Graybnera spotykamy się od lat kilku często, zarówno na polu beletrystyki jak komedyi, a nawet w ostatnich czasach, dramatu. Autorowi nie brak nigdy pomysłów, które téż zwykł przenosić na papiér pośpiesznie, podążając za wartkim strumieniem swéj fantazyi, coraz to nowe rozsnuwającéj przed nim obrazy. Bogactwo takie—to wielki dar, pierwsze znamię i warunek twórczego talentu, ale cóż, kiedy częstokroć idzie z niém w parze pewne niedbalstwo opracowania, a czasem nawet i brak planu. — Refleksye powyższe nasunęły się nam po przeczytaniu ostatniego utworu p. Graybnera, na którego zawartość składa się jedno większe opowiadanie i kilkanaście drobnych urywków, drukowanych po części uprzednio już na szpaltach różnych pism codziennych. Owo zaniedbanie formy odbija się w „Drobiazgach" najdotkliwiéj. Autorowi o żywéj wyobraźni i dość bystréj obserwacyi nasuwa się pierwszy lepszy pomysł, wypadek, żart i nie zawsze się zastanawiając, czy stanowi on dostateczny i skończony w sobie epizod dla wypełnienia ram najmniejszego bodaj obrazka, puszcza go w świat jako taki. Gdyby autor zadał sobie trud subtelniejszego rysunku omawianych postaci, nie poprzestając, jak się to często zdarza na powierzchownéj zaledwie charakterystyce, gdyby opracował szczegóły, uwypuklił ustępy dramatyczne, zamiast się z niemi załatwiać w pośpiesznóm i suchém opowiadaniu, jak to np. zrobił z ładnym pod względem pomysłu obrazkiem „Bez ręki"—zdołałby zapewne stworzyć niejeden fragment wzruszający, jak np. nowelę „Nic z fantazyi", braną lecz z szarego, pospolitego życia, a niemniéj silną dobrém odczuciem psychiki każdéj z trzech działających postaci. — W obszernym tym zbiorku spotykamy ramotki („Guwerner"), facecye („Moralny koń"), obrazki („List sieroty"), fantazye, jak „Słaby argument", „Słowo honoru", a każdy z tych rodzajów napisany mniéj więcéj zręcznie, czyta się z pewną przyjemnością, lecz trwalszego po sobie nie zostawia wrażenia. — Szereg tych „Drobiazgów" poprzedza staranniejsze formą i głębsze pomysłem opowiadanie p. t. „Na warszawskim bruku". Szkoda, że autor temu „szkicowi powieściowemu" nie poświęcił więcéj czasu i trudu, gdyż ładny

jego pomysł i liczna galerya dobrze pomyślanych sylwetek, zyskałaby na obszerniejszych ramach, a nadewszystko na przejrzystszéj i staranniéj skomponowanéj budowie. Treść jest mniéj więcéj następująca. Hrabia Ludwik używa kawalerskiego żywota w gronku złotéj młodzieży, która zarówno jak on, za cel uważa hulankę, sport wszelkiego rodzaju, karty wino i kobiéty o pięknych licach i niezbyt srogich zasadach. Przypadkowo poznaje on w nędzy zostającą, lecz prześliczną sierotę Annę, która podoba mu się jako niepospolite zjawisko, a nie przywykły hamować zachcianek swoich, używa wszelkich sposobów, by zrobić z niéj chwilową zabawkę. Dziewczyna jednak uczciwa i czysta, choć kocha pięknego bałamuta, daje mu stanowczą odprawę. Ludwik w oddaleniu przekonywa się, że to, co brał za przejściowy kaprys, stało się głębokiém uczuciem, a zachęcony przez stryja-dziwaka, który zbija jego arystokratyczne skrupuły, powraca z Paryża do Warszawy z zamiarem nazwania Anny swoją żoną. Tu jednak zastaje już swoją wybrankę poślubioną zacnemu, niemłodemu człowiekowi, któremu ona w ten sposób postanowiła spłacić dług wdzięczności. Hrabia zrozpaczony wyjeżdża do swoich dóbr i powieść zdawałaby się ukończoną, témbardziéj że dowiadujemy się również epilogu losów wszystkich innych działających osób. Autorowi żal się jednak zrobiło rozłączonych kochanków i ku wielkiéj szkodzie powieści, która w ten sposób nabiéra niepotrzebnéj rozwlekłości i zagmatwania, każe się znów spotykać Ludwikowi z owdowiałą Anną w leśnéj ustroni, jéj cudownie odnalezionego ojca, i po długich perypetyach pozwala się pobrać rozkochanéj parze. Pomimo tych usterek kompozycyi, powiastka dużo ma zalet, zwłaszcza początkowe sceny przedstawiające hulaszcze życie złotéj warszawskiéj młodzieży, pełne są werwy i rysów prawdziwych. Postaci Anny i Ludwika rysują się bardzo plastycznie, a ładna tendencya owiewa rzecz całą urokiem czystéj atmosfery.

Nit.

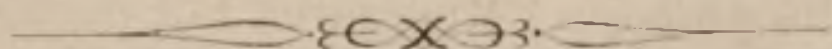
— *Michał Koroway-Metelicki*. **Poezye.** Z wizerunkiem autora. (Petersburg. Księgarnia polska Br. Rymowicz, 1893, str. 201). — Zmarły młodo w r. 1891 poeta, przeczuwając zgon swój przygotował do druku zbiorek utworów, nie chcąc, jak powiada, w serdecznie smutnéj przedmowie, „aby poszło na marne to, na co, jakkolwiekbądź, złożyły się lepsze pierwiastki ducha”. Staraniem owdowiałéj żony poety wyszedł ten zbiorek obecnie, przypominając tę duszę rzewnie poetyczną, spragnioną ideału, czczącą z uwielbieniem wszystko, co piękne i szlachetne, tę duszę smutną, ale nie zgorzkniałą, która czując, że życie ucieka, nie sarkała na ludzi, nie złorzeczyła losom, ale krzepiła się uczuciami na-

tury ogólniejszéj i idealniejszéj. W przejawach jéj nigdzie nie ma egoizmu, choć jest dużo egotyczności, bo zmarły był na wskroś lirykiem, czy mówił o własnych wzruszeniach, czy o spółbraciach, czy téż o przyrodzie. W zbiorku jego poezyi dwie grupy głównie wyróżnić można, przedzielone wpływem lat kilku, w których zajęcia fachowe (był prawnikiem z zawodu) na twórczość nie dawały czasu. Pierwsza grupa, ledwie przez 9 utworów reprezentowana, pochodzi głównie z czasu studyów uniwersyteckich w Warszawie. Znajdujemy tu i zwierzenia osobiste i trochę satyry („*Suum cuique*", „Jeremiady współczesne") i rzeczy budzące rozwagę nad zjawiskami społecznemi („Noc burzliwa" i in.). Raz jeden tylko odzywa się tu nuta bolesnego zwątpienia („Był czas"), lecz nie trwa długo i przemienia się rychło w dźwięczny akord wiary. Druga grupa utworów pochodzi z lat 1886 do 1891 i składa się z utworów oryginalnych, oraz tłómaczeń z ruskiego. Po zwiedzeniu Krymu napisał poeta w wiosce swéj rodzinnéj Jarowe na Ukrainie, poemacik opisowo-liryczny z 11 składający się ustępów p. t. „Freski krymskie", w których, nie myśląc bynajmniéj rywalizować z „Sonetami krymskiemi", poprostu, a z zachwytem opowiada wrażenia swoje z podróży po morzu i zwiedzania półwyspu. Najwięcéj jest polotu poetyckiego w tym utworze; odczucie piękności natury szczere, wyrażenia — nie wymyślne, a jednak nieraz wywołujące silny efekt. Szczególniéj piękny jest opis wrażeń na szczycie góry Aj-Petri doznanych:

Uczuwam serca pośpieszniejsze bicie,
Okrzyk mi z piersi rwie się mimowolny.
Stoję sam jeden nad przepaści głębią.
Pode mną chmury, jako puch się kłębią,
W chmur morzu pływa jeno orzeł wolny.
Nie widzę ziemi, ni grodu, ni wioski,
Nie słyszę westchnień, ni żalu, ni troski...
Tu wiatr dmie na mnie jednym silnym ciągiem.
Tu pył kosmiczny dotyka mi twarzy!
Na skończoności i wieczności straży
Tu pogranicznym wznoszę się posągiem!
I z wszechświatową łączę się krainą...

Oprócz „Fresków krymskich" zwarty szereg w téj grupie utworów tworzą „Sonety ukraińskie" w liczbie 25. Autor kochał serdecznie, z pewném upojeniem nawet swoje strony rodzinne, nietylko jako krajobrazy, ale także jako miejsce wspomnień swych dziecinnych i młodzieńczych, jako siedzibę ludu sympatycznego. Każdy szczegół, każdy drobiazg nawet znamienny ma dla niego szczególny urok; więc przedmiotów do opiewania nie brak mu wcale. Jarowe położone

w miejscowości, „gdzie Taszłyk niesie wody do Taśminy", otoczone jest szańcami „mogił zadumanych“; więc przed okiem duszy poety wstają postaci dawnych bohatérów i „krwawe ludów wojowniczych tańce"; ale poeta nie tonie w falach przeszłości; obchodzi go równie żywo teraźniejszość. Pod wpływem przyrody wiejskiéj w duszy zbolałéj „łagodnieją znoje i milkną serca niepokoje i wstają marzeń cichych roje". Oko rozpatruje się z miłością w krajobrazach „nad Taszłykiem", przygląda się „polom po deszczu", „nocy księżycowéj", rozważa pracę ludzi „w przededniu żniw" i podczas saméj téj uroczystéj roboty. Wszystkie pory roku mają dla niego swoje powaby, które poeta w słowach prostych a szczerych maluje. Spółczucie dla ludu wiejskiego, dla jego radości i smutków, dla zabaw i pracy, widnieje wszędzie. Wszystkie te sonety pisane były w ciągu roku 1889 i 1890, a więc w czasie, kiedy zmiany i zjawiska natury i zajęć wiejskich wypełniły się całkowicie w swym cyklu, tak że poeta nie potrzebował spostrzeżeń swoich sztukować fantazyą. Z innych oryginalnych wierszy zasługują na wymienienie: krótki a szczery hołd złożony „Pamięci J. I. Kraszewskiego" smutne rozmyślanie na temat: „Chleba i igrzysk!", dwa sonety: „Wzloty", „Kędy duch podąży?" — Z przekładów dokonanych przez ś. p. Metelickiego, nabieramy przekonania, że ulubionym jego poetą był Lermontow, najwięcéj bowiem jego utworów tłómaczył, starając się zachować jambiczny rytm oryginału. Dał tedy przekład „Szatana" (Demona), „Anioła śmierci", „Modlitwy", „Proroka", „Melodyi hebrajskiéj", „Anioła". Z paru tłómaczeń „Demona", jakie literatura nasza posiada, najlepszém podobno będzie to, które znajdujemy w zbiorku zmarłego, gdyż się odznacza wiernością i płynnością. „Anioł śmierci" zdaje się po raz pierwszy przyswojony przezeń został naszemu piśmiennictwu. Z drobnych liryków najpiękniéj w przekładzie wypadła „Modlitwa". Z poezyi Puszkina trzy tylko drobne utwory przetłómaczył; są to: „Szatan", „Anioł", „Prorok". — Język ś. p. Metelickiego jest czysty wogóle, pod względem gramatyki i frazeologii poprawny; tu i owdzie tylko ze względu na rym lub z przyzwyczajeń prowincyonalnych drobna jakaś napotyka się usterka.



KRONIKA MIESIĘCZNA.

Proces Mielczarka.—Złe obliczanie przestępców. — Publiczność i opinia wobec procesów karnych. — Pożądana zmiana tego stanowiska. — Wybory do Towarzystwa Kredytowego ziemskiego. — Optymistyczna opinia. — Ubezpieczenie pracowników rolnych.—Ministeryum rolnicze i rada gospodarstwa wiejskiego.—† Stanisław Kronenberg.—† Ignacy Kowalski.—Kolonie letnie.

W ubiegłym miesiącu sądzono w Łodzi sprawę niejakiego Mielczarka, oraz jego wspólników i podkomendnych w wyprawach grabieżczych, przeważnie na dwory wiejskie. Sceną tych wypraw, rabunków i rozbojów były pograniczne powiaty aż trzech gubernii: warszawskiéj, kaliskiéj i piotrkowskiéj. W roku zeszłym i poprzednim, kiedy zuchwalstwo téj bandy dosięgło szczytu, często można było słyszéć o napadach, trwodze i obawie zamożniejszych mieszkańców. W lutym r. z. nareszcie, po zaaresztowaniu Mielczarka i główniejszych jego współwinowajców—rabunki bandy ustały i zaczęto grupować materyał do procesu.

W opiniach ludzkich, ustnych i drukowanych nieraz słychać zdanie, że osobistości wybitniejszych przestępców kryminalnych zasługują na uwagę, że są ciekawe i interesujące, ba! nawet oryginalne i „sympatyczne"; w ostatnim procesie i Mielczarek tak pochlebnie dla siebie odznaczonym został.

Wiemy istotnie, że przed wystąpieniem był on gajowym i lokajem; późniéj zaś został skazany za zgwałcenie na dożywotnie osiedlenie w Syberyi. Umiał uciec jednak aż z krańców guberni irkuckiéj; zatrzymany w drodze, uciekł powtórnie, przybył do kraju i zajął się kra-

dzieżami i rozbojem. W tym celu zgromadził około siebie kilku podobnych zuchów i utworzył bandę, w któréj, według opowiadań, „objął władzę dyktatorską, kijami karcąc przewinienia podwładnych. Ze zdobytych łupów lwią część brał zawsze dla siebie, co nawet w końcu pośród reszty wywoływać zaczęło potajemne szemrania". Zrabowane przedmioty nabywał od Mielczarka za cenę bardzo niską niejaki Hersz Guterman z Łodzi, który był téż rodzajem rekwizytora bandy, dostarczając fałszowanych paszportów, furmanek i wszelkich potrzebnych do rabunków przyborów i narzędzi.

Opisy tych rabunków świadczą o wielkiém zuchwalstwie Mielczarka i jego towarzyszów. Rabusie, napadając na dwory, oblegali je nieraz po kilka godzin, zdobywali w literalném znaczeniu tego wyrazu domy, a nawet oddzielne izby i pokoje pomimo strzałów. Obustronna strzelanina trwała nieraz długo, wywołując odsiecz służby dworskiéj i chłopów, odsiecz najczęściéj zresztą bezskuteczną, bo chłopi wobec uzbrojonych w broń palną rabusiów, cofali się pośpiesznie, unikając żaru walki. Po dłuższéj lub krótszéj utarczce oblegani kapitulowali, zdając się zawsze prawie na łaskę i niełaskę, to jest, oddając wszystko, co przedstawiało większą wartość, pieniądze i kosztowności, napastnikom. O stopniu zuchwalstwa rabusiów powziąć stąd można pewne wyobrażenie, że złupiwszy nocy dzisiejszéj jeden dwór, napadali zaraz nazajutrz na drugi, nie zważając na alarm w okolicy i obudzoną czujność mieszkańców.

Do najcharakterystyczniejszych typowych napadów należał formalny atak na dwór w Domaradzynie (pow. łowicki), gdzie właśnie rabusie zdobywać musieli każdy prawie pokój oddzielnie i gdzie służba dworska już to zdradziła swoich pracodawców, zostając w tajnéj zmowie z napastnikami, już to, pomimo liczebności swojéj, nie śmiała na nich uderzyć, przestraszona ich zuchwalstwem, a nawet okrucieństwem, jak np. znęcanie się nad kobiétami, z których jedna dopiéro co odbyła połóg.

Sprawiedliwość wykonała względem tych przestępców swój obowiązek, lecz po za tém, smutna działalność i proces Mierczarka nasuwa dużo uwag, z których kilka co najmniéj potrącić, jeżeli już nie rozważyć należy.

Z wszystkich prawie procesów znaczniejszych przestępców i zbrodniarzy kryminalnych widać, że fatalne czyny, prowadzące ich do ciężkich robót, pod szubienicę, lub na gilotynę, wyrażając się poprostu, były bardzo lichym, wcale nie popłatnym interesem. Taki „lichy interes"

zrobił na morderstwie słynny w swoim czasie Traupman, zarówno jak Schenk, Gabryela Bompard i t. d. Liczyli zawsze, że ich ofiary posiadają krocie, a znajdowali zaledwie setki lub dziesiątki franków czy guldenów. Zamordowani albo w ogóle nie byli w posiadaniu takich bogactw, jak sądzili zbrodniarze, albo też w ostatnich dniach usunęli je z domu. To, co się najczęściéj dostawało przestępcom, wystarczało zaledwie na pokrycie przygotowań do zbrodni. To samo prawie możemy stwierdzić na przykładzie Mielczarka z różnicą, że on nie był zawodowym, jeżeli tak powiedziéć można, mordercą.

Bilans dwuletniéj prawie rabusiowskiéj działalności jego i towarzyszów, o ile z ogłoszonych rozpraw sądowych widzimy, przedstawia się pod względem materyalnym, wcale nie świetnie. Dokonali oni w przeciągu tego czasu 6-ciu rozbojów, jednego zabójstwa i 15-tu kradzieży, zagrabiwszy w gotówce, walorach i ruchomościach wszystkiego na sumę blisko 20,000 rubli.

Jeżeli potrącimy z tego 8,000 rub. w rewersach i wekslach, które zapewne zdyskontowane nie zostały, jeżeli zważymy, że zrabowane przedmioty i kosztowności sprzedawano za cenę bardzo niską tak zwanym „paserom,” to na utrzymanie kilkunastu drabów z kochankami pozostawało nie tak wiele, zwłaszcza, że wyprawy pociągały za sobą znaczne wydatki, jak broń, ekstrapoczty, furmanki i t. d. Po każdym rabunku zapewne banda żyła wesoło, dopóki widmo głodu i niedostatku nie wygnało jéj na nową „robotę,” z któréj korzyść istotną, jak w ogóle z operacyi złodziejskich, ciągnie paserstwo w rodzaju Hersza Gutermana. Zawód rabusia i złodzieja nie jest więc zajęciem korzystném; przeciwnie — zważywszy ryzyko życia i losu, nie mówiąc już o rezygnacyi z sumienia, czci i uczuć ludzkich — może najniebezpieczniejszym i największego samego siebie ryzykowania, jeżeli wyrazu tego użyć tu wolno, wymagającym. Najskromniejsza praca zapewnia większą rękojmię bytu.

Proces Mielczarka rzuca także światło nie po raz pierwszy na stosunek przeciętnéj opinii, przeciętnéj prasy i przeciętnych ludzi do przestępców i głośniejszych spraw karnych. Stosunku tego ani rozumnym, ani rozsądnym, ani ludzkim nazwać nie można.

Kto bywał w sądach na takich sprawach, ten zna tę niezdrową atmosferę moralną, wśród publiczności panującą. Obok tego przejawia się ona w pismach, rozmowach, lichych dowcipach i roszczących pretensyę do dowcipu spostrzeżeniach. Niewątpliwie, że sprawy karne, roztrząsane i rozstrzygane w sądach, przedstawiają często obycza-

jowy i społeczny materyał. Dla krytyka obyczajowego mogłyby mieć dużą wartość. Tłum, zapełniający sale sądowe i czytający sprawozdania, nie tego tam jednak, rzecz prosta, szuka. Pragnie on albo pluskać się w skandalu, albo szuka niezdrowéj sensacyi. Sprawa karna zaprawiona skandalem, zdolna jest wywołać takie zajęcie w masie, jak tego z pewnością nie potrafią: wielka cnota, poświęcenie lub zasługa. Słuchacz pragnie się dowiedzieć jak najwięcéj drażniących szczegółów, których znajomością mógłby się następnie popisywać i opowiadać w swojém kole; pod względem właśnie opowiadania i zajmowania się temi szczegółami, odbywa się w okresie każdéj *cause celèbre* formalny wyścig. Kto się gorliwiéj oddaje sportowi demoralizującego zaciekawiania innych, kto im lepiéj udziela skandalicznego wykształcenia, ten bywa więcéj słuchanym, upragnionym, a nawet szanowanym. Mieszkańcy tak są tém wszystkiém zajęci, że gdyby miasto oblegał nieprzyjaciel, to wiadomości o zdobywaniu przez niego najważniejszych fortów i okopów nie byłyby przyjmowane i chwytane z większą ciekawością i wzruszeniem.

Tak bywa w chwilach tak zwanych *causes celèbres*. Mielczarek nie należał wprawdzie ani do tak zwanéj „wyższéj warstwy towarzyskiéj," ani nie był bohaterem ciekawéj awantury miłosnéj. Obdarzono go jednak nazwami: „sympatyczny," „interesujący," a czytelnicy sprawozdań sądowych szczęśliwi byli, dowiedziawszy się o tém.

Czy to ma znaczyć, że nic nie powinno łagodzić naszéj surowości względem przestępców i zbrodniarzy? Nie, bynajmniéj. Epoka ciskających gromy moralistów minęła i duch wieku usposobił nas w pewnym stopniu do tego, że zamiast potępiać i sądzić, wolimy tłómaczyć. Lecz strzeżmy się tego romansowania z głośniejszymi przestępcami karnymi, które sprawia, że z ławy swojéj kokietują oni publiczność i starają się wyraźnie o wywarcie sympatycznego dla siebie efektu, co więcéj, że ten efekt osiągają, że między nimi i publicznością powstaje rodzaj jakiéjś współczulnéj atrakcyi. Pewne zewnętrzne cechy przyjemne, pewne pseudo-romantyczne okoliczności, pewne pobudki naszéj romansowéj natury, niweczą w takich wypadkach zdolność prawidłowego wnioskowania i odczuwania i usposabiają nas „sympatycznie." Ten ostatni wyraz w ogóle smutną w stosunkach naszych odegrywa rolę. U nas wybaczą człowiekowi wszystko, kiedy się nazywa „sympatycznym," a lekceważą nawet zasługi, kiedy nie jest „sympatycznym." Przyznają, że jest pracowity, dobry, zasłużony, ale cóż z tego wszystkiego, kiedy nie „sympatyczny." Nigdzie może podział

ludzi na „sympatycznych” i „niesympatycznych” nie jest tak utrwalony, jak u nas. To, cośmy nazwali wyżéj romansowaniem z przestępcami, jest zapewne wynikiem tego płytkiego i lekkomyślnego przytępienia zmysłu moralnego mas, rozpowszechnionego bardzo w naszych czasach, nad którém już ubolewał Carlyle w pierwszéj połowie stulecia, uważając je za specyficzny wytwór tego wieku. Jest to lekkie, często głupkowate igranie ze wszystkiem, pozbawione wszelkiego gruntowniejszego sądu, poczucia odpowiedzialności i powagi charakteru.

Teraz rozważmy inną stronę téj sprawy. Jeżeli ludzie stają się przestępcami w skutek warunków, które obciążają odpowiedzialność społeczną, to tém gorzéj dla nas, tém gorzéj dla społeczeństwa, choć nas to wcale do chorobliwéj ciekawości usposabiać nie powinno.

Teorya, że społeczeństwo samo hoduje zbrodniarzy, których późniéj przez fatalną niekonsekwencyę ściga i karze, czy téż karać musi, nie jest zresztą nową, lecz zawsze jest słuszną. Społeczeństwo nie jest, niestety, osobą prawną, któréby do odpowiedzialności pociągać można. W procesie, o którym mowa, jeden z obrońców ubolewał nad anachronizmem, że w czasie, kiedy powstają towarzystwa opieki nad zwierzętami, nawet nad roślinami, nie ma towarzystwa, któreby się opiekowało przestępcami, ułatwiając im powrót na drogę pracy a późniéj rehabilitacyi. Fatalna czerwona książka i do jednéj i do drugiéj drogę zamyka.

Zanim się jednak ziści u nas myśl kolonii poprawczych dla dojrzałych przestępców, zanim coś więcéj nad karę obmyśléć dla tych przynajmniéj, którzy na to zasługują, potrafimy—przeciętna opinia publiczna i tak bardzo jéj ulegająca i schlebiająca przeciętna opinia dziennikarska niech nie romansują z przestępcami, niech nie oglądają kryminalistów, jak ciekawych zwierząt w klatkach, ani też niech nie otaczają ich głów aureolą, bo i to się zdarza. Sale sądowe, podczas głośnych procesów karnych, stają się atrakcyą dla tłumów, dążących tam po sensacyę najgorszego właśnie gatunku. Trudno byłoby się kusić zapewne o powstrzymanie tego dążenia, lecz wartoby mu nadać inny, zgodniejszy z ludzkością i rozsądkiem charakter. Gdybyśmy byli zdolni do uprzytomnienia sobie, że ten akt śmierci cywilnéj, któremu asystujemy, słuchając wyroku skazującego przestępcę, ma w sobie więcéj może rzeczywistéj grozy, niż obrzęd pogrzebowy, bo żegnamy obecną wśród nas i żywą, choć grzeszną duszę, to zrozumielibyśmy

także wówczas, że ucywilizowanemu człowiekowi nie przystoi lekkomyślne zachowanie się. Kto wie — bo któż dociekł wszystkich praw kojarzenia się wyobrażeń — czy ta ciekawość, naiwność a nawet pewien podziw, zebranéj w sali sądowéj publiczności, nie wprowadza nowego, najgorszego może zamętu do umysłu przestępcy, nie pozwalając mu na sformułowanie sobie pojęcia o doniosłości złego czynu i sprawiedliwości kary? Takie zachowanie się obecnych usposabia go do grania roli, do pozowania, a tłum po wszystkie czasy właśnie największemi swemi łaskami obdarzał aktorów. Te łaski ustają wprawdzie z zapadnięciem kurtyny w teatrze i z odczytaniem wyroku bohaterce lub bohaterowi *cause celèbre* w sądzie, lecz podniecenie trwa daléj. Gdyby ten tłum, ta ciekawa i sentymentalna opinia, szukająca wszędzie efektów, gdzie je tylko znaleść można, na igrzyskach, na kole dyabelskiém, w cyrku i na operetce, mogła być rozważniejszą i poważniejszą, nawet w okazaniu współczucia wtedy, kiedy są istotne do niego pobudki, sumienie i świadomość przestępcy, zamiast wprawiania w zamęt, zostałyby rozjaśnione i pokrzepione. Byłby to może poważny krok do rehabilitacyi, do odbudowy moralnéj. Romansowość i płytka ciekawość, którą widzimy dzisiaj, celu takiego nie osiągają — przeciwnie i skazanemu i interesującéj się nim masie niewątpliwą wyrządzają szkodę.

Wybory do władz Towarzystwa Kredytowego ziemskiego, zaczęte 13-go kwietnia w Kaliszu, odbywają się dotąd cicho i bez napływu wniosków. W Kielcach i w Lublinie nawet stowarzyszeni w dowód wysokiego zaufania, jakiém się kierownicze sfery instytucyi w kołach interesowanych cieszą, postanowili żadnych wniosków nie stawiać, „w przekonaniu, że ich przedstawiciele najlepiéj potrzeby ogółu rozumieją i o dobro instytucyi dbać potrafią.” Trudno zaiste o większy dowód zaufania. Wybierają też wszędzie dotychczasowych radców, chyba że ci z powodu spraw osobistych mandatów przyjmować nie chcą. Kierownicy instytucyi stanęli w tym roku w obec stowarzyszonych z faktami poważniejszego znaczenia, jak dokonana konwersya listów zastawnych z 5% na $4^1/_2$%, oraz skasowanie tak zwanego mnożnika, przez co wysokość pożyczek zależna będzie tylko od taksy posiadłości; Towarzystwo będzie mogło tym sposobem udzielić jeszcze kilkanaście milionów rubli pożyczek na dobra, co się stowarzyszonym najwięcéj zapewne podoba.

Z przemówienia prezesa wyborów w Kielcach, p. Linowskiego, widniała otucha co do przyszłości rolnictwa krajowego, którą bardzo przyjemnie byłoby każdemu podzielić i uwierzyć. Zapewniał on mia-

nowicie, że pomimo ciężkiego przesilenia, jakie rolnictwo w całéj Europie przechodzi, ogół inteligentnych ziemian zrozumiał doniosłość sytuacyi, czego dowodem mają być dochodzące głosy o wielu gospodarstwach, które nie zaniedbując starannéj uprawy zboża, wprowadzają produkcyę wyborowych nasion handlowych i przemysłowych, oraz o urządzaniu gospodarstw rybnych, zakładaniu chmielników, podniesieniu hodowli inwentarzy, o spółkach mleczarskich i tym podobnych środkach pomocniczych, które mogą ratować zagrożoną sytuacyę. „Objaw to nader pocieszający—mówił p. prezes—bo świadczy, że trzeźwo zapatrujemy się na stan obecny, że w krytycznéj chwili nie opuszczamy rąk, oddając się bezowocnemu narzekaniu, lecz wytrwałą pracą i na rachunku opartą oszczędnością, śmiało stawiamy czoło przeciwnościom ekonomicznym."

Trzeba przypuścić, że ta optymistyczna opinia o melioracyach i reformach ekonomicznych wśród rolników, musi w znacznym stopniu odpowiadać rzeczywistości, bo na cóż by się zdało łudzić samych siebie?

Na zebraniu przedwyborczém w Lublinie podniesiono także sprawę ubezpieczeń rolnych, stojącą od lat kilkunastu na porządku dziennym. Jak wiadomo, ziemianie pragną wyjść z pod kosztownéj opieki towarzystw ubezpieczeniowych i miéć przy własnéj instytucyi wydział asekuracyjny, na wzajemności oparty, co istotnie odpowiada interesom i słuszności. Decydujące koła mają być przychylne myśli utworzenia najpierw Towarzystwa ubezpieczeń od gradobicia, o ile kapitał poręczający w sumie 100,000 rub. zgromadzony zostanie.

Bardzo ważny i doniosły w dobrych następstwach projekt ubezpieczenia pracowników rolnych, nie zyskał wiele dotychczas, jak się spodziewano, z okazyi wyborów. W Kielcach miano „dyskutować nad nim z odcieniem istotnéj przychylności, co pozwala mniemać, jak zapewnia sprawozdawca „Kur. Warszawskiego," że wprowadzenie w czyn dezyderatów, zawartych w referacie sekcyi rolnéj, znajdzie w kieleckiém szczerych zwolenników." Oby tylko czynnych, dodajmy, którzy przykładem innych także do czynu zachęcą, to jest oficyalistów swoich choćby na małe sumy ubezpieczać zaczną. Wtenczas dopiéro będzie to istotna przychylność. W takich zamiarach konieczny jest pierwszy krok, jak w bitwie pierwszy strzał. Tego pierwszego kroku spodziewaćby się chyba należało od właścicieli wielkich fortun ziemskich w myśl zasady, że komu więcéj dano, od tego więcéj się żąda. Przykład potentata okolicznego bywa bardzo wymowny dla młodszéj braci.

Potrzeba ubezpieczenia oficyalistów rolnych wynika zresztą z ekonomiczno-społecznych, nie zaś amatorsko-filantropijnych pobudek; utrwala stosunki służbowe między chlebodawcami i pracownikami, rokuje podniesienie materyalnego i moralnego poziomu téj klasy pracującéj, którą pod ostatnim względem tyle spotyka zarzutów.

Zarząd Muzeum przemysłu i rolnictwa rozesłał obecnie do właścicieli ziemskich odezwy wraz z ostatecznie opracowanym projektem tego ubezpieczenia. Ubezpieczenia mają być dwojakie: życiowe i od nieszczęśliwych wypadków. W pierwszym razie pracownik w wieku od 17-tu do 55 ciu lat może ubezpieczyć dla siebie kapitał od 100 do 5,000 rub. płatnych do rąk, gdy tenże ukończy 65 lat życia, albo do rąk sukcesorów natychmiast po jego śmierci, jeżeli umrze przed ukończeniem 65-go roku życia, bez względu na ilość do śmierci wniesionych opłat. Stała opłata roczna wyniesie od każdych 100 rub. dla ubezpieczającego się w 20-tym roku życia rub 1 kop. 99; w 30 tym rub. 2 kop. 72 i t. d. w odpowiednim stopniu, aż w 50-tym roku życia wynosić będzie rub. 7 kop. 40. Po uływie 3 lat, w razie zerwania przez ubezpieczonego umowy, Towarzystwo zwróci pewną część wniesionych opłat, tak pracownikowi, jak i pracodawcy, o ile który z nich składki opłacał. Co do ubezpieczeń od nieszczęśliwych wypadków, to każdy pracownik bez względu na wiek, ma opłacać 55 kop. od 100 rub., ażeby otrzymać odpowiednią rentę roczną. Z niejasnego w tym punkcie streszczenia w pismach projektu powstaje wątpliwość, czy do ubezpieczeń od nieszczęśliwych wypadków ci tylko będą mogli przystępować, którzy poprzednio ubezpieczyli się na życie, czy téż niezależnie od tego.

Zorganizowane już ministeryum rolnictwa zostało powitane przez prasę ruską, jako „zwycięstwo postępu nad rutyną". Przez utworzenie tego ministeryum przyznano zasadniczo — według tych opinii — przodujące miejsce gospodarstwu wiejskiemu pomiędzy innemi gałęziami przemysłu. Upadek cen zboża i klęska głodowa z r. 1891 uwydatniły bardzo potrzebę zapobiegania na przyszłość takim przesileniom i nieszczęściom, oraz przekonały, że walka z żywiołami, nieprzyjaznemi rozwojowi rolnictwa, przechodzi zwykle siły jednostek i powinna być podjęta przy współudziale organów rządowych. Główne zadanie nowego ministeryum ma polegać na rozpowszechnianiu nauki i polepszeniu techniki rolniczéj, podniesieniu przemysłu domowego i hodowli zwierząt, przedsięwzięciu robót melioracyjnych ogólnego i miejscowego znaczenia, badaniu kwestyi, wchodzących w zakres ekonomii wiejskiéj, przemysłu, handlu i t. p. Za szczególną dodatnią cechę w organiza-

cyi nowego ministeryum uważać można powołanie sił fachowo-społecznych do współudziału w pracach i zamiarach téj instytucyi. Corocznie bowiem zwoływana będzie przy ministerym na sześcio-tygodniową sesyę t. zw. rada gospodarstwa wiejskiego. Ma ona obradować razem z delegacyą ministeryalną. Do rady należéć będzie piętnastu członków, powołanych z przedstawicieli sfer rolniczych wszystkich prowincyi państwa i znanych ze swojéj kompetencyi. Rada ma miéć nietylko głos doradczy, lecz i pewną inicyatywę, to jest komunikowanie według swego przekonania potrzeb rolnictwa, oraz żądanie zmian już poczynionych rozporządzeń, niezgodnych z interesami danéj okolicy. Według programu więc rada powinnaby przynieść pożytek rolnictwu.

4-go kwietnia umarł w Warszawie Stanisław Kronenberg.

Reklama pośmiertna, tak bardzo w naszych czasach pospolita, zwłaszcza, kiedy chodzi o silnych i bogatych tego świata, równa często w oczach nieświadomych rzeczy zasłużonych i niezasłużonych, bo jednych i drugich zarówno barwnemi epitetami darzy. Jeżeli nie traci na tém prawdziwa zasługa, która działa nie dla reklamy za życia, czy po śmierci, lecz w wewnętrznem przekonaniu pobudek do czynu szuka, to traci niewątpliwie ogół, któremu wobec tego trudno już odróżnić linoskoka od bohatéra, bo pierwszy lepszą ma właśnie reklamę, głośniéj krzyczy, pstrokaciéj się ubiéra. Traci ten ogół dlatego, że albo w błąd bywa wprowadzany, albo że następnie o błędzie takim przekonawszy się, przestaje wierzyć i sceptycznie wzrusza ramionami, kiedy mu mówią o zasłudze choćby istotnéj, wątpliwości nie podlegającéj.

Stanisław Kronenberg był bardzo popularny w kraju i za życia już żałowany, bo zbyt wcześnie zerwał się wątek téj natury szczodréj i energicznéj.

Jako finansista, przemysłowiec, filantrop i obywatel, posiadał inicyatywę, hojność, energię i znajomość potrzeb społecznych, co bardzo rzadko razem chodzi. Ludzie tacy są prawdziwymi robotnikami postępu zbiorowego; przez nich i około nich zbiegają się nici, z których tka się materyał społeczny. Zanadto dobrze znaną jest jego działalność, ażeby ją tu przypominać szczegółowo należało. Kasa pomocy imienia Mianowskiego, kasa pożyczkowo-rzemieślnicza, nabycie „Nowin", pożyteczny, rozumny i korzystny wpływ, jako prezesa dróg żelaznych, wiele dodatnich faktów natury prywatnéj stoją w długim szeregu, ażeby zaświadczyć o czynnym i dobrym okresie w życiu Kronenberga.

Jeżeli kiedy, to w tych epokach bogactwo potrzebuje ludzi, którzyby je usprawiedliwiali i rehabilitowali. Wobec bardzo śmiałéj krytyki

i bardzo zaciętéj nienawiści, jakie wzbudza, potrzebuje ono ludzi większéj miary, większego serca i większéj głowy. Tacy ratują na chwilę jego gnuśną, apatyczną i samolubną opinię. Plutokracya powinna gorąco prosić o nich niebios.

W Kaliszu umarł także skromny, choć dobry i pożyteczny robotnik postępu społecznego, o którym wspomnieć warto. Był nim Ignacy Kowalski, nauczyciel matematyki w tamtejszém gimnazyum i szkole realnéj w przeciągu lat czterdziestu kilku. Zostawia po sobie najwdzięczniejszą pamięć wśród kilku pokoleń, uczniów swoich, rozrzuconych po szerokim świecie. Jako pedagog i przewodnik młodzieży, posiadał prawdziwy dar nauczania, prostotę i serdeczność, co mu téż powszechny i głęboki wśród téj młodzieży jednało szacunek. Jak wielu dawniejszych pedagogów, Kowalski był rubaszny, niekiedy ostry; wielu go się lękało, ale wszyscy byli przekonani o jego sprawiedliwości. Nikt nie miał żalu do niego.

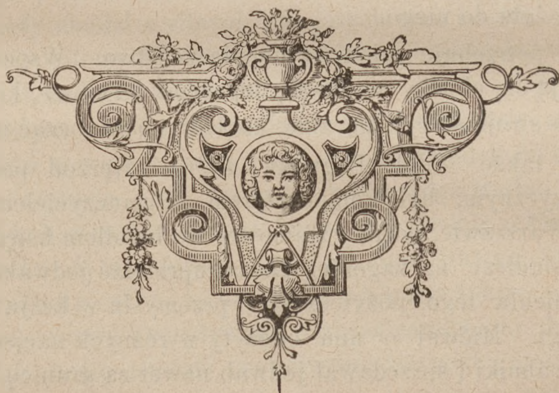
Takich potrzebuje młodzież i społeczeństwo. Wspominając takich, inni stają się choćby na chwilę lepszymi. Dobrze, kiedy pamięć ludzka miéwa swoje stacye moralne, na których odpocząć może.

Umarł także Adolf Bogucki, który najprzód poświęcił się studyom muzycznym, był kompozytorem i nauczycielem gry fortepianowéj w Warszawie, późniéj zajmował się handlem księgarskim, aż w końcu, osiadłszy na zagonie, zaczął uprawiać jedwabnictwo i dla rozpowszechnienia tego pożytecznego przemysłu w kraju prawdziwe położył zasługi. Miéwał o nim odczyty w różnych miejscowościach, hodował jedwabniki i sprzedawał jedwab nawet za granicę. Nareszcie założył u siebie, w Sielcach pod Warszawą szkółki i plantacye morw i otworzył tam bezpłatną szkołę jedwabnictwa podczas hodowli. Napisał kilka cennych, według znawców, prac o tym przedmiocie.

Komitet kolonii letnich, dzięki pozwoleniu JE. pełniącego obowiązki general-gubernatora warszawskiego z 5/17 kwietnia r. b. za n-rem 3668, uzyskał prawo do zbiérania składek na dwuletni okres czasu. Ułatwia to nieco zadanie osób oddanych téj młodéj i tak dobroczynnéj instytucyi, bo zapewnia większą ciągłość pracy i planów, ku jéj rozwojowi skierowanych; lecz bez jednoczesnéj ofiarności ogółu prace te potrzeb tak wielkiego miasta, jak Warszawa, zaspokoićby nie mogły. Obecnie np. zakwalifikowano do wysłania na wieś 1800 dzieci, funduszów zaś odpowiednich jeszcze brakuje, a czas nagli, bo w początkach czerwca już pierwsze partye dzieci muszą być wysłane. Niech więc ci, co znaczenie kolonii letnich dla zdrowia młodego pokolenia rozumieją

i odczuwają — ze składkami i ofiarami śpieszą. Kolonie letnie są instytucyą żywą i czynną, w których formalizm, w niektórych zakładach dobroczynnych rozwinięty, sprowadzony został do możliwego *minimum*, boć bez niego — dodajmy — nie mogłoby być ani porządku, ani czynu. Ci więc, co nie skąpią skromnego choćby grosza na kolonie, mogą mieć przekonanie, że ich ofiary, iż pozwolimy sobie na to wyrażenie, szybko na zdrowie i życie młodego pokolenia przemienione zostaną. Składki pieniężne i właściwe przedmioty przyjmują także wszystkie redakcye pism warszawskich.

E. Lut.



Wydawcy: *W. Spasowicz* i *A. Pawiński*. — Redaktor *P. Chmielowski*

Дозволено Цензурою. Варшава, 21 Апрѣля. 1894 г. — Druk Jana Cotty.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE i LITERACKIE,

wychodzi na początku każdego miesiąca w zeszytach, zawierających od 10 — 12 arkuszy druku.

TREŚĆ:

I. Artykuły wstępne, dotyczące ważnych zagadnień bieżących treści społecznej lub naukowej.
II. Powieści i poezye, oryginalne i tłómaczone.
III. Studya z dziedziny historyi, etnografii, lingwistyki i mitologii, ze szczególnem uwzględnieniem dziejów i stosunków polskich.
IV. Rozprawy wyświetlające ważniejsze chwile z dziejów piśmiennictwa naszego i obcego.
V. Obrazy stanu politycznego, urządzeń publicznych i przedsiębranych w świecie cywilizowanym reform, o ile się one donioslością swoją uwydatniają.
VI. Studya z dziedziny filozofii, a zwłaszcza psychologii, etyki iestetyki.
VII. Artykuły treści wychowawczej.
VIII. Rozprawy z zakresu nauk przyrodniczych.
IX. Kronika miesięczna, w której bieżące objawy życia społecznego znajdą sprawozdanie i krytykę
X. Przegląd ważniejszych objawów wśród przedstawień scenicznych.
XI. Rozbiory, sprawozdania i nowości literackie, w których zawrze się obraz spółczesnego ruchu naukowo-literackiego.
XII. Kronika artystyczna.

Warunki przedpłaty:

Prenumerata Ateneum w Warszawie, w guberniach Królestwa i Cesarstwa oraz we wszystkich krajach należących do związku pocztowego wynosi:

Rocznie Rs. 12. Półrocznie Rs 6. Kwartalnie Rs. 3.

Prenumeratorów z prowincyi upraszamy o nadsyłanie prenumeraty bezpośrednio:

Do Redakcyi ATENEUM, Oboźna 5.

